Paweł Szumił

Zostać smokiem…

Tom V cyklu

**SŁOWO O SMOKU**

Tłumaczył z rosyjskiego

JACEK IZWORSKI

Tytuł oryginału: **СТАТЬ ДРАКОНОМ**

 Nad doliną krążyły smoki. Mrok pięć minut obserwował je przez lornetkę. Nigdy nie widział aż tyle smoków na raz. Do diabła, nikt nigdy nie widział! Na całej Strefie nie było takiej ilości smoków! Mrok wspomniał, kiedy ostatni raz był w tej dolinie. Ponad rok temu. Od dziesięciu lat nie ciążyły na nim żadne sprawy związane z tą doliną lub jej oko­licami. Ba, od dziesięciu lat w ogóle nie ciążyło na nim nic oprócz niezbędnej samoob­rony. Mogło to potwierdzić skanowanie pamięci dowolnej głębokości. Oczywiście nie jest przyjemne, gdy grzebią w twojej pamięci, ale… Nie, cokolwiek zaniepokoiło smoki, jego to nie dotyczyło.

 Schował lornetkę do futerału i poszedł ścieżką w górę. Wysokie drzewa zamieniły się w niskie, potem w krzaki. Słońce grzało coraz mocniej, ale łopata i łom już nie czepiały się gałązek. Zasłaniając oczy od góry ręką spojrzał na przełęcz, po czym obejrzał się na dolinę. Smoków zrobiło się jeszcze więcej. Nad tym wypadało się zastanowić. Co mogło je aż tak poruszyć? Zabójstwo smoka? Czterdzieści lat temu, kiedy Mroka dopiero co tutaj wrzucono, była taka próba. Jacyś idioci zaminowali plażę, na której smok lubił się opalać i wybuch oderwał mu łapę. Ale nawet wtedy na planecie nie zjawiło się więcej jak dwadzieścia nowych smoków, a teraz w powietrzu krążyło ich co najmniej trzysta. Było to niezwykłe, ale Mrok nie roztrząsał tego. Do analizy potrzebne były fakty, a on ich nie miał. Zaczął się natomiast zastanawiać, jak tyle smoków tak szybko trafiło na powierzchnię planety. Ich obecność dowodziła, że musi tu być duża komora zero-t. Do małej smok się nie zmieści, a w średniej musi się długo układać. Gdyby zebrać z dziesięciu zmyślnych ludzi, wybić – nie,uśpić – straż… Do diabła! Pilnują na pewno cybery. I na pewno nie ma pulpitu sterowania komorą, tylko połączenie wideo ze stacją orbitalną. A tam siedzi dyspozytor. Popatrzy na ekran i powie: „Wybacz, chłopcze, dzisiaj nie przyjmujemy. Zajrzyj później. Może za siedemdziesiąt lat”. Czyli zmyślni chłopcy muszą najpierw przygotować pulpit kierowania komorą. Potrzebny jest elektronik i programista. I do gwiazd! A tam – jak zające, na wszystkie strony. Kilkadziesiąt skoków po najbardziej uczęszczanych trasach, najlepiej turystycznych – i na dno.

 Nie wyjdzie. Zanim elektronik zorientuje się, co gdzie podłączyć, zanim programista wykopie w pamięci komputera adresy innych komór zero-t, minie kilka dni. Odkryją.

 Mrok wyrzucił pomysł z głowy i poszedł dalej. Z góry rozległ się szum skrzydeł i czarny smok wylądował przed nim na ścieżce.

 – Człowieku, mam informację. Jeśli zdołasz nam pomóc, otrzymasz nagrodę;

 – Leć swoją drogą, skrzydlate gówno.

 Po spokoju, z jakim smok przyjął obelgę, Mrok poznał, że to miejscowy, obserwator.

 – Jedna z naszych zgubiła nad doliną dziecko. Za każdą informację o nim otrzymasz wielką nagrodę do wyboru. Nawet do wiecznej młodości, jeśli znajdziesz malucha.

 – Na Strefie wieczna młodość jest mi do chrzanu. Jestem bezterminowy. Jeśli dasz mi młodość i termin, ruszę dupę. A jak nie, to wybacz, naczelniku. Nie ma sensu.

 – Kim jesteś? Za co się tu znalazłeś?

 – Sprawa numer 708 414.

 Smok przewrócił oczami i Mrok zrozumiał, że komunikuje się z komputerem w okularach.

 – Stan Fred. Surowy Fred. Wybacz, ale z terminem nie wyjdzie. Spadłeś tu dożywotnio. Zbyt wiele trupów masz na sumieniu.Maksimum, co mogę ci zaproponować, to młodość i po kilogramie złota za każdy gram uratowanego smoczka.

 – Nazywam się Mrok, naczelniku. Przezwisko Stan Fred nie ja wymyśliłem.

 – Kto zna Mroka, człowieku? A Stana Freda znają wszyscy. Co prawda, nikt nie wie, że Mrok i Stan Fred to ta sama osoba. Powiedz szczerze, człowieku. Na Strefie przestępcami są wszyscy, uczciwych tu nie ma. Ale może Surowy Fred jest z nich… najlepszy? Może właśnie on zasługuje na bilet na górę? Nie jest ci do śmiechu, co, Mrok?

 – Ty przerośnięty waranie, na pewno inaczej zaśpiewacie, jeśli przywlokę wasze smoczątko za ogon.

 – Masz rację, potomku małpy. Ale najpierw go przywlecz. Banan będzie później.

 Smok rozpostarł skrzydła i wzbił się w niebo. Mrok splunął. Wszystko wyjaśniło się bardzo prosto. Góra rodziła mysz. Obliczył z grubsza, ile może ważyć zgubiony maluch. Smoki rodziły się bardzo małe: piętnaście-dwadzieścia centymetrów długości i sto-dwieście gramów wagi. Z drugiej stronny smoki spokojnie mogły wyłożyć za dzieciaka bryłę złota o wadze pięćdziesięciu, a nawet tysiąca ton. W jednym kawałku. Po nich wszystkiego można było się spodziewać. Na głównym placu Townu. Z tabliczką: „Złoto Surowego Freda. Prosimy nie dotykać bez zgody właściciela”. Niech diabli porwą ich poczucie humoru.

 Nad głową, kłócąc się zażarcie, przeleciały trzy sępy-ścierwniki. Mrok ze smutkiem przypomniał sobie, że w jego rewolwerze pozostało już tylko pięć naboi. Nie lubił ścierwników, ale naboje mogły się przydać. Nawet, gdyby nie miał przy sobie dziewięciu kilogramów złotego piasku, Strefa nie była miejscem, gdzie można byłoby chodzić bez broni.

 Oto i przełęcz. Minął kolejną skałę, uśmiechnął się i wykonał szybki ruch ręką. Jeden z sępów zamachał skrzydłami i zarył dziobem w ziemię, pozostałe dwa odleciały. Mrok wyjął z boku ptaka nóż, wytarł o pióra, schował do pochewki na ręce i zakrył rękawem. Potem spojrzał na zdobycz ścierwników. To była zielona jaszczurka. Nie, nie jaszczurka… Nietoperz? Zielony? Smoczek! Ten sam, którego szukają! Zdechły smoczek! Mrok roześmiał się i przewrócił końcem buta maleńkie ciałko. Około stu gramów – ocenił na oko. Z ogonem i tylnymi łapkami byłoby sto pięćdziesiąt. Sto pięćdziesiąt kilogramów złota leży sobie po prostu na drodze! Chociaż nie – była mowa o uratowanym dziecku. Da się zresztą sprawę odwrócić. Można najpierw zażądać metalu, a potem oddać smoczka. I zabitego sępa z ogonem smoka w żołądku – do kompletu.

 – Ależ ze mnie anioł stróż! – Śmiał się Mrok. – Spóźniłem się wszystkiego o kilka sekund przez waszego gadułę. Dawajcie złoto i zabierajcie swojego szczeniaka.

 Przysiadł i uważnie obejrzał malutkie ciałko. Tylna część – łapy i ogon – była oderwana. Splot jelit wypadł w kurz. Klatka piersiowa rozplatana od gardła w dół. Widać wszystkie wnętrzności. Płuca, żołądek, serce. Czyżby mu się wydało? Bije! Gadzinka żyje!

 Mrok wiedział o niewiarygodnej żywotności smoków, ale żeby aż tak!... Nie, oczywiście, że maluch niedługo umrze, ale jeśli zdąży go donieść, to… To! Jeszcze nigdy żaden smok nie złamał danego słowa! Kwintal żółtego metalu!

 Mrok pośpiesznie zdjął plecak, wyjął pognieciony żelazny kufelek, przepłukał go wodą z butelki. Wysypał zawartość na ziemię, złapał apteczkę, wyrwał z obsadki tubkę z biożelem i wycisnął wszystko do ostatniej kropli. Białawego, prawie przeźroczystego żelu zebrało się niespełna pół kubka. Podniósł ciałko, zmył kurz i krew wodą z butelki, obciął zwisające jelita małym ostrzem scyzoryka i włożył smoczka do biożelu jak świeczkę, główką do góry. To było wszystko, co mógł dla niego zrobić. Lekarz może zrobiłby więcej, a może zabiłby go z litości. Smoczek otworzył pyszczek i zrobił ruch, jakby coś przełykał. Mrok odłamał koniuszek ampułki z glukozą i wlał zawartość do malutkiej paszczy. Dokładnie ułożył rzeczy w plecaku, włożył kubek ze smoczkiem bocznej kieszonki, cisnął za kamienie ciało sępa i szybko pomaszerował w kierunku Townu. W głowie kłębiły się pomysły. Tyko się nie śpieszyć, nie gorączkować! Traszkom łatwo odrastają stracone łapy. Niektóre jaszczurki same odrzucają ogony. Żadna jaszczurka nie dorówna jednak żywotnością smokowi. Tak, ale ten ma oderwany cały tył. Jelita na zewnątrz, pierś rozbebeszona. Umrze, na pewno umrze. Za zdechłego dadzą grosze. A jeśli zaryzykować? Kto nie ryzykuje, nie pije szampana. Jeśli żmijka umrze, to oddam zdechłą, trudno. Za to, jeśli przeżyje, za rok będzie ważyła… Ile może ważyć roczny smok? Dorosły, dziesięcioletni, od czterech do sześciu ton. A roczny? Nie czas nad tym spekulować, lepiej pomyśleć, skąd wziąć biożelu. Jeśli po tubce na dzień, to trzydzieści na miesiąc, lepiej wziąć na zapas – pięćdziesiąt. Ale żeby nikt nic nie zaczął podejrzewać. Stawka zbyt wysoka. Do czego może się przydać tyle biożelu? No dobrze, na początek wystarczy dziesięć tubek, potem pomyślimy.

 Po dwu godzinach Mrok zobaczył dom Bobasa. Bobas mieszkał sam i prowadził coś pośredniego między zajazdem a sklepem. Wybrał dobre miejsce. Do jego knajpy dochodziła droga z Townu, a dalej rozchodziły się ścieżki traperów. Mrok głośno wszedł do knajpy, ostrożnie postawił plecak pod ścianą, padł na fotel i położył nogi na stole ze słowami:

 – Witaj, Bobasie!Trzy tubki biożelu. Schodziłem całe nogi. I piwa! Wiadro zimnego piwa!

 – Jeszcze nie zdechłeś, ty płodzie grzechu szakala z hieną! – Bobas przeciągnął się z chrzęstem, wstając na całą wysokość: dwa metry i osiem centymetrów. – Gdzie cię nosiło? Czekam od rana.

 – Jak mogłeś na mnie czekać, jeśli rano sam nie wiedziałem, że tutaj będę?

 – Oprócz ciebie od dwu dni nie było nikogo. To znaczy, że wyczekuję ciebie, ty wyrodku. – Bobas, przechodząc koło Mroka, zrzucił jego nogi ze stołu. Mrok zaraz położył je z powrotem. Bobas pokręcił się przy lodówce,poszedł do spiżarni, wracając znów strącił nogi Mroka ze stołu i postawił przed nim wiadro.

 – Co to ma być? – zdziwił się Mrok.

 – Twoje zamówienie. – Bobas rzucił na stół tubki z biożelem. – Będziesz płacił kredytami czy piaskiem? Piaskiem daję pięć procent zniżki.

 – Piaskiem. – Mrok zajrzał do wiadra. Tam w piwie pływał gliniany kufelek.Mrok wyjął go, zaczerpnął piwa i upił łyk. Piwo byłoznakomite. – Skąpiec z ciebie. Zmawiałem wiadro, a tu połowa. Nie słyszałeś, że klient ma zawsze rację?

 – Ty siwy głuptasie, nie jesteś smokiem. Brzuch ci pęknie i będę musiał myć podłogę. Co tam słychać na świecie? Gdzie się wszyscy podzieli?

 – Myślę, że w Ciepłej Dolinie. Szukają smoczego szczeniaka. Mnie też proponowali, ale ich spławiłem.

 – Czyżby? – Bobas powrócił do swojego fotela na biegunach przy oknie.

 – Ano tak. Od razu zapytałem: „A dasz bilet na górę?”. A smok na to: „Siedź na Strefie, aż wyciągniesz kopyta”. No i posłałem ich do wszystkich diabłów.

 – Mrok, ty coś ściemniasz.

 – Sam pomyśl. Ze Strefy mnie nie wypuszczą, to po co mam harować? Dla pieniędzy? Tam teraz samych smoków jest ze trzysta. Krążą jak wrony nad padliną. A ludzie, a cybery? A żmijka jest jedna. Tylko jeden zarobi, reszta będzie ssać łapki, rozumiesz?

 – Mrok, ty coś ściemniasz – powtórzył Bobas.

 – Opowiedziałem ci, jak chcesz, to idź szukać. A ja obtarłem nogi. – Mrok zaczerpnął jeszcze jeden kufel piwa. – Chyba zatrzymam się u ciebie na jakieś dwa dni, żeby zaleczyć odciski. Która nora wolna?

 – Zajmij, którą chcesz. Jesteś jedynym gościem.

 – Pytam, która wolna od karaluchów? – Mrok roześmiał się.

 Wziął na ramię plecak, chwycił wiadro i podreptał na piętro.Zamknął drzwi i ostrożnie wyjął kufelek ze smoczkiem. Maluch uparcie trzymał się życia. Biożel dookoła ciałka zmętniał. Mrok się zamyślił. Wyjął nici i obwiązał ciałko, żeby zamknąć krawędzie strasznej rany. Zamieszał ostrzem noża biożel i znowu włożył do niego smoczka. Przebrał całą apteczkę, długo rozmyślając nad każdym lekiem. Nic nie wymyślił i tylko wlał w smoczka jeszcze jedną ampułkę glukozy. Zdjął ciężkie buty, położył się na łóżku i, sącząc piwo, zaczął przypominać sobie wszystko, co wiedział o smokach. Wiedział niewiele. Pierwsze smoki były istotami sztucznymi. Ludzie w jakiś sposób zapisywali w nich swoją pamięć.

 „A przecież to jest wyjście!” – pomyślał – „Jeśli przepisać moją pamięć w żmijkę, czy nie wypuszczą swojego z planety? Wypuszczą! Prędzej czy później wypuszczą!”.

 To zmieniało wszystko. W życiu znowu pojawił się cel. Przedtem Mrok miał nadzieję, że za dobre zachowanie zamienią mu dożywocie na termin, ale krótka rozmowa ze smokiem przekreśliła ją. Dziesięć lat katorżniczej pracy i wzorowego zachowania, a smok nawet o nich nie wspomniał! No jasne, co to dla smoka dziesięć lat! One żyją wiekami, żaden z nich nie umarł jeszcze ze starości. No cóż, on ma już gotowy nowy plan. Zostanie smokiem i porozmawia z nimi jak równy z równym. W tym celu trzeba będzie naprawdę wiele zrobić. Czasu jest dosyć. Smoki dojrzewają dziesięć lat. W ciągu tych dziesięciu lat trzeba będzie znaleźć tajne laboratorium, w którym mogliby przepisać smokowi jego pamięć, albo, jeśli to się nie uda, zorganizować je samemu. To wymaga pieniędzy. Bardzo wielu pieniędzy. Ale one na Strefie są, a prawa... Na Strefę nie trafiają ci, którzy przestrzegają prawa. Niech sobie gubernia w Townie smaruje papiery. Tu działa tylko jedno prawo: nie sprzeciwiać się smokom. Ale te do ludzkich spraw mieszają się bardzo rzadko. Po to jest Strefa. Czyli pierwszy etap planu: wyhodować smoczątko i dowiedzieć się o smokach ile się da.

 Mrok wstał, podszedł do stołu i zupełnie inaczej spojrzał na istotę w metalowym kuflu.

 – Twoje zdrowie, maluchu! – Pociągnął haust piwa i pochylił głowę na bok.

 Wiadro z piwem było już prawie puste. Mrok długo ignorował mężnie wezwania pęcherza moczowego, ale w końcu się poddał. Potknął się o wiadro, rozlewając resztki na podłogę, po czym zamknął drzwi i rześko potruchtał na podwórze. Dopiero pod sosną przypomniał sobie, że w domach do tego celu służy specjalne pomieszczenie o nazwie toaleta. Wypite piwo nastrajało go dobrodusznie. Zachód był piękny jak rzadko. Pnie sosen błyszczały jak czysta miedź. Mrok prześledził drogę słońca, aż znikło za przełęczą, i wyjaśnił pniu sosny, że nie można pić piwa wiadrami, gdyż od tego rośnie brzuch, po czym potruchtał do domu.

 – Co ci przygotować na kolację? – zapytał Bobas. Mrok omal nie potknął się na schodach.

 – Bobasie, takich słów nigdy od ciebie nie słyszałem. Nie uderzyłeś się czasem w główkę?

 – Nigdy nie byłeś jedynym gościem od dwu dni.

 – A-a, no to daj kawałek mięsa i coś jeszcze do piwa.

 Rozmyślając o kawałku mięsa, Mrok zamknął za sobą drzwi i dopiero wtedy zrozumiał, że coś tu było nie tak. Wyjrzał na korytarz i wpatrzył się w mokry ślad buta koło drzwi. Przeniósł wzrok na swoje bose nogi, potem na kałużę piwa pod łóżkiem. Chmiel wyparował z głowy. Mrok uważnie obejrzał pokój. Wszystkie przedmioty były na swoich miejscach. Ale w którym kierunku było skierowane ucho kufla ze smoczkiem? Siedział tam, trzymał je w lewej ręce – czyli do okna. A teraz – do ściany. Jęknął i usiadł na łóżku, trąc ręką kark.

 – Twoje mięso gotowe, chodź żreć. – Głos zza drzwi wyrwał go z zamyślenia.

 – Zaraz, tylko wypłuczę buty przy źródle.

 – Wszystkie ryby wytrujesz. Chodź szybciej, kolacja stygnie.

Mrok wyszedł z domu, przykucnął przy źródle plecami do okien, umył buty. Podniósł z dna kamień, włożył do buta. Wrócił do domu machając niedbale drugim, pustym butem.

 – Masz coś mocniejszego od piwa?

 Bobas odwrócił się przodem do lodówki, a Mrok uderzył go butem z kamieniem w tył głowy. Przewrócił bezwładne ciało na brzuch, wyciągnął pas ze spodni i związał nim ręce za plecami. Ściągnął mu spodnie do kolan i poszedł do spiżarni po sznur.

 Gdy wrócił, Bobas zaczął już przychodzić do siebie. Mrok dokładnie związał go, sprawdził trwałość węzłów i posadził w fotelu na biegunach ze słowami:

 – Ależ ty masz czaszeczkę! Inny by już wyciągnął kopyta.

 – Czego ty chcesz ode mnie?

 – Nic nie chcę. – Mrok przysunął fotel do nakrytego stołu. –Będę cię karmił, poił. – Przytknął kufel z piwem do ust Bobasa. Ten pożądliwie upił kilka łyków. – Czyżbym się pomylił? Teraz zakąś. – Nabił na nóż kawał mięsa, a gdy Bobas ugryzł i zaczął żuć, spytał: – No i jak?

 – Wystygło. Czego ty chcesz ode mnie?

 Mrok w zamyśleniu obejrzał stół.

 – No to proszę, łyżeczkę puree z kartofli. Za tatusia, za mamusię.

 – Zostaw, nie będę jadł tego świństwa! – Bobas wił się w krześle, uchylając się przed łyżką.

 – A jak ci wsadzę kulkę w usteczka? Z pistolecika? Tylko jedną łyżeczkę. No? Za smoczka.

Bobas przestraszył się, ale szybko wziął się w garść.

 – Wygrałeś. Puree jest zatrute.

 Mrok roześmiał się z zadowolenia.

 – Wiesz, jak mnie nazywali w młodości? Stan Fred. Słyszałeś to imię?

 – Zażartowałem. Dawaj to swoje puree. Nie znoszę go. Ale dla ciebie zjem.

 – Nie, Bobasie. Na razie jesteś mi potrzebny żywy. Teraz jesteś częścią mojego planu.

 Nie zwracając uwagi na przekleństwa za plecami, Mrok poszedł do magazynu. Wybrał sobie wszystko, czego potrzebował i włożył do nowiusieńkiego plecaka. Potem oba plecaki – stary i nowy – zaniósł do lasu. Wrócił do domu i wziął skrzynkę z dynamitem.

 – Co chcesz zrobić, Mrok?

 – Dzisiaj możesz nazywać mnie Stan. Zamierzam zwalić na twój domek tą oto skałę. Nie masz nic przeciwko temu?

 – Nie rób tego, Mrok! Mrok!!!

 – Wybacz, Bobasie. Nic osobistego. Po prostu taki mam plan. – Mrok dał mu odetchnąć patentowanym środkiem nasennym, gwarantującym przyjemne sny. Rozwiązał go i przesunął fotel na biegunach pod przeciwległą ścianę.

 Dom przekrzywił się, ale nie runął. Bobas nie miał szczęścia. Kamienie przebiły ścianę, zamieniły jego nogi w krwawą kaszę, ale go nie zabiły. To było niezgodne z planem. Mrok potarł podbródek w zamyśleniu.

 – Co by zrobił twój przyjaciel, hm? – zapytał siebie samego.

 Rozrzucił kamienie i przetaszczył Bobasa do wanny. Ściągnął mu ubranie, przyniósł pakiety z biożelem i zaczął wyciskać na jego nogi tubki, nie licząc ich. Zajrzał do sypialni i aż gwizdnął. Ławina pochyliła dom i ścianka runęła, ujawniając tajny pokój. Skarbiec! Generator elektryczny, wieczny akumulator na nadprzewodnikach, karbowana i gładkolufowa broń palna, optyczne celowniki – czego tam nie było! Mrok poszedł do magazynu, wziął jeszcze dwa plecaki, napełnił je najcenniejszymi rzeczami, zaniósł do lasu, schował i wrócił.

 – Nogi! O-o-o! Moje nogi! – usłyszał z wanny. Stanął w drzwiach, wyjął pistolet, wycelował w Bobasa, poczekał, aż na jego twarzy pojawi się wyraz przerażenia i strzelił mu w czoło.

 – Ciekawość cię zgubiła, Bobasie – powiedział.

 Bobas nie odpowiedział. Trupy w ogóle bardzo rzadko rozmawiają.

 – A teraz własne alibi. Aż wstyd, gdyby ktoś to mógł ocenić – wymamrotał Mrok.

 Rozdarł lewy rękaw i dwa razy przejechał od łokcia do ramienia najgrubszym papierem ściernym. Poczekał, aż rękaw porządnie przesiąknie krwią, zdjął kurtkę, owinął bandażem, ubrał się, wziął łopatę i poszedł po plecaki. Dwa zakopał o kilometr od zajazdu, dwa zostawił. Odniósł łopatę na miejsce, wrócił po pozostałe plecaki i poszedł. O dwadzieścia kilometrów w linii prostej od domu Bobasa od trzydziestu lat miał swój bunkier. Wcześniej była to mała, sympatyczna pieczara. Mrok wiele się nad nią napracował, zanim wydrążył niewielkie pomieszczenie, w którym mógł chodzić wyprostowany. Bunkier miał wodociąg. Dwieście metrów na czworakach – i cud przyrody, podziemny strumień. Ten sam strumień wypływał ze skały o pięćdziesiąt metrów od wejścia. W bunkrze było wszystko niezbędne do życia i zapas jedzenia na pół roku. Co pięć lat Mrok przynosił tam nowe konserwy, odwodnione produkty i wojskowe suchary, a stare odsuwał w głąb jaskini.

 Po drodze wyrzucił pistolet w torfowisko. Do bunkra wszedł zmęczony i zły. Zdjął plecaki, najpierw ten z pleców, potem z przodu. Odpiął pas ze złotym piaskiem i usiadł na stole. Wyjął kufel ze smoczkiem. Z maluchem było bardzo źle.

 – Jak zdechniesz, to cię zabiję! – obiecał mu Mrok, nie przejmując się nierealnością groźby.

 Wymienił smoczkowi biożel na nowy i wlał mu do pyszczka od razu dwie ampułki glukozy. Usiadł na kamiennej podłodze, opierając się plecami o nogę stołu. Nie chciało mu się wstawać, ale musiał. Wysypał z pasa piasek, pozostawiając trzy kilogramy, wyjął zbędne rzeczy z plecaka, ze skrzyni z bronią wyjął nowy pistolet, włożył do niego łódkę nabojową i zabezpieczył go. Zaklął głośno i wyszedł z bunkra. Do Townu miał ponad czterdzieści kilometrów.

 Wpadł do salonu wyglądając prawie jak trup. Czarny od brudu, zarośnięty, z lewą ręką wiszącą na opasce.

 – Chłopcy, kilogram piasku za strzykawkę z regeneratem! – Mrok nie poznał własnego głosu, ochrypniętego, rwącego się.

 – Co ci się stało?

 – Nie dla mnie. Tam Bobas umiera. – Zrzucił plecak na podłogę, oparł się plecami o ścianę, rozpiął i podniósł nad głowę pas z piaskiem. – Dwa kilogramy za strzykawkę! Tylko szybciej!

 Przynieśli mu kufel piwa. Dookoła niego zgromadził się tłum.

 – Ty by tego… Przecież to zakazane – powiedział ktoś niepewnie.

 Mrok chwycił go za klapy, podciągnął do siebie.

 – Tam Bobas umiera! Trzeba szybciej! – powtórzył i odepchnął go. – Czyżby nikt nie miał? Daję trzy kilogramy. Więcej nie mam.

 Posypały się pytania. Z tylnych rzędów przebił się jakiś elegant.

 – Mam towar. Cenę sam podałeś.

 – Dobra! – Mrok wypuścił z szumem powietrze. – Jedziemy. Zorganizuj konie.

 – E-e, nie. Ja daję strzykawkę, o resztę zatroszcz się sam.

 Tłum dookoła zaszumiał z niezadowoleniem.

 – Ty żuku gnojku, podsuniesz mi strzykawkę z wodą, a sam w nogi? – Rozzłościł się Mrok. – Nie, pojedziesz ze mną i wstrzykniesz własnoręcznie. Bobas przeżyje – złoto będzie twoje, a jeśli nie, to – wybacz.

 Pojechało dwudziestu. Mrok zasnął od razu, kiedy tylko usiadł w powozie. Koło domu Bobasa z trudem go obudzono. Wypatrzył wśród jeźdźców eleganta, chwycił go za rękę i pociągnął do domu. Zastygł w drzwiach łazienki, zagradzając drogę pozostałym. Ryknął, rozepchnął wszystkich i wybiegł na drogę, wymachując pistoletem i wykrzykując przekleństwa oraz niezrozumiałe groźby.

 Ludzie, którzy z nim przyjechali, obszukali cały dom, las i górę obok domu. Oczywiście nie znaleźli nikogo. Mrok siedział na ganku z ponurą miną, ale naprawdę był zadowolony. Wszystkie ślady w okolicy były zadeptane, torby i kieszenie przybyłych wypchane prezentami z domu Bobasa. Plan zadziałał. Odtworzenie prawdziwego przebiegu wydarzeń było już niemożliwe.

 Mroka przywieźli jednak doguberni na przesłuchanie. Tego się nie bał, choćby dlatego, że zabójstwo miało miejsce poza granicami Townu.

 – …Czyli przeszedł pan w nocy pięćdziesiąt pięć kilometrów i wezwał pomoc?

 – Więcej. Spory kawał szedłem lasem, żeby te gnidy mnie nie zastrzeliły. A w lesie, jak pan wie, nie ma prostych dróg. No i trochę pobłądziłem po ciemku. Dobrze, że od czasu do czasu świecił księżyc.

 – Pan i Bobas byliście przyjaciółmi?

 – Jak by to powiedzieć… To był nasz człowiek, z naszego kręgu. Wie pan, o czym mówię?

 – Słyszałem, że proponował pan za regenerat trzy kilogramy złota.

 – No i co z tego? Mamy wolność słowa. Mogę mówić, co chcę. Tego regeneratu nie miałem w rękach i nie widziałem na oczy.

 Urzędnik uśmiechnął się.

 – Nie mamy do pana żadnych pretensji. Ja o złocie. Jeśli pan zechce, pomogę panu otworzyć rachunek w banku. Jedynym moim warunkiem jest, żeby pan w ankiecie podał, że to ja pana rekomendowałem do banku.

 – Nie, dziękuję. Wolę po staremu, tak pewniej. Czekiem za przełęczą nie zapłacisz, a kredyty i złoto pójdą wszędzie.

 – Nie mam do pana więcej pytań. Dziękuję za pomoc. Aha, pańska ręka. Wezwać lekarza?

 – A, zadrapanie. Chce mi się spać.Gdybym był jeszcze potrzebny, to jestem w tej wylęgarni pluskiew „Pod Trzema Bramami”. Dzisiaj odpocznę, a jutro znowu pojadę do domu Bobasa. Zostawiłem tam swoje narzędzia i przez to poranne zamieszanie zapomniałem wziąć.

 Nie udało mu się dojść do „Trzech Bram”. W wąskim zaułku wbiła mu się w plecy lufa rewolweru i zadziwiająco znajomy głos rozkazał mu się nie ruszać. Narzucili mu worek na głowę, związali ręce, wepchnęli go do dorożki i wywieźli z miasta. Zagruchotał pod kołami drewniany most, dorożka się zatrzymała. Mroka wzięli pod ręce, zaprowadzili go do domu. Powtórzyła się procedura śledcza. Wprawdzie nie rozmawiali z nim tak uprzejmie, nie proponowali mu papierosa, nawet worka z głowy nie ściągnęli, ale nie bili. Po głosach rozpoznał prawie wszystkich, to byli ludzie Guza. Dziesięć lat temu, kiedy Mrok zakończył walkę z gangami i poszedł płukać złoto, Guz dopiero zaczynał, terazbył już głowa mafii. Z aluzji Mrok domyślił się, że w swoim czasie Guz miał jakieś interesy z Bobasem, ale potem Bobas oddalił się, wybierając legalny biznes.

 – Ilu ludzi widziałeś? – Głos należał do Guza. Słowa głucho odbijały się od ścian piwnicy.

 – Jeden do mnie strzelał. A widzieć nie widziałem nikogo i nie miałem do nich głowy. Kurzu było do diabła i trochę, kamienie wielkości twojej głowy skakały po polanie jak piłki.

 – Co ci się stało w rękę?

 – Drobiazg, zadrapanie.

 – Dok, sprawdź.

 Czyjeś ręce rozwinęły i oderwały przyschnięty bandaż. Mrok zawył. Czułe palce zaczęły obmacywać kość. Kiedy dotykały stawu łokciowego, Mrok krzyczał i klął.

 – No i co?

– Kości całe. Stłuczenie, lekkie zwichnięcie albonaciągnięcie. – Te same palce posmarowały czymś zadrapania i zręcznie zabandażowały z powrotem.

 – Mówiłem przecież, że to zadrapanie – obruszył się Mrok.

 – Gdzieście go wzięli?

 – Przy Palenisku.

 – Odwieźcie go tam.

 – E-e, chłopcy, ja szedłem do „Trzech Bram”.

 – Odwieźcie do „Trzech Bram” – pozwolił głos Guza.

W drodze powrotnej Mrok zasnął. Wypchnęli go z dorożki zaspanego. O dziwo, nic z jego rzeczy nie zginęło. Wszystko było na swoim miejscu: złoto, pistolet, naboje.

 Powód do odwiedzinw domu Bobasa był całkowicie zgodny z prawem: zostały tam jego łopata i łom. Takiego łomu nikt nie miał. Zrobiono go na zamówienie z drążka sterowniczego kutra desantowego i był wieczny. Mrok pracował nim już od dziesięciu lat, a koniec ciągle był ostry jak dobrze zatemperowany przed chwilą ołówek. Czy była to kwestia hartowania, czy uzyskanego wcześniej napięcia strukturmono-molekularnych, ale jego stępienie było niemożliwe. Naostrzenie zresztą też – gdyby jednak jakimś cudem się stępił.

 Zakupiwszy w sklepach żywność, lekarstwa i inne drobiazgi, Mrok wyszedł z Townu. Niedługo dogoniła go furmanka i pół drogi przejechał komfortowo. Woźnicy potrzebny był słuchacz, nie umiał milczeć, a Mrok stęsknił się za ludzkimi głosami. Z ciekawością wysłuchał opowieści o tym, jak Bobas ze swoim przyjacielem ostrzeliwali się z całą bandą i utrzymaliby się, gdyby napastnicy nie wysadzili dynamitem skały, powodując lawinę. Bobas został ranny, a jego przyjaciel poszedł do Townu po pomoc, sprowadził cały oddział, ale przybyli za późno. Bobas dostał kulę, dom zdewastowali, wywieźli wszystkie wartościowe rzeczy.

 – A nie wiesz, dlaczego oni na niego napadli? – zapytał Mrok.

 – Wiadomo, mieli bardzo dogodną okazję. Tam zawsze jest pełno ludzi, a wtedy nie było nikogo. Wszyscy pojechali szukać smoczego szczeniaka. Ja też tam byłem.

 – Ejże! – zdziwił się Mrok. – Opowiedz.

 – Nie ma o czym opowiadać. Cały las przeczesaliśmy, całą trawę wydeptaliśmy – i nic nie znaleźliśmy. Ale jedno zapamiętam na całe życie: leciałem tam na smoku.

 – A z powrotem?

 – Niegłupim – roześmiał się woźnica. – To nie koń. Zsuniesz się – zostanie mokre miejsce.

 – Opowiedz od samego początku.

 – A nic więcej nie było. Leciała smoczyca, urodziła w locie, maluch spadł, a ona nie zorientowała się od razu, co do czego. A gdy się zorientowała, wezwała pomoc. Przecież one wszystkie chodzą z komputerami. No i tu zaczęło się coś takiego… Nie uwierzysz, smoków było jak much w upalny dzień. Jak chmury! Nieba nie było widać. Nagoniły cyberów, naprosiły ludzi. Same bały się lądować, żeby nie zmiażdżyć. Wypatrywały tylko z góry.

 – Coś ściemniasz–podjudził Mrok. – Jak to możliwe: urodzić i nie zauważyć? Nasze baby tak się męczą.

 – Nie wiesz, że pierwsze smoki zrobili ludzie? Robili dla siebie, no i postarali się. Samca zaprojektował chłop, a samicę – jego żona. A co babie potrzeba? Nie bać się porodów i nie stać przy garach. No i zrobiła tak, że smoki mogą jeść każde gówno. Sam jeszcze na górze widziałem, jak jeden z nich pił naftę.

 – I co? – Zainteresował się Mrok.

 – Mówi: „Zjeść można, ale smakuje jak gówno. Syci, ale odbija się zapachem nafty”.

 – A czym się skończyło ze smoczkiem?

 – A niczym. Znasz morską zasadę? Nie ma uratowanego – nie ma nagrody. Doszli do wniosku, że zjadł go lis albo inny zwierz.

 W domu Bobasa już pojawili się nowi gospodarze. Rozbierali zwały kamieni, budowali jakąś wielką konstrukcję z pni sosen, żeby wyprostować dom. Nie byli zachwyceni wizytą Mroka, ale ten oświadczył, że przyszedł po swoje rzeczy: łopatę, łom i jakieś drobiazgi ze schowka za sypialnią. Kazali mu wyliczyć, co jak wygląda i gdzie leżało. Wyliczył prawie wszystkie wartościowe rzeczy ze schowka. Nigdy się nie skarżył na pamięć. Obiecał urządzić im wesołe życie, jeśli nie oddadzą. Naradziwszy się, zgodzili się oddać mu wszystko, co wyliczył. Praw do domu mieli nie więcej niż Mrok. Oczywiście ponad połowy rzeczy już brakowało. Mrok żądał kompensacji wartości akumulatora i generatora, dotykał palcem śladów na zakurzonej półce, przezywał wszystkich kanciarzami i krwiopijcami, omal nie dostał po karku, w końcu wziął resztę do kolejnych dwu plecaków i odszedł, klnąc. Zresztą klął niedługo. Gdy tylko dom znikł za zakrętem, jego przekleństwa zamieniły się w kpiące pogwizdywanie. Przełożył łom na drugie ramię, skręcił z drogi i skierował się w stronę zakopanych plecaków. Dzień się kończył, szybko ciemniało. Las ucichł. Mrok był już blisko tego miejsca, ale jakiś szósty zmysł kazał mu przejść obok bez zatrzymywania się. Wytężył słuch. Tak, za plecami wyraźnie było słychać czyjeś kroki. Mrok przygotował się do walki, sprawdził pistolet, poszedł szybkim, bezdźwięcznym krokiem. Kroki za plecami też przyśpieszyły, Mrok zresztą zdziwiłby się, gdyby było inaczej. Minął zakręt ścieżki i schował się za drzewem. Obok niego przekradł się człowiek. Starał się iść bezdźwięcznie, ale wybrał nienadające się do tego obuwie. Mrok poczekał jeszcze chwilę i poszedł za nim. Po chodzie i sylwetce poznał Johny’ego-Przylepkę, podręcznego Guza. Ścieżka przed nimi przecinała obszerną polanę, zalaną księżycowym światłem. Johny zauważył, że na ścieżce nikogo nie ma, zanurkował w cień drzewa i rozejrzał się z zakłopotaniem.

 – Szukasz mnie? – zapytał Mrok – Rozwiąż zagadkę: W jedno ucho wlatuje, drugim wylatuje. Co to takiego?

 – Mrok? To ty? Co to za zagadka, do diabła?

 – To łom! – Mrok cisnął w niego wymienionym przedmiotem.

 Podchodząc do ciała, ze zdziwieniem zauważył, że łom nie wbił się w nie. Johny miał na sobie płytkową kamizelkę kuloodporną. Jednak ona go nie uratowała. Stał oparty o drzewo i jego klatkapiersiowa nie wytrzymała ciosu, który połamał mu żebra. Żeby się długo nie męczył, Mrok stanął mu na gardło. Po chwili wziął ciało na ramię i zaniósł do pobliskiego strumienia. Włożył łom za kołnierz, pod ubranie, i wrzucił ciało do wody.

 – Jesteś świnia, Johny. Zabrałeś mi mój ulubiony łom. Pracowałem nim dziesięć lat. Był zrobiony z najlepszej stali stopowej, jaką tylko można było dostać w tej dziurze. Nie rób tego więcej, Johny. – Skończywszy to epitafium, Mrok poszedł z powrotem po schowane w lesie plecaki. Te, które miał, włożył na ich miejsce, a z tamtymi, zawierającymi bądź co bądź cenniejsze rzeczy, pomaszerował do bunkra, gwiżdżąc przez zęby jakąś pogrzebową melodię.

 Smoczek wciąż jeszcze żył. Oddychał słabo, ledwie zauważalnie, ale równo i rytmicznie.

 – Podobasz mi się, chłopcze – powiedział mu Mrok. – Umiesz walczyć o życie. Jeszcze trochę, a uwierzę, że smoki są naprawdę nieśmiertelne.

 Zmienił w kuflu biożel, nieco rozcieńczył miód i wlał kilka kropel do pyszczka smoczka.

 – Pocierp do jutra, maluchu Muszę jeszcze załatwić pewną sprawę. Za to później będziemy mieli cały miesiąc spokojnego życia. Umówiliśmy się? No i dobrze.

 Pogrzebał w szafie z bronią, zmienił buty i wyszedł z bunkra.

 – Nie rób zbędnych ruchów, Guzie. Mam ciebie na muszce. Zdejmij garnitur, usiądź na fotelu i połóż ręce na stole. O tak.

 – Jak przeszedłeś obok straży? Zwolnię tych łajdaków.

 – Po dachu. A propos straży. Wezwij ich tu i zwolnij do rana. Oczekujesz ważnego gościa.

 – Myślisz, że jestem samobójcą?

 – Nie masz wyboru. Zresztą, gdybym chciał cię zabić, nie gadałbym z tobą, tylko od razu zarżnąłbym cię nożem.

 – Przekonałeś mnie. Bądź tak dobry i pociągnij za sznur dzwonka dwa razy. I stań za kotarą. W przeciwnym razie moi chłopcy mogliby źle zrozumieć sytuację.

 Gdy strażnicy wyszli z pokoju, Mrok powiedział:

 – Guzie, jesteś teraz tylko o pół kroku od mogiły. Jestem na ciebie bardzo zły. Jeden nieostrożny ruch, jedno kłamliwe słowo – i już tam jesteś. Rozumiesz?

 – Chciałeś mnie o coś zapytać. Jako trup nic ci nie odpowiem.

 – Po co zabiłeś Bobasa?

 – Ja?! – Guz aż się odwrócił ze zdumienia.

 – Ręce na stół!

 – Mrok, nie jestem pewny, czy to ty go zabiłeś, ale coraz bardziej skłaniam się do tej wersji.

 – Po co miałbym zabijać wspólnika w dopiero co zawiązanej spółce?

 Guz już otrząsnął się z zaskoczenia i gorączkowo rozmyślał, marszcząc skórę na czole.

 – Nie zgadza się, Mrok. Kula, którą zabito Bobasa, pochodzi z twojego rewolweru. Pięć lat temu z tego samego rewolweru położyłeś pijanego durnia w Townie.

 – Aha, o to chodzi! Po roku sprzedałem go jakiemuś nowicjuszowi. Zaczął się zacinać.

 – Nie zawracaj mi głowy, Mrok. Jakież to interesy mogły łączyć ciebie i Bobasa?

 – Bardzo poważne, Guzie. I albo pokryjesz mi stracony dochód, albo znajdziesz zabójcę.

 – Ile może być warttwój poważny interes, Mrok? Pięćset kredytów? Tyle wydaję co wieczór w restauracji. Ty się przecież nie znasz na poważnych interesach, potrafisz tylko kopać w ziemi i celnie strzelać z pistoletu.

 – Nazywam się Stan Fred, Guzie.

 – Ty?! – Guz potarł łysinę. – Myślałem, że Stan zdechł dziesięć lat temu. – Znowu się zamyślił – To znaczy, że już nie zobaczę Johny’ego?

 – Tak. Ręce na stół. Trzeci raz nie będę uprzedzał.

 – No dobrze, jestem rozumnym człowiekiem. Ile więc jest wart twój interes?

 – Pięćdziesiąt kilogramów żółtego metalu.

 Guz przez chwilę poruszał bezdźwięcznie wargami.

 – Stan, rozumiem, że trupowi złoto nie jest potrzebne, ale ja tyle nie mam. Jeśli dasz mi tydzień, spróbuję znaleźć tego, kto umoczył Bobasa. Ale nic nie obiecuję. Wszystkie poszlaki wskazują na ciebie. Brakuje tylko motywu zabójstwa.

 Mrok zmarszczył czoło, udając, że się nad tym zastanawia.

 – Dobrze. Kiedy się dowiesz, dasz ogłoszenie w „Nowościach Townu”. Taki a taki wybiera się w drogę” z podpisem „Gryf”. Jeśli będziesz dokazywać… – Mrok przycisnął lufę pistoletu do poduszki i nacisnął spust. – A propos, możesz i tą kulkę przekazać do ekspertyzy swojemu człowiekowi w merostwie. To cię naprowadzi na właściwą drogę myślenia. A teraz odprowadź mnie do lasu. I zapomnij imię Stan.

 – Dobrze. Mrok, nigdzie ci nie przebiegłem drogi? Tylko to nieporozumienie z Bobasem?

 – Po co pytasz? Przecież ciągle żyjesz.

 – Jeśli moi chłopcy ci nachuliganią, czy coś w tym rodzaju, nie chwytaj od razu za pistolet. Najpierw mi powiedz. Mądrzy ludzie zawsze zdołają się dogadać.

 Mrok nic nie odpowiedział. Gdy już podchodzili do lasu, Guz zapytał:

 – Mrok, jeśli to nie tajemnica, na czym można zarobić w Townie pięćdziesiąt kilo złota?

 – Teraz to już nie tajemnica. Już za późno. Na informacji, Guzie. Na informacji i smokach.

 – Znaleźliście zaginione smocze szczenię?

 – Nie. Żywy szczeniak wart jest dziesięć razy więcej. Ale mogłem widzieć, jak zjadły go sępy. I mogłem po pijanemu wygadać się Bobasowi. Smoki obiecały nagrodę za każdą informację o żmijce.

 – A po co był ci potrzebny Bobas? Czemu sam nie mogłeś zakomunikować o tym smokom?

 – Dlatego, że wcześniej, gdy proponowały mi przyłączenie się do poszukiwań, posłałem je do wszystkich diabłów. Psychologia. Smoki kategorycznie odmówiły wypuszczenia mnie ze Strefy, więc z zemsty nie powiedziałem im o dziecku. Niech szukają! Dzień, dwa, tydzień!

 Guz znowu przez chwilę bezdźwięcznie poruszał wargami.

 – A gdyby przekręciły Bobasa na detektorze?

 – Bobasa? Proszę bardzo! Widział, jak wypiłem wiadro piwa i słyszał moją pijacką gadaninę. Byłem zrozpaczony. Miałem nadzieję otrzymać bilet na górę, a dostałem od smoków w pysk. Upiłem się w pestkę i straciłem nad sobą kontrolę. Taka jest prawda, którą mogły wyciągnąć od Bobasa. A mnie by na detektorze nie przekręciły. Nie mają prawa, to dobrowolne.

 – Tak. To mogłoby przejść. Ale gdyby później znalazły dziecko?

 – Nie ześlą mnie już dalej. Dwu dożywoci też nie dadzą. Niczym nie ryzykowałem. Czasem wydaje mi się, że właśnie o to chodziło. Pieniądze trzeba zarobić, a to była czysta łatwizna.

 – Pomyśleć tylko: Stan Fred filozofem! Ale po co ci zabójca Bobasa? Sam przecież powiedziałeś: już za późno. Okazja stracona. Przeszłości nie wrócisz.

 – Stanął mi na drodze, więc umrze.

 Podeszli do lasu. Mrok odwrócił Guza twarzą do domu.

 – Idź do domu i nie oglądaj się.

 Jakiś czas obserwował, jak Guz się oddala, potem bezdźwięcznie zniknął w lesie.

 Trzy dni później smoczek ciągle jeszcze żył. Rana na piersi zabliźniała się, ale to, co było poniżej, wyglądało kiepsko. Mocno schudł. To, co Mrok wkraplał mu do pyszczka, nie zatrzymywało się w żołądku i już po pięciu minutach wypadało z kikuta jelita cienkiego, sterczącego z urwanego brzuszka. Jednak smoczek już kilkakrotnie otwierał oczy, poruszał szyją i przednimi łapkami. Mrok praktycznie nie odchodził od niego. Zmieniał biożel, potem poił glukozą i rozrzedzonym miodem – i znowu musiał zmieniać biożel. Smoczek teraz leżał w przeźroczystej kuwecie. Tak było wygodniej i jemu, i Mrokowi.

 Na czwarty dzień Mrok zobaczył coś nieprawdopodobnego: smoczek zlizywał z łapki kropelki biożelu. Mrok wziął tubkę i wycisnął trochę sobie do ust. Biożel był dość gorzki i odrobinępalił śluzówkę.

 – Ależ ty musisz być głodny, maluchu, jeśli jesz to świństwo! – powiedział do niego Mrok.

 Kolejny raz sprawdził zapas konserw i koncentratów. Otworzył puszkę konserw mięsnych, i kawałeczek galaretki z wierzchu włożył smoczkowi do pyszczka. Ten zjadł.

 – Tak trzymać, mała żmijko! – Ucieszył się Mrok.

 Szóstego dnia maluch sam już otwierał pyszczek, kiedy Mrok podsuwał mu plastikową łyżeczkę z kawałkiem żelu. A dziesiątego dnia obrócił się na brzuszek i zaczął pełzać po kuwecie. Mrok wziął dużą skrzynkę i zrobił z niej mały maneż. Postawił w nim naczyńka z wodą i miodem oraz otwartą puszkę konserw mięsnych. Smoczek niestrudzenie czołgał się od jednego naczynia do drugiego, pozostawiając za sobą ślad z tego, co przed chwilą zjadł i wypił.

 Po dwu tygodniach spojrzał w lustro i nie poznał siebie. Rozczochrany, nieogolony. Twarz zapadnięta, pod oczami worki od stałego niedosypiania. Lewa powieka drga, palce się trzęsą.

 – Co ty ze mną robisz, nienasycona żmijko? – zapytał smoczka, obróciwszy go mordeczką do siebie. Smoczek zaczął oblizywać jego palec. – Ty mały łajdaku! – Zdziwił się Mrok.

 Town żył swoim życiem, niemniej bujnym w nocy jak za dnia. Mrok nakupił cały plecak konserw, zagęszczonego mleka, kilka puszek dżemu i konfitur. Przebił nożem dwie dziurki w puszcze mleka, wlał je sobie do ust i zostawił pustą na ladzie. Nikogo to nie zdziwiło. Po półrocznym siedzeniu w głuszy czasem wręcz śmiertelnie chce się jakiegoś drobiazgu. Papierosa, chleba z masłem i serem, albo iryska do pożucia. Mrok jednak nie lubił zagęszczonego mleka.

 Zakupiwszy żywność, poszedł do saloonu. Usiadł przy stoliku w najdalszym kącie, skąd miał dobry widok na całą salę, i zamówił drinka. Jeszcze nie dopił pierwszej porcji, a już przysiadł się do niego Guz.

 – O Boże, Mrok, coś ty z sobą zrobił?

 Mrok odsunął szklankę i tak długo patrzył milcząc w oczy Guza, aż ten zaczął się niespokojnie kręcić.

 – Szukałem, Mrok. Połowa moich ludzi szukała. Żadnych śladów. Nikt nic nie wie. Nie znaleźliśmy nikogo.

 – Ja też szukałem.

 – Kogo szukałeś, Mrok? Cechy? Jak on wygląda?

 – Człowieka, któremu cztery lata temu sprzedałem armatę. No dobrze, żyj. To moje problemy. – Mrok dopił szklankę i wyszedł z saloonu. Nie udało mu się rozluźnić. Wychodząc, spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Mumia. Żywy trup. Ciekawe, co Guz o nim pomyślał?

 Smoczek leżał w kącie skrzynki i popiskiwał żałośnie. Mrok wziął go w ręce i obejrzał. Na oko wszystko było normalne. Jeśli można uważać za normalną jaszczurkę, której oderwano tylną połowę ciała, a ona nie chce umrzeć. Rana zarosła cienką różową skórką bez łuseczek. Z wystającego kikuta jelita uformował się całkiem przyzwoity odbyt. Mrok ostrożnie obmacał brzuszek. Smoczek zapiszczał i spróbował się wyrwać. Mrok położył go z powrotem do skrzyni, zdjął koszulę i zaczął obmacywać swój brzuch. Usiadł przy stole i spróbował narysować z pamięci rozkład wewnętrznych organów człowieka.

 – Tusą nerki – mamrotał. – Wątroba, śledziona, jelita, jelito grube….. Gdzie jest jelito grube? Do diabła, on i tak go nie ma. Może brud się dostał? Obiera?

 Odrzucił ołówek i zaczął chodzić po pokoju. Smoczek śledził za nim ze skrzynki oczkami jak paciorki. Mrok podszedł do niego i wziął go na ręce.

 – Trzymaj się, chłopcze. Jesteś mi potrzebny. Umowa stoi?

 Smoczek polizał jego palec.

 Rano jego stan jakby się poprawił. Ale jeść ciągle nie chciał albo nie mógł. Kiedy Mrok podsuwał mu na łyżeczce najsmaczniejsze kąski, odwracał główkę. W dzień nic się nie zmieniło. Dwa razy pił ze spodeczka, ale nic nie jadł. Zrobił się ospały, apatyczny. Mrok zupełnie się zadręczył. To chodził w kółko po ciasnym bunkrze, to godzinami siedział nieruchomo, obserwując malucha. Pod wieczór zasnął i przespał prawie dobę. Stan smoczka był już zupełnie zły. Malec leżał na grzbiecie z rozłożonymi skrzydełkami i jęczał. W ciągu dwu dni bardzo schudł, pod skórą było dokładnie widać mięśnie i kości. Ale na brzuszku zaznaczyła się opuchlizna. Wyglądało to na ropień od brudu, który jakoś dostał się do środka.

Mrok postanowił zrobić operację. Umył twarz i ręce, przejrzał wszystkie swoje noże i wybrał brzytwę. Ułamał kawałek, żeby zrobić szpiczastą końcówkę i włożył na kilka minut do biożelu, żeby zdezynfekować. Przycisnął ciałko smoczka lewą ręką i rozciął skórę nad opuchlizną, odsłaniając ropień. Gdy tylko dotknął go ostrzem, pęcherzyk pękł, trysnąwszy przeźroczystą cieczą. Smoczek głośno pisnął, szarpnął się, wywinął się spod ręki, wygiął się i zaczął lizać ranę. Zaskoczony Mrok oglądał żółte krople na swojej ręce. Liznął jedną z nich.

 – O Boże! Nie mogłeś się wysiusiać, maluchu. Dziurka ci zarosła. Co ja mam z tobą zrobić?

 Mały takich problemów nie miał. Wylizał rankę i popełznął do spodeczka z wodą. Potem do puszki z konserwą. Potem do spodka z miodem. Mrok napełnił spodek zagęszczonym mlekiem z cukrem i postawił przed nim. Smoczek powąchał i popełznął swoją drogą. Mrok wetknął go pyszczkiem w mleko. Smok oblizał się, zmierzył Mroka zamyślonym spojrzeniem i poczołgał się dalej.

 – Wiesz lepiej, mały – zmartwił się Mrok. – Ale po co ja tyle tego nakupiłem?

 Do wieczora Mrok zastanawiał się, jak zamocować rurkę drenażową w pęcherzu moczowym smoczka, w końcu doszedł do wniosku, że tego w ogóle nie trzeba robić. Smoczek sukcesywnie wylizywał rankę i nie dawał jej zarosnąć.

 Minęły dwa dni. Mrok rozkoszował się życiem. Smoczek jadł, pił, spał – jak każde dwutygodniowe niemowlę. Jeśli nie liczyć tego, że przepuszczał przez siebie po puszce konserw mięsnych i ponad litrze płynów na dobę. Mrok miał nadzieję, że choć trochę z tego pozostaje wewnątrz organizmu. W końcu postanowił prowadzić obserwacje na sposób naukowy. Poszedł do Townu, kupił aparat fotograficzny, odczynniki, błonę, papier światłoczuły, składany powiększalnik zdjęć, linijkę i kilka grubych zeszytów w kratkę. Codziennie rano i wieczorem fotografował smoczka, mierzył linijką długość jego ciała i łapek oraz rozpiętość skrzydeł, a także ważył go na wadze aptecznej. Ważenie smoczkowi bardzo się podobało: siedział na szalce i rozglądał się z ciekawością po bunkrze. Nocami Mrok odcinał kolejne kawałki filmu z dwoma kadrami, drukował zdjęcia i zapisywał obserwacje w zeszycie. Smoczek przybywał na wadze po gramie na dzień i niewątpliwie zabierał się do odtworzenia sobie ogonka. Ważył już dziewięćdziesiąt siedem gramów i zupełnie nie przypominał własnego zdjęcia rentgenowskiego. Mrok godzinami porównywał zdjęcia. Szczególnie cieszyło go to, że zjedzony pokarm pozostawiał za smoczkiem już nie stały ślad, tylko linię przerywaną. Zaczynał działać ruch robaczkowy jelit.

 – Jeśli jest ruch robaczkowy, to znaczy, że jest i jelito grube, prawidłowo rozumuję, maluchu? – przekonywał smoczka. Ten opierał się główką o jego rękę i wesoło ćwierkał. Mrok już się nie obawiał o jego życie. Można było zaczynać kolejny etap planu.

 Mrok zostawił smoczkowi dwie otwarte puszki mięsa, dwie zgęszczonego mleka i jedną dżemu jabłkowego oraz kilka miseczek wody i poszedł do Ciepłej Doliny. Jak oczekiwał, znalazł smoka bez problemu, ale sfotografować go znienacka… Poszedł z powrotem, fotografującwszystkie zwierzęta po kolei: motyle, ważki, jaszczurki, węże, żaby, wiewiórki, myszy. Poszedł do Townu, gdzie zrobił zdjęcia psów, kotów, kur, wron, wróbli. W drodze powrotnej udało mu się pstryknąć piękne zdjęcie jelenia i zad uciekającego łosia. Przez dwa dni wywoływał całe zdjęcia oraz powiększenia ich charakterystycznych fragmentów: kopyto łosia, skrzydło ważki, nastroszone ucho psa. Zebrał spory plik fotografii, znowu przygotowałsmoczkowi jedzenie i poszedł do Ciepłej Doliny. Zobaczył opalającego się na brzegu rzeczki smoka, śmiało podszedł do niego i zaczął go fotografować. Z przodu, z tyłu, z boku. Smok podniósł głowę i ze zdumieniem obserwował czynności człowieka. Mrok zdjął go en face.

 – E-e-e, sir, ja jestem bez krawata. Nie szkodzi? – zapytał smok.

 – Ani trochę, tak jest nawet lepiej – Mrok docenił żart. Smoki w ogóle nie nosiły ubrań, jeśli nie liczyć pasa z kieszonkami i okularów.

 – Skąd takie zainteresowanie, jeśli to nie jest tajemnica?

 – Żadna tajemnica. – Mrok wyjął z plecaka plik zdjęć i podał smokowi. Ten obejrzał wszystkie uważnie

 – Brakuje tu jednego zwierzęcia. Dwunogiego, o nagiej skórze. Najwyższego Naczelnego.

 Mrok uśmiechnął się i wyjął z kieszeni plik zdjęć pornograficznych.

 – Rasowe, bardzo rasowe samiczki! – ocenił smok. – Samiec też niezły. Masz ciekawe hobby, człowieku. Mogę ci pozować. – Zdjął z mordy ochronne okulary-komputer, wstał na cztery nogi, rozpostarł skrzydła. Mrok nie żałował błonki. Smok pozwolił mu sfotografować łapę z wypuszczonymi pazurami, potem zaciśniętą w kopyto. Schował pazury, wypuścił palce. Wygiął rogi, celując nimi w obiektyw, znowu wyprostował. Stanął na dwóch łapach.

 – Pięknie – ocenił Mrok. W myślach już przymierzał ciało moka do siebie.

 Rozstali się bardzo zadowoleni jeden z drugiego. Smokowi pochlebiało szczere zainteresowanie człowieka ich gatunkiem, Mrok zaś otrzymał nawet więcej, niż liczył, informacji.

 – Słuchaj, grizzly, przekaż swojemu bossowi, że przyszedł Mrok.

 – On cię oczekuje?

 – O każdej porze dnia i nocy. Dodaj, że nie jestem straszny. Prawie oswojony.

 – Dobrze. Ale jeśli on powie, żebym cię zastrzelił, zrobię to.

 – O’key.

 Nie spuszczając oczu z gościa, wartownik nacisnął guzik domofonu. Po chwili przyszedł drugi, poprosił o broń. Mrok podał mu pistolet. Guz czekał na nich w salonie. Odprawił gestem strażnika, nalał do kielichów złotą ciecz, dokładniej owinął się jedwabnym szlafrokiem.

 – Wiesz co, ja bym na twoim miejscu zmienił wartowników. Nawet mnie nie zrewidowali.

 – Uprzedziłem ich, żeby zachowywali się delikatnie. Potrzebni mi są żywi ochroniarze. Ale po co do diabła budzisz starego człowieka w środku nocy? – Guz upił ze swojego kielicha.

 – Wszystko jest proste. Wszystko jest bardzo proste. Wybieram się na górę. – Guz aż się zachłysnął i zakaszlał. – Nie chciałbyś przypadkiem się przyłączyć?

 – Mrok – wychrypiał Guz, wykaszlawszy się. – Jesteś bardzo sprytny chłop, ale w całej historii Strefy nie było ani jednej ucieczki.

 – Nie można tak mówić, Guzie. Trzeba mówić: nie odkryto ani jednej ucieczki. Czujesz różnicę? – zapytał Mrok. Guz chwilę poruszał bezdźwięcznie wargami.

 – No, jest różnica. Ale myślisz, że jesteś najmądrzejszy?! Kto nie marzy o ucieczce ze Strefy? Zero-t kontrolują smoki. Statku kosmicznego tu nie zbudujesz. Smoki zabraniają nawet produkcji zwykłego przewodu elektrycznego! Wiesz, ile ja im zapłaciłem za elektryczność w tym domu? Taniej byłoby ściany obkleić kredytami.

 – Wiem. Sam kiedyś kupiłem mały agregat prądotwórczy. Taki z pedałami od roweru. Lampka świeci, dopóki kręcisz. – Mrok spróbował ciecz w pucharku. Smakowała znakomicie. Guz umiał bogato żyć.

 – Dobrze. Masz plan. Ale co ja mam z tym wspólnego?

 – Zaraz się posiusiasz, Guzie. Usiądź mocno, bo upadniesz. Nie mam planu.

 – W takim razie po co budziłeś mnie o drugiej w nocy?

 – Nie mam planu, ale wiem, czego mi brakuje, żeby go opracować. – Mrok rzucił na stół kilka fotografii. – Potrzebuję speca od smoków i elektronika. Obu najwyższej klasy.

 Guz z zainteresowaniem obejrzał zdjęcia smoka.

 – Dobre fotki. Wiesz, że nie orientuję się w smokach i zupełnie nic znam się na elektronice.

 – Ale możesz znaleźć specjalistów.

 – To wymaga pieniędzy.

 – Masz pieniądze.

 – Od tego trzeba było zacząć. No dobrze, a co ja z tego będę miał?

 – Satysfakcję moralną.

 Guz roześmiał się. Szczerze i wesoło.

 – Cieszę się, że ty się cieszysz – powiedział Mrok. – Zaraz ci wyjaśnię, dlaczego to zrobisz. Masz dwa warianty. Albo wyłożysz pieniądze na mój projekt, albo oddasz je za nic smokom.

 – Nie żartuj tak ze mnie, Mrok. Jestem z natury sknerą i bardzo nie lubię oddawać pieniądze za nic. To nieekonomiczne. A już szczególnie smokom.

 – Zgadzam się. Ale powiedziałeś, że jesteś stary. Zamierzasz przejść odmłodzenie?

 – Oczywiście.

 – Za odmłodzenie smoki wezmą od ciebie wszystko, co masz. Przekręcą cię na detektorze, wyliczą dokładną sumę i zabiorą ci wszystko, do ostatniego kredyta.Wiem, bo sam przeszedłem odmłodzenie dziesięć lat temu. Kiedy wychodziłem, dali mi sto kredytów kieszonkowego na drobne wydatki.

 – Ale przecież zostanie mi dom, nieruchomość...

 – Wszystko sprzedasz. Będziesz musiał. Jest minimalna wartość odmłodzenia, poniżej której nie biorą, ale jeśli masz więcej – wezmą wszystko. Mówią, że taki upust krwi pomaga utrzymywać naszą ekonomię na ustalonym poziomie. Bezpłatnie odmładzają tylko kobiety.

 – O tym wiem. – Guz westchnął. – Nie wiem tylko, dlaczego.

 – Żeby choć trochę wyrównać stosunek płci. Przecież wiesz, że kobiet trafia tutaj sto razy mniej niż mężczyzn. Sterylizują je i co pół roku sprawdzają, czy nie korzystały z regeneratu. Żeby zeki nie zaczęły się tutaj płodzić i rozmnażać.

 – Jesteś gnida, Mrok. Obudziłeś starego człowieka w środku nocy tylko po to, żeby mu powiedzieć, że ze starego bogacza stanie się młodym żebrakiem? No a jeśli dam ci te pieniądze, to co ja będę z tego miał?

 – Po pierwsze, dokuczysz smokom, a po drugie, jeśli wyjdzie, bilet na górę, a jeśli nie, pożyczę ci na osiemdziesiąt procent rocznie trochę kredytów, kiedy wrócisz młody i piękny. Będziesz w miarę dobrze odżywiony.

 – Ale z ciebie pies! Gryziesz rękę, która cię karmi. Mówię o autorytecie, nie o tłuszczu, rozumiesz? Ale niech cię, znajdę ci specjalistów. Będzie heca, jeśli utrzesz nosa smokom. Na Boga, ależ będzie heca! No, dość już o interesach. Zostań na noc, jutro omówimy szczegóły. Wiesz co, Mrok, wyobrażałem sobie Stana Freda zupełnie inaczej. Jako takiego wyrwidęba z pistoletem zamiast mózgu. A z ciebie intelektualista i zarazem fanatyk. Dziwna mieszanina.

 – Udaję. A propos, Diogenesa także nazywano psem. Rąbał prawdę w oczy… oprawca. – Chciał odejść, ale Guz nacisnął guzik i do pokoju weszła młoda kobieta. Ziewała i owijała się jedwabnym szlafrokiem, takim samym, jaki miał Guz.

 – Catherine, to Mrok. Mrok, to Catherine. Jest twoja. Catherine, zatroszcz się o gościa.

 Kobieta ziewnęła, delikatnie zasłoniwszy usta dłonią, skinęła na Mroka i powiodła go za sobą, potykając się z zaspania.

 Otworzył oczy, zobaczył nieznany sufit. Z trudem powstrzymał się, żeby nie wydać przebudzenia nieostrożnym ruchem. Wsłuchał się. Obok ktoś cichutko posapywał. Spojrzał z ukosa – Catherine. Pamięć wróciła, wszystko ustawiło się na swoich miejscach. Jest w domu Guza. Spojrzał w drugą stronę. Na szafce nocnej leży jego pistolet, odebrany mu w nocy przez wartownika. Mrok o mało nie roześmiał się na głos. Dziesięć lat marzyć o kobiecie i zasnąć z nią w jednym łóżku, nie dotknąwszy jej nawet palcem! Znów spojrzał na Catherine. Włosy rozrzucone po całej poduszce, na twarzy uśmiech. Pewnie śni o czymś przyjemnym.

 „Przecież musiałem najpierw przeanalizować rozmowę z Guzem”. – Próbował usprawiedliwić samego siebie. – „A póki myślałem, ona zasnęła. Ja zresztą też, choć trochę później. Ile nocy można nie spać? Żmijka… Żmijka!”.

 Mrok stoczył się z łóżka, ubrał się szybko, ale bezdźwięcznie. Nie wytrzymał i pocałował Catherine w usta, ale zanim ta otworzyła oczy, on już zbiegał po schodach na parter.

 Smoczek powitał człowieka radosnym piskiem. Mrok wziął go na ręce, posadził na stole, zaczął mierzyć i ważyć.Wykonując te czynności, opowiadał smoczkowi, jak spędził czas. Smoczek lubił, kiedy do niego się mówiło. Zaledwie Mrok zrównoważył go na wadze, ten zaraz puścił długą strugę i zrobił się o półtora grama lżejszy. Po namyśle Mrok pozostawił w dzienniku pierwszą liczbę, wyglądała lepiej. Umył maneżyk, zmienił wodę, dodał jedzenie. Smoczek kręcił się pod rękami, ćwierkał radośnie i przeszkadzał mu w pracy. Żeby nie przeszkadzał, Mrok posadził go sobie na ramieniu. Maluch żałośnie pisnął, wypuścił pazurki i mocno wczepił się w materiał kurtki. Mrok wziął czysty arkusz papieru oraz linijkę i zaczął rysować wykresy rozwoju smoczka. Wykres wagi był prawie idealną prostą, po gramie na dzień. Ale rozpiętość skrzydełek wzrosła zaledwie o pięć milimetrów. Wyglądało więc na to, że wszystko, co smoczek zjadał, wszystkie wysiłki jego organizmu szły na odtwarzanie utraconych części. Na właściwy wzrost nie pozostawało prawie nic. Czy to dobrze, czy źle, Mrok nie wiedział. Postanowił poczekać, aż odrosną tylne łapki.

 Smoczek pisnął żałośnie. Mrok zdjął go z ramienia i zaraz poczuł na dłoni ciepły strumyk.

 – Ach, ty łajdaku! – Oburzył się. Pomacał ramię: było czysto i sucho. Musiał przeprosić smoczka, który cierpiał, jak długo mógł.

 Mrok przewrócił smoczka i obejrzał różowy sopelek, który zapowiadał ogonek. Tam były już dwie dziureczko, smoczek mógł już normalnie siusiać! Ranka na brzuchu po operacji otwarcia przewodu moczowego już się zabliźniła.

 – Ależ ty pędzisz, żmijko! Z tej okazji trzeba wypić! –Mrok wyjął menzurkę i kolbę ze spirytusem. Nalał sobie pięćdziesiąt mililitrów, rozrzedził wodą.

 Smoczek zainteresował się, więc Mrok kapnął mu na stół. Malec liznął, zmarszczył nosek i kichnął. Potem szybko wylizał resztę, otworzył szeroko pyszczek i wpatrzył się w człowieka.

 – Silny jesteś, chłopcze! – Zachwycił się Mrok. – Ale trzeba jednak zakąszać!

 – Mamy specjalistę od elektroniki i systemów zabezpieczeń. Właśnie dlatego jest tutaj.

 – Jak to?

 – Zostawił w systemie zabezpieczeń dziureczkę. Dla siebie. Długo posługiwał się z powodzeniem. Dopóki tutaj nie trafił.

 – Za to raczej nie zsyłają.

 – Gdy przyjechali go aresztować, ze strachu złapał za laser i narobił szumu. Trzech policjantów zabił, a dwóch z trudem uratowano.

 – A specjalista od smoków?

 – Nie śpiesz się. Moi ludzie szukają. Przecież potrzebujesz najlepszego.

 Mrok ubrał marynarkę Guza, włożył na głowę wełnianą maskę z otworami na oczy i wszedł do pokoju. Na fotelu, założywszy nogę na nogę, siedział chudy okularnik z dużą głową. Popielniczka była pełna ogryzków jabłek, okularnik pożerał kolejne.

 – Dawno tu, na Strefie? - zapytał Mrok.

 – Rok i miesiąc.

Mrok wyjął z kieszeni i rzucił na stół fotografię okularów-komputera smoka.

 – Co możesz o tym opowiedzieć?

 Głowacz zdjął okulary i wykorzystując je jako lupę dokładnie obejrzał fotografię.

 – Stary model. Takiego nie produkują już od pięćdziesięciu lat. Okulary ochronne z wmontowanym komputerem. Tu jest krystalit. Wytrzyma bezpośrednie trafienie kuli wielkiego kalibru. Czaszka trzaśnie, ale okulary ocaleją. Pod krystalitem chytra optyka. Można patrzeć na słońce, a nawet na wybuch jądrowy – i nie oślepniesz. Okulary pracują zarazem jako monitor komputera. A to – wskazał zausznikiem okularów – laserowy reflektor. Trzy kolory: czerwony, niebieski, zielony, razem dają białe światło. Funkcje okularów: ochrona oczu, informacja, nawigacja, łączność. No i czarna skrzynka, jeśli ze smokiem coś się stanie.

 – Co wiesz o systemie ochroniarskim planety?

 – Prawie wszystko. Która część ciebie interesuje? System obserwacji naziemnej, system obserwacji orbitalnej, system ochrony stacjonarnej stacji orbitalnej?

 – Wszystkie.

 – Zacznijmy od powierzchni. System opiera się na stacjonarnych i ruchomych przekaźnikach wideo. Gdzie są stacjonarne, wiedzą tylko smoki. A ruchome – to te – okularnik wskazał fotografię. – Cokolwiek robiłby smok, obraz z przekaźnika w jego okularach jest przekazywany do centrum analitycznego. Jeśli w kadr trafił choć jeden człowiek, włącza się zapis.

 – I co?

 – A nic. Komputer stara się zidentyfikować człowieka i archiwizuje tą informację.

 – Po co?

 – Jeśli będziesz potrzebny smokom, znajdą cię w pięć sekund. Przy okazji prześledzą, czym się zajmowałeś przez ostatnie lata.

 – A jeśli akurat płuczę złoto gdzie diabeł mówi dobranoc?

 – Op4rócz czujników naziemnych są także i kosmiczne, na sputnikach. Nie są takie dokładne, jednak atmosfera przeszkadza. Ale jeśli w tej okolicy nie ma nikogo oprócz ciebie, to…

 – Rozumiem. A w nocy?

 – Optyka na podczerwień.

 – A w lesie?

 – Wlesie, w domach, w jaskiniach i przy pochmurnej pogodzie – niestety. I w ogóle zdejmują nie cały czas, tylko okresowo. Jeśli jednak w kadr trafi coś ciekawego, przełączają się na obserwację stałą.

 Mrok wspomniał, że noc, kiedy zabił Bobasa, była pochmurna. Zrobiło mu się lżej. Oprócz tego dookoła był las. I droga do bunkra też prowadzi przez gęsty las.

 – Czy merostwo może otrzymać informację z tego archiwum?

 – W zasadzie nie. Smoki większość interpelacji pozostawiają bez odpowiedzi. Nie lubią mieszać się do spraw na powierzchni. Czasem jednak odpowiadają.

 – Merostwo ma komputerów do diabła i trochę.

 – Smoki nie dopuszczają ich do swojej sieci komputerowej.

 – A ty mógłbyś do niej przeniknąć?

 – Nie mam ani komputera, ani aparatury komunikacyjnej?

 – A gdybyś miał?

 – Bez problemów. Musiałbym tylko poświęcić na to trochę czasu.

 – Jak się nazywasz?

 – Con. Conan.

 – Gdzie pracujesz?

 – Myję naczynia w restauracji. I podłogę, kiedy zamykają.

 – Chcesz pracować dla mnie?

 – A kim ty jesteś?

 – Chłopcze, tu ja zadaję pytania. Mogę ci na to odpowiedzieć, ale jeśli po tym nie zgodzisz się pracować dla mnie, będę cię musiał zabić.

 – Na czym ma polegać moja praca i co ja z tego będę miał?

 – To jest prawidłowe pytanie.

 Wróciwszy do bunkra, Mrok zdziwił się czystością w skrzynce smoczka. I jedzenie było prawie nietknięte. Ale sam smoczek wyglądał na rześkiegoi wesołego. Ruchy jego maleńkich łapek zyskały na szybkości. Mrok zważył, zmierzył i sfotografował smoczka. Dobowy przyrost wagi wyniósł dwa gramy. Co prawda, malec mógł po prostu dawno się nie załatwiać.

W nocy ze skrzynki długo dochodziły szmery. Potem szelest na podłodze i pociąganie za koc. Kiedy Mrok już zamierzał zapalić światło, malutki języczek liznął go po ręce. Smoczek wdrapał się po kocu na jego pierś, zwinął się w kłębek, nakrył skrzydłem główkę i zasnął.

 Mrok długo nie mógł zasnąć. Przyłapał się na tym, że przywiązał się do małego. Nie wolno mu było do tego dopuszczać. Przecież to tylko ciało, w którym on opuści Strefę. Tylko ciało, nic osobistego… W końcu zasnął, a kiedy się obudził, smoczek właśnie chłeptał wodę z talerzyka w swojej skrzynce. Mrok już pomyślał, że nocna wizyta malucha mu się przyśniła, ale świeża kupka na kocu upewniła go, że to była prawda. Westchnął, wziął smoczka i wetknął nosem w nocną niespodziankę. Smoczek zaczął ją… wylizywać.

 – No aż tak nie trzeba się poniżać – speszył się Mrok. – Po prostu uznaj swoją pomyłkę i już więcej tego nie rób. Umowa stoi?

 Podczas przygotowywania śniadania smoczek siedział na jego lewym ramieniu. Mrok musiał go tam posadzić, żeby nie pętał mu się cały czas pod nogami. Jedli razem przy stole. Popijając kakao, Mrok uczył małego dobrych manier.

 – Jak będziesz mlaskałprzy stole, nałożę ci kaganiec. Wiesz, co to takiego?

 – Cza-miam-mcu – rozległo się z puszki po konserwach. Po chwili smoczek skończył śniadanie i zaczął oblizywać łapki.. Kolejny raz Mrok zdumiał się szybkością jego ruchów.

 – Dzisiaj znowu zostajesz sam. Ja idę do Guza. Wiesz, tam u niego w domu jest kobieta… Catherine. Patrzy na mnie… jak magnez na opiłki żelaza. Z czego ona tak, co? Daję ci słowo honoru, jak mężczyzna mężczyźnie, że nie tknąłem jej nawet palcem. Cały czas czuję na karku jej spojrzenie.

Nie, nie zaprzeczaj, oczywiście, że Guz mi ją nie podsunął przypadkiem. Ale czy nie mógł jej wyjaśnić, że nie można tak otwarcie, bezczelnie szpiegować?

Gdy odchodził, smoczek podniósł rozpaczliwy pisk.

 – Masz u mnie dług do końca życia – zaczął Guz bez wstępów. – Znikaj, Catherine. Na górze już drugą dobę czeka na ciebie biolog.

 – Dobry?

 – Najlepszy. A może najgorszy? Jedyny! Musiałem zaangażować merostwo. Powiedziałem, że chcę wyhodować rasę mlecznych koni. Cyrk! Ale zjedli! Przełknęli! Catherine, jeszcze tu jesteś? Mrok, coś ty zrobił z babą? Milczała miesiącami, a teraz już dwa razy pytała o ciebie.

 Guz był pod lekkim rauszem i w pogodnym nastroju. Mrok z trudem odczepił się od niego,włożył na twarz maskę z otworami na oczy, ubrał marynarkę Guza i wszedł do salonu na piętrze. Przy oknie Conan i biolog grali w szachy. Mrok od razu rozpoznał krępego młodziana. Był jednym z tych, którzy odprowadzali go do domu Bobasa.

 – Witam wszystkich – powiedział Mrok.

 – A, szef – odezwał się w zamyśleniu Conan. – My już kończymy. Drugi dzień zastanawiamy się, w jaki sposób zamierzasz wymknąć się ze Strefy. Tyson wymyślił sto wariantów, ale we wszystkich on jest bezrobotny, a haruję tylko ja. Masz! – Przesunął stanowczo wieżę.

 – Znam pana. Pan jest Mrok – powiedział Tyson. Mrok zaklął, zdjął maskę i usiadł w fotelu. – Więc chce pan uciec ze Strefy. Jaka ma być moja rola w tym przedsięwzięciu?

 – Młodzieńcze, czy ja o tym mówiłem choć jedno słowo? – Zdziwił się Mrok.

 – A po co mówić o rzeczach oczywistych? Pieniądze Guza plus specjalista od nieprzekupnych komputerów plus specjalista od równie nieprzekupnych smoków – co to daje w sumie? Ucieczkę ze Strefy.

 Mrok uśmiechnął się. Dobrał się niezły zespół. Co prawda, bilet na górę będzie tylko jeden, pozostałych będzie musiał się pozbyć. Ale to jeszcze nieprędko.

 – Oto twoje zadanie, młody człowieku. Powiedz mi wszystko, co wiesz o smokach. Od tej chwili aż do końca operacji jesteś naszym ekspertem od smoków.

 – Właściwie to jestem ekspertem od ssaków. Od czego zaczynać?

 – Od samego początku.

 – Od Adama? Dobrze. Był sobie człowiek…

 – Adam?

 – Nie, Dżafar. I oto, kiedy życie stało się dla niego nie do wytrzymania, zrobił sobie ciało smoka. Przepisał w to ciało swoją pamięć, potem zrobił ciało smoczycy dla swojej żony. Opowiadać dalej?

 – Po co to zrobił?

 – Miał ważne powody. Jakaś nieuleczalna choroba i mnóstwo wrogów. Ciało smoka to przecież bojowa maszyna. Rogi, zęby, pazury, ogon. Prawie pełne pole widzenia, skrzydła, biograwy. Włókna mięśniowe także mają kilkakrotnie silniejsze od nas. Szybkość przekazywania sygnałów włóknami nerwowymi też jest znacznie większa. Kości mocniejsze.

 – Czyli myślą szybciej od nas?

 – Nie. Tak nie można powiedzieć. Myślą w przybliżeniu z taką samą szybkością, ale szerzej. Człowiek ma dwie półkule mózgu, a smok osiem razy po dwie. Każda półkula z osobna pracuje szybciej od ludzkich, ale zanim porozumieją się między sobą…

 – Czyli w jednego smoka można przepisać pamięć ośmiu ludzi?

 – Nikt tego nie próbował. Smoki uważają, że w takim przypadku otrzymamy schizofrenika do ósmej potęgi. Ten człowiek, Dżafar, zdjął osiem kopii swojej pamięci w różnym czasie i wszystkie zapisał smokowi. No i smok stał się normalny dopiero po dwudziestu latach, i to w rezultacie nieszczęśliwego wypadku, kiedy uderzył się w głowę. Szczegółów nie znam.

 – To znaczy, że ludzką pamięć zapisuje się tylko w jeden z mózgów smoka?

 – Nie, zazwyczaj w dwa. Pierwszą matrycę zdejmuje się wcześniej, kiedy dawca jest w najlepszej formie, a drugą bezpośrednio przed zapisem, żeby nie stracić ani chwili życia. Ciało dawcy zaraz po tym ulega eutanazji. Człowiek zasypia człowiekiem, a budzi się jako smok.

 – Jak często ludzką pamięć przepisuje się w ciała smoków?

 – Nie wiem, ale dość rzadko. Człowiek-smok przez jakiś czas nosi na lewym ramieniu siedem bransolet. Żeby nie wpadać w niezręczne sytuacje w rozmowach z innymi smokami. W miarę adaptacji zdejmuje je po jednej.Tak więc ja widziałem przez całe życie tylko jednego smoka z bransoletą na łapie.

 – Kto określa czas, kiedy można zdjąć bransoletę?

 – Sam smok. To jest dobrowolne. Ostatnią nosi zwykle dziesięć lat.

 – A przy dodawaniu ludzkiej pamięci do smoczej nie rozwija się schizofrenia?

 – Właśnie o to chodzi. Zapisywać można tylko na czystym mózgu. Na przykład smokowi oderwało głowę, ciało wkładają do biowanny, gdzie odrasta nowa, z mózgiem pozbawionym wszelkich wspomnień. I człowiekowi przyjemnie, i smoki nie muszą się męczyć z dorosłym idiotą. Dorosły smok z pustym mózgiem stanowi olbrzymie niebezpieczeństwo. Najprostsze instynkty, ogromna siła, prymitywna bystrość odpowiadająca poziomowi i ciąg do lotów. W żadnej klatce go nie utrzymasz. Byłoby to zresztą szkodliwe dla zdrowia. Psychika nieokrzepnięta, bez nieba, bez lotów kompletnie zwariuje. Wpisanie ludzkiej pamięci jest po prostu niezbędne. Ale jest też inna droga. Smocze dziecko trzymają w inkubatorze w warunkach pełnej izolacji informacyjnej do osiągnięcia dojrzałości płciowej, czyli dziesięć-jedenaście lat.

 – Czyżby wśród smoków zdarzały się takie, które przekazują własne dzieci do inkubatora? Niedawno widziałem, jak szukały zgubionego dziecka…

 – To bardzo trudne pytanie. Chodzi o to, że smoki nie mogą nie latać. Ciąg do lotu mają zakodowany w instynktach. Małe dziecko lata dzięki sile skrzydeł. Dorosły wykorzystuje biograwy – antygrawitacyjne „maszyny” na poziomie komórkowym. Ale biograwy zaczynają działać dopiero wtedy, gdy masa ciała przekroczy dwie i pół do trzech ton. Dlatego w życiu dorastającego smoka jest okres około trzech lat, kiedy latać nie może. Skrzydła za słabe, biograwy jeszcze nie ciągną. To straszna trauma psychiczna. Smoki latami nie mogą się jej pozbyć. Właśnie z tego powodu młode matki czasem przekazują swoje dzieci do inkubatora.

 – Czyli nawet u smoków nie wszystko jest dobrze pomyślane.

 – C’est la vie. Ale całą resztę zrobiono znakomicie. Smoka można zanurzyć w ciekłym azocie. Zamarznie jak kamień. Odtaje – ożyje. Można utopić w wodzie.Straci przytomność, ale umrze nieprędko – z głodu.

 – Mogą żyć bez tlenu?

 – Komórki smoka mogą przełączać się z metabolizmu aerobowego na anaerobowy. Smoki są wszystkożerne. Mogą jeść wszystko, co zechcą. Mięso, trawę, drewno.

 – Słyszałem, że któryś ze smoków pił naftę.

 – To już kłamstwo. Żaden nie będzie pił takiego świństwa. Znajdzie coś smaczniejszego.

 – Gdzie są słabe miejsca smoka?

 – Myślę, że tam, gdzie silne. Uwarunkowane specyfiką jego mózgu. Mózg smoka składa się praktycznie z ośmiu niezależnych. Jak one potrafią dogadać się między sobą, to dla mnie jest tajemnicą. Smoki są mistrzami kompromisów. Być może są takie pokojowe właśnie z tego powodu. Żyć w pokoju z samym sobą – dla nas to przeważnie pusta fraza, dla nich nigdy.

 – Z jaką szybkością rozwijają się smoki? Ile ważą przy urodzeniu, ile, kiedy zaczynają mówić? Kiedy należy je umieszczać w inkubatorze?

 – Przy urodzeniu ważą średnio około sto pięćdziesiąt gramów. Mówić zaczynają mając około roku i wtedy osiągają długość metra i wagę pięciu kilo. Średnio. A w inkubatorze trzeba umieszczać jak najwcześniej. Jeśli mózg smoka zgromadzi informację powyżej pewnego krytycznego poziomu, obca pamięć przyjmie się tylko jako uzupełnienie własnej. Nie nastąpi zmiana osobowości. Jak by to wyjaśnić… Zamiast stać się człowiekiem o ciele smoka, smok pozostanie smokiem, znakomicie pamiętającym całe życie danego człowieka od podszewki.

 – No a kiedy konkretnie następuje ten krańcowy termin?

 – Kiedy smoczek zacznie mówić, jest już zdecydowanie za późno. Reszta zależy od okoliczności. Im więcej wydarzeń w życiu malucha, tym szybciej kształtuje się jego własne „ja”.

 – Rozumiem. Smoki mają silnie rozwiniętą regenerację. Czy, mając łapę albo ogon smoka, mógłbyś wyhodować cały organizm?

 – Tylko z łapy czy ogona – nie. Ale gdyby mi się udało regularnie pobierać do analizy krew poszkodowanego smoka, to mógłbym. Ale o czym ja mówię! Do tego potrzebne jest laboratorium, syntezatory hormonalne, biowanna dla smoka. Wiecie, co to jest biowanna dla smoka? Ma dziesięć metrów długości i trzy głębokości. Nad nią jeździ dźwig mostowy.

 – Dobrze, a możeszskonstruować aparaturę do przeniesienia informacji z mózgu człowieka do mózgu smoka?

 – A z czego? Tu nie dostaniesz parszywego komputera kieszonkowego. Na całej planecie nie ma nawet sensowizora, nie mówiąc już o mnemorekorderze.

 – Con, czego potrzeba do wyprodukowania mnemorekordera?

 – Drobiazgu. Rozwiniętego przemysłu.

 Mrok postanowił przenocować u Guza. Czterogodzinna rozmowa pozostawiła w nim nieprzyjemny osad.Sama wiedza nie wystarczała. Komputer to nie samochód, to produkt wysokotechnologiczny, nie do skonstruowania w manufakturze. Preparatów hormonalnych także nie da się wyprodukować w dziesięciu probówkach, potrzebne jest współczesne wyposażenie.

 Mrok rozciągnął się na jedwabnym prześcieradle i zamyślił się. Regenerat… Produkt wysokotechnologiczny. Skąd on tutaj? Jeśli syntetyzuje się go na planecie, to musi tu istnieć podziemne laboratorium, jeśli zaś jest dostarczany z góry, to znaczy, że istnieje kanał przerzutowy dla kontrabandy. Oba warianty obiecujące. Do źródła regeneratu można dojść przez tego gogusia, który zażądał trzy kilogramy piasku…

 Ktoś zapukał ostrożnie do drzwi. Mrok wyjął pistolet spod poduszki, nakrył kocem i wycelował w drzwi.

 – Wejdź.

 Weszła Catherine. Mrok uśmiechnął się i schował pistolet z powrotem pod poduszkę.

 – Gospodarzu, wybacz mi tamten raz.

 – Który raz?

 – Kiedy zasnęłam.

 – Guz cię przysłał?

 – Nie, Guz oddał mnie tobie. Ja sama…

 – Jak to: oddał? Na zawsze?

 – Ta-ak...

 – Więc dlaczego stoisz? Chodź do mnie!

 Catherine dobrze znała swoje powołanie. Jej ręce wciąż od nowa, raz za razem, doprowadzały Mroka do ekstazy. Serce waliło jak młotem. Catherine wiła się i jęczała pod nim. Wystarczyło jej przejechać w szczególny sposób dłonią, a już Mrok wstrzymywał oddech. W jego ciele prostowała się rozpalona sprężyna. Gorąca mgła zaćmiewała świadomość. Z tej klasy zawodowstwem jeszcze się nie spotkał.

 Gdy wszystko się skończyło, czuł się jak przekłuty balon, puste naczynie, zmięta koperta. Podniósł z podłogi poduszkę, zwrócił na miejsce. Kobieta położyła głowę na jego piersi.

 – Od stu lat czegoś takiego nie przeżywałam – powiedziała. Mrok się zamyślił. Ona naprawdę mogła mieć ponad sto lat. Kilka cykli odmłodzenia….

 – Ile razy przechodziłaś odmłodzenie? – zapytał.

 – Nie pamiętam. Kilkanaście.

 Mrok zadrżał. Przeszedł odmłodzenie tylko raz, kiedy skończył sześćdziesiąt lat. Jeśli ona co czterdzieści lat… Kilkanaście razy… Wpatrzył się w nią zdumiony. Uśmiechnęła się.

 – Nie bój się. Nie jestem aż taka stara, jak pomyślałeś. My odmładzamy się znacznie częściej niż mężczyźni. Co kilkanaście lat. Wysyła nas gospodarz, gdy przestaniemy mu się podobać. Albo gdy tak nas skatuje, że sam nie może na nas patrzeć.

 – W takim razie ile masz lat?

 – Nie wiem. Po co je liczyć? Tu wszystkie lata są jednakowe. Starzy i grubi gospodarze. Jeśli ma gościa, to od nas, dziewczyn, wymaga tylko jednego. Wybacz, ale na początku wzięłam cię za impotenta. A ty ulitowałeś się nade mną, teraz wiem dokładnie. Nawet nie pamiętam, kiedy tak mi się udało z gospodarzem. Od razu mi się spodobałeś. Od ciebie tchnie siłą, energią, celowością. Wiesz, czego chcesz. Takich tu mało. Większość żyje z dnia na dzień.

 – Guz będzie cię o mnie wypytywał.

 – Już wypytywał.

 – I co mu odpowiedziałaś

 – Że nie pracuję dla dwóch gospodarzy….dopóki nie trafię do piwnicy.

 – A w piwnicy?

 – Tam każdy przemówi.

 – Następnym razem powiesz mu, że pozwoliłem ci opowiadać o wszystkim, co widziałaś i słyszałaś. Ty i tak nic nie wiesz.

 – Wiem. Masz tajemnicę. Jeśli chcesz, mogę się dowiedzieć, jaka. Znam sposób, o którym nikt nie wie. Jak się dowiedzą, zabiją. Daj rękę.–Cienkie i czułe palce legły mu na nadgarstku. – Możesz nic nie odpowiadać, sama poczuję. Chcesz wydostać się z planety.

 – To nie jest tajemnica. Wszyscy chcą.

 – Gdzieś odchodzisz. Ktoś na ciebie czeka. Kobieta? Nie, nie kobieta. – Catherine uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Ukrywa się u ciebie? Nie… Masz niewolnika czy co?

 – Nikogo nie brałem do niewoli. Żadnego człowieka.

 – W takim razie cybera... Nie, nie cybera… Czyżby smoka?

 Mrok drgnął i wyrwał rękę. Oczy Catherine zrobiły się okrągłe z przerażenia.

 – Myśl chociaż, o czym mówisz! Jak ja takiego giganta wezmę do niewoli?No i będą go przecież szukać. Ty… Co się z tobą dzieje?

 Kobieta wtuliła twarz w poduszkę i szlochała. Mrok położył się na plecach i klął siebie samego. Wyobraził sobie dwie szale wagi. Na jednej Catherine, na drugiej wieczne życie w postaci na razie na wpół widmowego smoka. Wbrew logice, szale stały równo.

 „Po co nieśmiertelnemu smokowi kobieta?” – pomyślał. – „Ale dopóki nie jestem smokiem, jej talent może mi się bardzo przydać. Do diabła, co mam z nią zrobić?”.

 Zduszony szloch stopniowo zamienił się w pochlipywanie.

 – Gospodarzu, wlazłam w twoją tajemnicę. Jeśli chcesz mnie zabić, daj mi się przygotować na śmierć. Nie rób tego nieoczekiwanie. Dawno wiedziałam, że niewyparzony język mnie zgubi. Nie myśl, że ja się boję – plotła niezbyt składnie – ale to wszystko jest takie niespodziewane. Wszystko rozumiem, sama jestem sobie winna, że wtrąciłam się do męskich gier. Może nie należało ci tego mówić, ale nie mogę tak dłużej żyć. Nikomu nie wierzyć, przed wszystkimi wszystko ukrywać.

 Mrok objął jej twarz dłońmi.

 – Pomyliłaś teraźniejszość z przeszłością. Będziesz w mojej drużynie razem z Conanem i Tysonem. A smok nam się przyda. Ale jeszcze nieprędko. Trzeba go będzie gdzieś trzymać, karmić. Jeszcze nic nie gotowe, w tym sęk.

 – Tyś moim losem. Moim życiem i śmiercią. – Niepewny uśmiech przebił się na jej twarz.

 – Boisz się?

 – Boję się. A już myślałam, że się tego oduczyłam.

 Obudziły go ostrożne szturchnięcia i cichy szept. Resztki snów wyparowały, pozostawiając nieprzyjemny osad.

 – Gospodarzu, obudź się. – Catherine klęczała przed łóżkiem, trzymając w ręce wąskie pudełko, podobne do piórnika. – Masz, weź.

 – Co to jest?

 – Regenerat. Mówiłeś przez sen. Przyniosłam ci.

 – Ukradłaś Guzowi?

 – Nie. To mój. Guz nie wie. Jak się dowie, zabierze.

 Mrok otworzył piórnik. Dwie ampułki i strzykawka.

 – Przed Guzem chowałaś, a mi sama dajesz?

 – Głupia jestem, prawda?

 –Co konkretnie mówiłem przez sen?

 – Że wąsaty frant wie, skąd wziąć regenerat. Że trzeba go znaleźć.

 Mrok usiadł na łóżku, posadził Catherine obok. Za oknem rodził się szary, ponury ranek

 – Potrzebny mi nie regenerat, tylko sam człowiek. Chcę dowiedzieć się, jak regenerat trafia na planetę. – Zamknąłpiórnik i oddał go Catherine.

 – Ze szpitala, gdzie odmładzają. A to niech już zostanie u ciebie. Dwa lata bałam się, że Guz znajdzie. – Catherine położyła mu piórnik na dłoni i zacisnęła na pudełku jego palce.

 Mrok usłyszał pisk smoczka, zanim jeszcze otworzył drzwi. Malec prześliznął się przez szczelinęotwierających się drzwi i błyskawicznie wdrapał się po ubraniu, czepiając się materiału ostrymi jak igiełki pazurkami. Usadowił się na ramieniu i zaszczebiotał coś radośnie. Mrok pogłaskał go izaczął pomiary. Przyszły ogonek osiągnął już sześć centymetrów długości, zaczęły się wykształcać tylne łapki. Smoczek cierpliwie doczekał się końca pomiarów i ważenia, po czym znów wdrapał się po rękawie na ramię. Mrok wyrwał z zeszytu kartkę i zaczął na niej rysować krzywą wzrostu smoków według słów Tysona. We wszystkich parametrach, oprócz rozwoju umysłowego, chłopiec odstawał od rówieśników, poza tym rozwijał się nieprawidłowo. Głowa i przednia połowa ciała rosły szybciej od tylnej. Smoczek przypominał marchewkę, zwężającą się w kierunku ogona. Tyson mówił, że smoki są zdolne do lotu zaraz po urodzeniu – a ten nawet nie próbował pomachać energicznie skrzydełkami. Ale jego rozwój umysłowy… Dawno już poznawał Mroka, doskonale wiedział, w którym kącie stoi skrzynka z piaskiem i do czego służy. Wiedział, w jakiej kolejności idą pomiary i nawet sam rozkładał skrzydełka, żeby Mrok mógł je zmierzyć. Jeśli wierzyć Tysonowi, na umieszczenie go w inkubatorze było już za późno, zresztą inkubatora nie było. Pozostawała druga droga.

 Mrok zamyślił się nad Catherine. Można jej wierzyć? Od razu zrozumiał, że to mądra kobieta, która latami udawała głupią. Wyjął z kieszeni piórnik, położył go przed sobą. Smoczek zbiegł po rękawie, obwąchał nieznaną rzecz i zamarł, przygryzając koniuszek języka.

 – Podoba ci się? – zapytał Mrok. – To nieprzewidziany czynnik. A takie czynniki trzeba albo włączać do planu, albo usuwać. Co mi radzisz?

 – Mam ciekawe nowości.

 – Yhm?

 – Smoki poprosiły w merostwie o dossier niejakiego Stana Freda.

 Mrok obudził Catherine, wskazał jej drzwi i nie mógł się powstrzymać od przyśpieszenia jej ruchu klapsem poniżej pleców. Ubierając w biegu szlafroczek, kocim ruchem otarła się policzkiem o ramię Guza i znikła za drzwiami. Guz zamruczał jak kot.

 – Po co im to było potrzebne?

 – Ich komputer zarejestrował zachowanie nieadekwatne do prognozowanego na podstawie modelu psychosomatycznego. Możesz to wyjaśnić?

 – Nieadekwatny sam sobie… Kiepsko.

 – No?

 – To jak patrzysz w lustro i pytasz: „Witaj, młodzieńcze. Czy my się znamy?”.

 – Ja nie o tym. Gdzieś ty tak zabłysnął, żartownisiu?

 – Daj mi pomyśleć… Pewnie kiedy rozmawiałem ze smokiem. Powinienem był go posłać do wszystkich diabłów. Cholera jasna! Co ja mam teraz zrobić?

 – Zajmij się filantropią.

 – Mówię poważnie! Nie będziemy mogli pracować, jeśli będę miał na ogonie smoki.

 – Ja też mówię poważnie. Postępuj tak, jak nigdy nie robiłeś. Niech ich komputer zwariuje, analizując twoje zachowanie, zrozumiałeś? Urządzaj pijatyki, siusiaj do kominka, składaj datki kościołowi, rozumiesz? Rób to, czego sam od siebie nie oczekujesz. Wtedy żaden komputer nie zdoła przewidzieć twojego zachowania.

 – Guzie, ja już raz wysiusiałem się do kominka. Ależ był smród!... Masz może jakiegoś przyjaciela-wroga z kominkiem?

 Tego samego dnia Mrok kupił czarny frak, biały gors i cylinder. Cylinder mu się nie podobał, więc po dwu godzinach ofiarował go kozie. Musiał się dobrze namęczyć, zanim umocował jej cylinder na rogach, ale później koza wyglądała naprawdę wstrząsająco.

 Poszedł do szynku, gdzie zaraz ochrzcili go muzykantem. Bawili się przy świecach, gdyż Mrok założył się o dwieście gramów złotego piasku, że w ciągu pięciu sekund z dwóch pistoletów rozbije wszystkie lampki elektryczne, nie chybiając ani razu. Zakład wygrał, ale barman zażądał sześciuset gramów złotego piasku, jako rekompensatę za poniesione straty. Mrok, razem z wygraną, miał tylko pięćset. Zły barman wsypał coś do whisky i Mrok spędził noc w izbie wytrzeźwień merostwa, gdzie zmusił alkoholików do śpiewania chórem „Suliko” na trzy głosy. Nad ranem, kiedy trzeźwiejącej publice zaczęło już coś wychodzić, przyjechał Guz, zapłacił grzywnę i wyciągnął Mroka.

 – Drań z ciebie, Mrok – powiedział. – Moja ulubiona „Suliko”! Coś ty z nią zrobił? „Suliko” nie śpiewa się na trzy głosy.

 – Jak to się nie śpiewa? A nam wyszło.

 – Koty w marcu lepiej śpiewają!

 W drodze powrotnej zatrzymali się tylko raz, żeby Mrok podciął liny nośne olbrzymiego namiotu cyrkowego. Podczas gdy zaspani cyrkowcy wyjaśniali, dlaczego namiot runął, Mrok wypuścił z klatek zwierzęta. Ranek był bezchmurny, i Mrok nie wątpił, że komputery sputników bez trudu zidentyfikują go po czarnym smokingu i białym gorsie.

 – Sprawdziliście kanał dostawy regeneratu?

 – Tak. Ślepa uliczka. Syntetyzują go na powierzchni, w laboratorium szpitala. Półlegalnie. Smoki na pewno o tym wiedzą, ale to ich nie interesuje.

 – Teraz – komputer.

 – Wybacz, kochany. – Guz szeroko rozłożył ręce. –Sam wymyśl, skąd go wziąć. Uprzedzałem, że nic tego nie wyjdzie. To byłoby zbyt łatwe: przyszedł, wziął…

 – Złapali ich?

 – Moich chłopców? Nie. Weszli i wyszli z budynku normalnie. Tylko sam komputer… Nie zdążyli go odnieść o sto metrów, kiedy zaczął piszczeć: „Połóż na miejsce, połóż na miejsce!”. A gdy odnieśli go o dalsze sto metrów, rozgrzał się i zapłonął. Chłopcy wyrzucili worek i dali dyla. A ci, którzy w razie czego mieli pomóc, mówili, że tam buchnęła taka pochodnia, aż paliła się ziemia. No i teraz budynek merostwa jest pilnowany.

 – Con, co ty o tym myślisz?

 – Takie świństewko łatwo jest zrobić, ale o wiele trudniej odłączyć. Trzeba szukać komputera gdzie indziej. Dawno już myślę nad taką możliwością: gdyby tak znaleźć i wypatroszyć starego cybera? Detali na komputer wystarczy. Nic nie obiecuję, ale to mogłoby się udać.

 – A może komputer wziąć ze szpitala?

 – Nie, Tysonie. Ze szpitalem też nic nie wyjdzie. Byłem tam raz, cybery go pilnują. Con, a gdyby zrobić coś takiego, żeby cybery zdechły? Przynajmniej na jakiś czas? Jakiś elektromagnetyczny impuls, coś w tym stylu?

 – Nic nie mogę wymyśleć. Zresztą komputery od tego zdechną pierwsze.

 – A co smoki robią z zepsutymi cyberami? Wywożą z planety czy co?

 – Zapytaj je o to.

 – Z pewnością oddają je do naprawy.

 – W takim razie musimy cybera zepsuć, wymontować z niego to, co nam potrzeba, a resztę podrzucić smokom.

 – Jak? Na widoku podchodzę do cybera, walę go młotkiem w głowę, wyjmuję śrubokręt...

 – Właśnie tak, Con! Słuchajcie mojego planu! Guz organizuje mityng przy szpitalu pod hasłem albo „Smoki, precz ze Strefy”, albo „Młodość dla wszystkich”, można zresztą i pod obiema na raz. Mityng zamienia się w pogrom. Ludzie biją pilnujące porządku cybery. Dwa albo trzy cybery znikają. Na drugi dzień odnajdują się w jakimś rowie w stanie nienadającym się nawet do naprawy. No i jak?

 – Mrok, nieźle to wymyśliłeś. A jeśli smoki wyłapią tych, którzy rozwalali cybery, przekręcą ich na detektorze i dojdą do nas?

 – Nawet jeśli, to co z tego? Ze Strefy nas już dalej nie ześlą. A może boisz się dostać drugie dożywocie?

 – Chłopcy, a czy ktoś z was kiedyś widział na Strefie mityngi? – zapytał Tyson.

 Catherine usiadła na łóżku, zburzyła Mrokowi uczesanie.

 – Nie uciekaj dzisiaj, dobrze?

 – Dzisiaj zostanę.

 – Gospodarzu, masz inne imię? To przecież nie jest twoje prawdziwe imię. Czuję od niego mrówki na skórze.

 – Co w moim imieniu tobie… Poprzednie też ci się nie spodoba. – Mrok objął Catherine w talii, zachwycając się jej linią podbródka. – Dziesięć lat temu nazywali mnie Stan.

 – Stan… Stan Fred?!

 – Tak.

Catherine odepchnęła jego rękę i wyleciała z pokoju jak kula. Mrok odprowadził ją zdumionym wzrokiem, wstał z łóżka, narzucił szlafrok i wyszedł na korytarz. Catherine stała w kącie z czołem przyciśniętym do ściany. Była cała roztrzęsiona, jej ręce kurczowo mięły draperię. Mrok podszedł, wziął ją za ramiona, odwrócił twarzą do siebie. Nie, ona nie płakała. Dawno nie widział takiej nienawiści w oczach.

 – Radzę ci zabić mnie, Fredzie Stanie. W przeciwnym razie zabiję ciebie. Ale nie teraz, tylko wtedy, gdy będziesz myślał, że zwyciężyłeś. Zmieszam z błotem twoje marzenia!

 – Pięknie wyglądasz, kiedy się złościsz. Cat, kiedy zdążyłem nastąpić ci na odcisk?

 – Zabiłeś Simonę, łajdaku!

 – Kiedy to było?

 – Czterdzieści lat temu. Zgwałciłeś ją i zabiłeś.

 – A, przypominam sobie! Nie miałem pieniędzy, a ona zaczęła brykać. Ale… Zgwałcona prostytutka – to jakoś nie brzmi.

 – Zabiję ciebie, Mrok! Zabiję! Zabiję!

 – Zaczynaj.

 – Nie tutaj i nie teraz. Ale czekaj na śmierć! W każdej godzinie! W każdej minucie! Albo zabij mnie tak, jak ją!

 – Nie mam przy sobie pętli ze struny fortepianu. To była nuta „re” wielkiej oktawy. Przedtem kroiłem nią ser. – Mrok wziął Catherine w ramiona, nie bacząc na jej protesty zaniósł ją do sypialni, wytrząsnął z ubrania, położył na łóżku, nakrył kocem. Tu wreszcie się rozpłakała. Położył się koło niej i tak długo głaskał ją po głowie, aż płacz ucichł.

 W kilka dni później, kiedy Mrok wszedł do bunkra, smoczek nie rzucił mu się na spotkanie. Wyjrzał na sekundę ze swojej skrzynki, ćwierknął na powitanie i wrócił do zabawy szpulką po niciach. Mrok zdziwił się. Zazwyczaj smoczek strasznie się nudził, gdy nie było go w domu, spotykał na progu i całą godzinę nie złaził z ramienia. Czyżby przywykł do samotności?

 Wyjął małego ze skrzynki i dokładnie obejrzał. Nie, wszystko normalnie. Tylne łapki rosną, na ogonie zaczęły przebijać się pierwsze łuseczki. No i wygląda rześko.

 Smoczek wyrwał się, przebiegł po rękawie na ramię, potarł główką o nieogolony podbródek, zbiegł na podłogę i pomknął do swojej skrzynki. Mrok zauważył, że w drewnianej ściance wygryziona jest dziura. Z wnętrza skrzynki usłyszał krzątaninę, ćwierkanie, szpulka wyleciała wysoko w powietrze. Nie, wszystko jest jak zawsze.

 Szpulka znów wyleciała w górę i spadła obok skrzynki. Smoczek wyskoczył z dziury równocześnie z jej spadnięciem na podłogę, złapał ją w zęby i zakręcił się po bunkrze. Gdy się zmęczył, popił ze spodeczka, wlazł po spodniach na kolana i zaczął myć się jak kot.

 – Brudasek z ciebie – powiedział do niego Mrok. – Zebrałeś cały kurz spod szafy, a teraz pchasz mi się na kolana.

 Smoczek przestał się myć, podniósł główkę i wsłuchał się w dźwięki ludzkiego głosu.

 – Głowaczek.[[1]](#footnote-2)Do kogo jesteś podobny, Głowaczku? Wyjaśnij mi, czemu tak nieprawidłowo rośniesz? Głowa wybujała taka wielgachna, a z tyłu nie ma na co patrzeć. Musisz rozwijać się harmonijnie, rozumiesz? A ty wyhodowałeś sobie paszczę jak tyranozaur. No sam pomyśl, po co mi taka paszcza? Jeśli już tak wyszło, mógłbyś na razie w ogóle nie rozwijać swojej głowy, gdyż i tak trzeba będzie ci ją potem uciąć.Aha! Dobrze, że mi przypomniałeś. Muszę zapytać Tysona, czy może nie trzeba całej głowy odcinać, tylko mózg usunąć, jak myślisz?

 Smoczek liznął jego rękę i zwinął się w kłębek.

 Mężczyźni radośnie wpadli do salonu.

 – Catherine! Chodź tu! Szybko! Weź apteczkę! Ależ to było pobojowisko!

 – Nie, chłopcy! Udało się! Wspaniale się udało! Ale powtarzać nie będziemy.

 – Myślałem, że już po tobie. Że cię zadepczą.

 – A ja wszystkich łapałem za nogi, aż się zrobił stos. Wtedy ludzie ruszyli naokoło.

 – Skąd mieliśmy wiedzieć, że oni puszczą gaz łzawiący?

 – No, ja się domyślałem. Ale i tak nie mamy masek przeciwgazowych. – Guz, dzięki ochroniarzom, wyglądał lepiej od pozostałych.

 Weszła Catherine. W rękach niosła miednicę z wodą, a pod pachą apteczkę.

 – Najpierw Con. Ostrzelaliśmy się już, a jego praca dopiero się zaczyna – zarządził Mrok.

 Catherine ściągnęła z Conana strzępy koszuli i zaczęła przemywać, smarować i zaklejać plastrami zadrapania i skaleczenia. Conan syczał z bólu i co chwilę próbował objąć ją w talii. Guz wyjął z sejfu butelkę starego koniaku i chciał ją rozlać do kryształowych kieliszków.

 – E, nie,tak nie pójdzie! – zaprotestował Tyson i zawładnął butelką. – To nie naczynia. To muzealne kałamarze.

 Kieliszki zastąpiono graniastymi szklankami. Jeden z ochroniarzy ze zdumiewającą dokładnością rozlał koniak na siedem porcji.

 – Za powodzenie naszej sprawy! Za udany początek! – wzniósł toast Guz. – Barbarzyńcy… Pić koniak ze szklanek! – Chrząknął, wypił i wytarł usta rękawem.

 Mrok wlał w usta swoją porcję i z apetytem zagryzł obraną cytryną. Catherine popatrzyła, jak on żuje, spojrzała na połówkę cytryny w jego ręce, zmarszczyła czoło, zakwękała i potrząsnęła głową z obrzydzeniem. Mrok uśmiechnął się zadowolony. Skończywszy opatrywać Conana, Catherine wzięła się za Tysona. Guz sięgnął do sejfu po drugą butelkę.

 – Ile łącznie zdobyliśmy cyberów? – zapytał. – Ja sam obaliłem trzy.

 – Obaliliśmy siedem albo osiem, ale wywieźć zdążyliśmy cztery. I jeszcze tłum ukamieniował cztery, ale po drugiej stronie płotu, więc się nie liczą – odrzekł Guz. – Aha, pierwsze dwa przywiozą za dziesięć minut. Nie nalewajcie więcej Conanowi.

 Catherine zmieniła wodę w miednicy i wzięła się za Guza i ochraniarzy. Conan zszedł do piwnicy przygotowywać narzędzia. Tyson wyszedł na ganek powitać zaopatrzeniowy furgon z cyberami zamiast żywności. Po chwili także Guz w towarzystwie oklejonych plastrami ochraniarzy udał się do kuchni zjeść coś na wzmocnienie.

 – Cat, nie opuściłaś nikogo?

 – Nie. Opatrzyłam wszystkich, kogo chciałam.

 – A mnie?

 – Jak rozkażesz, gospodarzu. – Głos Catherine był równy, pozbawiony intonacji.

 Mrok ściągnął kurtkę z oderwanym rękawem i oddał się we władanie jej zręcznych, ostrożnych palców. Myślał, że ruchy jej rąk będą celowo niezgrabne, ale nie. Catherine miała żelazny charakter. Wszystkie jego rozkazy wykonywała dokładnie i z maksymalną starannością. I tylko tyle. Z własnej inicjatywy prasowała koszule Conana, czyściła buty Tysona, przyszywała guziki chłopcom Guza. Ale dla Mroka nie robiła nic. W pościeli zachowywała się jak mechaniczna lalka. Poruszała się w wyuczony sposób, jęczała nie w porę. Za pierwszym razem Mrok długo próbował rozpalić ją własną namiętnością. Nie zdołał. Za drogim razem pobił.

 – Ból straszny jest tylko przez pierwsze dwa, najwyżej trzy odmłodzenia – wyjaśniła mu później, wycierając krew z rozbitej wargi. – Potem przywykasz.

 To bardzo Mroka urażało, choć nie wiedział, dlaczego. Chciał przytulić ją do serca, ale ona podchodziła do tego z tak lodowatą obojętnością, że miał ochotę udusić ją na miejscu.

 – Jak obecnie oceniasz nasze szanse? – zapytał ją.

 – Dopóki ja żyję, twoje szanse są zerowe.

 – Jędza.

 Obojętnie wzruszyła ramionami.

 – Jadę do Townu. Posłuchać, co mówią. Wrócę jutro na obiad. Przywieźć ci coś?

 – Nie. Od ciebie nic nie potrzebuję.

Mrok przebrał się w czyste ubranie, usiadł obok woźnicy na koźle furgonu, który przywiózł cybery, i pojechał w kierunku Townu. Ale zaledwie przejechał cztery kilometry, pożegnał się z woźnicą i zagłębił się w las. Okrążył bunkier wielkim łukiem, wszedł na górę, usiadł w zasadzce i zaczął śledzić teren przed bunkrem.

 Minęły dwie godziny. Nikt się nie pojawiał. Mrok sklął siebie od paranoików i zszedł na dół, do bunkra. Kamień przy wejściu był odsunięty! Pistolet sam wpadł mu w rękę. Mrok wsłuchał się w odgłosy, dochodzące przez szczelinę.

 – A-u, a-u, a-u raz! – Usłyszał śpiewny, pieszczotliwy głos Catherine. – Nie, nie tak! Rozłóż skrzydełka. A-u, a-u, a-u raz!

 Pchnął drzwi i wszedł do środka. Catherine kołysała na dłoniach smoczka w górę i w dół.

 – Cześć, Głowaczku. Witaj, Catherine. Oczekiwałem tu kogokolwiek, tylko nie ciebie.

 Kobieta krzyknęła przerażona. Smoczek pisnął radośnie i zaczął wiercić się w jej rękach, prosząc o położenie go na podłodze.

 – Puść chłopca.

 Catherine posłuchała.Głowaczek przebiegł po podłodze, wdrapał się po spodniach i rękawie kurtki Mroka, ulokował mu się na ramieniu i potarł główką o jego podbródek.

 – Witaj, mały. Nudziłeś się beze mnie? – Mrok lewą ręką podrapał smoczka w błonkę skrzydła. – Komu zdążyłaś o nim opowiedzieć?

 – Nikomu. – Catherine powoli cofała się, aż oparła się o ścianę. – Powiedz, ty chyba nie zrobisz małej nic złego? Bo to przecież nie ty rozciąłeś ją na pół?

 – Nie bój się o niego. Twierdzisz więc, że nie opowiadałaś o smoczku nikomu. Zastanów się dobrze. Jeśli zdążyłaś rozpaplać, na zabicie ciebie jest już za późno. Ale jeśli nie, to cię zabiję. Świadkowie nie są mi potrzebni.

 – Mrok, mówię ci prawdę. Przychodziłam tu już wiele razy. Sam pomyśl, jaki byłby sens opowiadania o małej ludziom? Gdybym chciała, opowiedziałabym smokom.

 – Wierzę. No to dlaczego nie opowiedziałaś? Mogłabyś zarobić nawet bilet na górę. Jak mogłaś przegapić taką okazję? A teraz przygotuj się na śmierć. Masz ostatnie życzenie?

 – Dawno jestem gotowa. Daj mi się pożegnać z dziewczynką. I nie zabijaj mnie przy niej.

 – Jaka dziewczynka? To pacan! Może jeszcze nie odrosło? Smoki mają wszystko w środku, jak delfiny. Wysuwają tylko w wiadomych celach.

 Catherine smutno pokręciła głową. Mrok zdjął smoczka z ramienia, obrócił, wpatrzył się.

 – Myślisz, że to dziewczynka? Ale jeśli tak… Ja nie mogę w dziewczynkę… I co teraz?...

 Usiadł na podłodze, objął głowę rękami. Smoczek zadarł mordkę ku górze i zawył żałośnie. Catherine w oszołomieniu patrzyła na nieprawdopodobny widok. Najstraszniejszy, najbardziej bezlitosny człowiek na świecie siedział na podłodze i płakał! W duecie ze smoczkiem! O niej zapomnieli. Ostrożnie ich obeszła, otworzyła drzwi, ale zatrzymała się na progu.

 – Wolność… Nieśmiertelność… Wszystko, wszystko, wszystko… Strefa, tylko Strefa do końca świata… – chlipał Mrok.

 Nie rozumiejąc samej siebie przykucnęła obok mężczyzny i przycisnęła jego głowę do swojej piersi.

 Mrok leżał w przyjemnym znużeniu. Jednak żadna kobieta nie mogła równać się w pościeli z Catherine. Guz wybierał dla siebie wszystko, co najlepsze. Jak to się stało, że wtedy nie poskąpił mu, oddał taką wspaniałą kobietę?

 – Wiem, co się z tobą stało – powiedziała Catherine ocierając się policzkiem o jego owłosioną pierś. – Wiesz, kiedy ból jest naprawdę straszny, nerwy wyłączają się i nie przesyłają sygnału do mózgu. I tak samo z twoim sumieniem. Przeciążyłeś je i wyłączyło się. A potem dziesięć lat żyłeś uczciwie – i znowu zadziałało.

 Mrok pomyślał o Bobasie. To rozbijało hipotezę Catherine w drobny mak. Zacytował:

Moje sumienie to taka nieszkodliwa staruszka.

Ślepa na oba oczka i głucha na oba uszka.

 – Fuj, a niech cię! Sam to wymyśliłeś?

 – Nie – przyznał się Mrok. – Był taki pirat. Skakał na szczudle, miał czarną opaskę na lewym oku i wielką krzywą szablę. A nazywał się albo Silver, albo Flint, nie pamiętam.

 Po podłodze zastukały pazurki i na łóżko wdrapał się smoczek.

 – Głowaczekzawsze ze mną śpi – wyjaśnił Mrok Catherine.

 – Głowaczek cię kocha. To znaczy, że jesteś dobry. Ale jak mogłeś zabić Simonę? Wiesz, jaka ona była? Jedyna z nas, która naprawdę umiała cieszyć się życiem! Cała jak słoneczny zajączek – Catherine chlipnęła i pociągnęła nosem. Głowaczekprzejęła się i zawtórowała jej wyciem. Dla niej to był zupełnie nieudany dzień. Mrok poczekał, aż obie się uspokoją.

 – No, ona też musiała popełnić poważne przestępstwo– zauważył.

 – Była prostytutką i, o ile wiem, szeregowym członkiem jakiegoś gangu. Zesłano wszystkich, razem z nią. – wyjaśniła Catherine, ale Mrok już myślał o czym innym.

 – Mam już plan. Wpiszemy w Głowaczka nie moją, a twoją pamięć i wyciągniesz nas stąd

 – A co będzie z Głowaczkiem?

 – TY staniesz się Głowaczkiem.

 – Mrok, czy ty nie rozumiesz, że to tak, jakby zabić dziecko?

 – Chcesz powiedzieć, że nigdy nie zabijałaś? Że trafiłaś na Strefę przez pomyłkę?

 – Nigdy nie zabijałam dzieci. Mrok. – Usiadła na łóżku, przyciskając Głowaczka do piersi.

 – Dobrze, uspokój się, masz może inny plan?

 – Mam. Wyciągnie nas Głowaczek.

 – Skąd wiesz, że ona zechce nas wyciągnąć?

 – A skąd ty wiesz, że ja zechcę ciebie wyciągnąć? I skąd wiesz, czy ja w ogóle zechcę stać się smokiem jej kosztem? Zrozum – powiedziała szybko, zanim Mrok nie zaprzeczył. – My ją wychowamy, ona będzie nas kochała…

 – Wierzysz w miłość? – przerwał jej.

 – Tak!

 – Tutaj, na Strefie? Miłość? No dobrze, śpij. Jutro porozmawiamy. Mamy czas.

 – Jest miłość! Jeśli jej nie ma, po co w ogóle żyć?!

 – Jest wola, jest wolność, jest siła i rozum. No i głupota też. A miłości nie ma. Weźmy na przykład ciebie. Jesteś mądra i piękna – a kto cię kocha?

 Catherine wetknęła nos w poduszkę i rozpłakała się. Głowaczek tak bardzo się zdenerwowała, że aż wysiusiała się na kocu. Mrok westchnął i zaczął uspokajać obie, gdyż przenikliwe piski małej smoczki nie dałyby mu zasnąć.

 – Mrok, mógłbyś przywołać swoją dziewkę do porządku?

 – Co ona narobiła?

 – No, niby nic, na razie. Ale dyscyplina musi być. Jak ty za drzwi, ona za tobą.

 – A, to… Ja wiem.

 – Nie chcę cię uczyć, to teraz twoje sprawy, ale ona przecież całymi dniami włóczy się po lesie. A jeśli wpadnie na kogoś? Zostaniesz bez baby. Nie dam ci ludzi na jej odbijanie. A jeśli rozpowie o tym, co tutaj słyszała?

 – Nie rozpowie. Ale… Chyba masz rację, Guzie. Trzeba dać jej pistolet

 – No i masz! Ja mu o kozie, a on o wozie.

 – Powietrze! Smoki! – Rozległo się z parteru i po schodach zatupotały ciężkie buty.

 – Czego się przestraszyliście? – ryknął na wartowników Guz. – Nic nie widzieliśmy, nic nie wiemy. W drzwiach się nie zmieszczą, więc siedźcie, nie ruszajcie się. Ja z nimi pogadam.

 – Czekaj, oni chyba po moją duszę. – Zatrzymał go Mrok, spojrzawszy w okno. – Zielony to ten, którego fotografowałem. Czarnego też raz widziałem.

 Schodząc po schodach gorączkowo obmyślał linię zachowania.

 – A, witaj! Nie spodziewałem się, że przylecisz w gości! W drzwiach na pewno się nie zmieścisz. Poczekaj chwilę, zaraz tu, na polance, zorganizuję ci stół – zwrócił się do zielonego smoka, celowo ignorując czarnego.

 – Znowu nie zgadza się z modelem – powiedział czarny do zielonego. – Albo model jest nieprawidłowy, co niemożliwe, albo młodzik nieco zbzikował, albo działa jakiś nieuwzględniony czynnik.

 – Słuchaj no ty, czynniku, wyniósłbyś się stąd. Nic tu nie dostaniesz – obruszył się Mrok. – Ciebie nie zapraszałem.

 – Indywidualne podejście! – powiedział z zachwytem zielony. – Platan, ty mu przygniotłeś łapę. Wprowadź no do modelu osobistą urazę.

 Tymczasem Mrok otworzył drzwi i tubalnym głosem wydawał zarządzenia.

 – Nie kłopocz się, człowieku, przylecieliśmy dosłownie na chwilę. – Próbował go zatrzymać zielony smok, ale Mrok już otwierał jedną po drugiej butelki wina i wlewał je do wiadra. Ochroniarze przeciskali przez drzwi stół, za nimi stała Catherine z wazą jabłek w rękach.

 – Zgodność się poprawia, ale model i tak się rozsypuje – powiedział czarny smok.

 – Masz tu jeszcze jeden czynnik. – Zachęcił go zielony, widząc, jak Mrok objął za talię Catherine. – Kobiety są przeważnie, hm, czynnikiem stabilizującym. No to dziękuję za gościnę i bądź zdrów! – Wlał do paszczy wiadro wina, zagryzł małym czerwonym jabłkiem i wzleciał.

 – Ale ciekawy przypadek! – zauważył czarny, mrugnął porozumiewawczo do Mroka i też wzbił się w powietrze. Smoki zatoczyły nad domem koło i poleciały w stronę Ciepłej Doliny.

 – Smoki latają… Co by to mogło oznaczać?... – głośno rozmyślał Guz.

 – Poleciały nisko. Pewnie będzie deszcz – zaproponował Tyson.

 – To znaczy, że jestem pod obserwacją – wyjaśnił Mrok i zaklął. – Smoki przed chwilą pokazały mi, że wiedzą, kto stoi za napadem na szpital. Con, zrozumiałeś, co mówiły o modelu?

 – Zawodowy slang. To znaczy, że takim modelem nie da się posługiwać. – Conan wyjął z kieszeni okulary, podmuchał na szkła, przetarł je aksamitną szmatką i włożył na nos. – Nie zdołają według niego przewidzieć, jak zachowasz się w tej czy innej konkretnej sytuacji.

 – Juu-ha! – wykrzyknął Mrok i klepnął Conana po plecach, aż temu spadły okulary. Conan podniósł je z ziemi, jeszcze raz przetarł i znów włożył.

 – Mam go, pięknisia! – Conan wskazał zausznikiem okularów na stół warsztatowy, stojący pośrodku największego pomieszczenia piwnicy. Na stole leżał cyber.

 – Nie udało ci się?

 – Kochany i poważany szefie! Conan powiedział, że zrobi, i Conan zrobił. Teraz Conan chce spać.

 – A może zademonstrujesz? – Oczy Mroka zabłysły.

 – Nie można. W tym celu musiałbym go włączyć. A włączyć akurat nie można.

 – A kiedy będzie można? – zapytał ze zdziwieniem Mrok.

 – Gdy znowu odkręcę mu ręce i nogi.

 – Conan – barbarzyńca – mruknął ze swojego kąta Tyson.

 – Nic nie będę mówił – zdenerwował się Conan – dopóki ta kukła mnie nie przeprosi. – Spróbował włożyć okulary do kieszeni, ale trafił dopiero za drugim razem.

 – Szefie, on mnie nazwał kukłą, żądam satysfakcji – odgryzł się natychmiast Tyson.

 Mrok zaryczał i zacisnął pięści, ale poczuł na ramieniu dłoń Catherine.

 – Poczekaj, gospodarzu, daj mi. – Catherine podeszła do Conana, objęła jego ręce swoimi. – No, bądź grzecznym chłopczykiem! Dobrze? – Stanęła na palcach i pocałowała go w czoło. – A ty! –Gniewnie odwróciła się do Tysona i uderzyła kantem prawej dłoni po bicepsie lewej, aż pięść podskoczyła do ramienia. Tyson, żartobliwie udając przestrach, podniósł ręce do góry i wymamrotał kwieciste wschodnie przeprosiny.

 – Więc dlaczego nie można go teraz włączyć? – zainteresował się Mrok, wskazując cybera.

 – Ucieknie do Townu – wyjaśnił Conan. – Jest zaprogramowany na ochronę szpitala.

 – Czyżbyśmy w takim razie na próżno nałykali się gazu łzawiącego? – Mrok wytężał wszystkie siły, starając się mówić spokojnie.

 – Nie biegnij przed parowozem, szefie. Do tej pory zajmowałem się odtworzeniem cybera. Z czterech złożyłem jednego i zebrałem komplet części zapasowych. Teraz zajmę się przeprogramowywaniem cybera. Najprościej byłoby zetrzeć mu całą pamięć od momentu przewiezienia go na Strefę do tej chwili. Można byłoby w ogóle zostawić mu tylko fabryczny zestaw bazowych instrukcji, ale wtedy tak otępieje, aż strach pomyśleć.

 – Dobrze, ile czasu na to potrzebujesz?

 – Jest jeden problem, szefie. Nie wiem, jak będę grzebał w jego pamięci bez komputera. Nie mam ani monitora, ani klawiatury, nic. Jutro może coś wymyślę, a teraz – wybacz. Padam z nóg ze zmęczenia.

 – Odpocznij, Conanie, uczciwie zapracowałeś.

 Już w pościeli Mrok zapytał:

 – Cat, dlaczego Con tak się rozzłościł w piwnicy?

 – Tyson coś wie o przeszłości Conana, tam, gdzie on wcześniej mieszkał, i drażni go tym codziennie. A Conanowi to się bardzo nie podoba.

 – No a gdzie on wcześniej mieszkał?

 – W Cymerii.

 Mrok się zamyślił.

 – Nie znam takiej. To jakaś planeta?

 – Zapytaj Tysona.

 – A co to jest parowóz?

 – Wybacz mi, głupiej. Choćbyś miał mnie zabić, nie wiem. Daj mi już spać.

Niebo dopiero zaczynało się rozjaśniać, gdy Mrok bezdźwięcznie wszedł do pokoju Tysona, usiadł na łóżku i obudził biologa.

 – Co u diabła, szefie? Mnie się śniły takie dziewczyny…

 – Co ty wiesz o Conanie?

 – A co, on uciekł, czy co?

 – Nie krzycz, wszystkich pobudzisz. On śpi. Gdzie leży Cymeria? I co on tam robił?

 – Conan z Cymerii? – Tyson przetarł oczy pięściami, z niedowierzaniem spoglądając na Mroka, po czym nakrył się kocem z głową i zarżał. Między atakami śmiechu spod koca dochodziło: – Nasz Conan – barbarzyńcą! Ręce – o! Nogi – o! Cała pierś owłosiona! Oj, zaraz pęknę! Taki mocny, tęgi chłop!

 Mrok ściągnął z niego koc, ale to nie pomogło. Tyson trząsł się jak żaba pod prądem i w żaden sposób nie mógł się uspokoić.

 Po dziesięciu minutach Mrok wyszedł z pokoju, wciąż jeszcze walcząc z atakami śmiechu i trąc w zamyśleniu podbródek. Stawać w obronie Conana nie miał zamiaru. Z przyzwyczajenia był wierny zasadzie „dziel i rządź”. Później, kiedy zwycięstwo będzie na wyciągnięcie ręki, przyjdzie mu usunąć zbędnych. To jeszcze nieprędko, ale nie można o tym zapominać. Niech w grupie pozostanie napięcie. A teraz Conan jest w sposób oczywisty słaby fizycznie i trzeba to poprawić. Wszystkie pająki w bańce muszą być jednakowo silne.

 Wszedł do pokoju Conana, zdarł z cybernetyka koc i ryknął:

 – Pobudka! Stawiaj się na gimnastykę poranną!

 – Jaka gimnastyka, ja chcę spać – wymamrotał Conan i zwinął się w kłębek.

 Mrok wziął z parapetu wazę z kwiatami, kwiaty wyrzucił za okno, a wodę wylał na Conana. Ten zawył i stoczył się z łóżka. Popędzając cybernetyka lekkimi kopniakami i uderzeniami, Mrok wypchnął go z domu i pogonił dookoła wzgórza.

 – Dzisiaj w twoim życiu zaczyna się nowy etap – wyjaśniał mu w biegu. – Zrobię z ciebie człowieka. Trafił mi się kiepski materiał, czeka mnie dużo pracy. Ale my się nie boimy komplikacji, prawda? Ruszaj kopytami, karaluchu! Dzisiaj biegamy trzy kilometry. Później będziesz biegał pięć.

 – Ja… ach-cha… nie mo… mogę… więcej…

 – Możesz! – Mrok dał mu dwa dźwięczne klapsy. – Gdy zakończymy przygotowanie ogólnorozwojowe, zajmiemy się sztukami walki. Conan nie może być hańbą Cymerii, zrozumiałeś, głowaczu?

 – To zabójstwo, ja zaraz umrę – jęczał w bieguConan, przyciskając dłonie do śledziony.

 – Dobry człowiek nie umrze, a złego nie szkoda. No, dodaj gazu!

Obawy Conana się nie sprawdziły, dotarł do mety żywy. Mrok pozwolił mu trochę odpocząć, po czym kazał mu podciągać się na drążku. Conan podciągnął się sześć razy, czym bardzo zdziwił nie tylko Mroka, ale i siebie samego. Widocznie ćwiczenia ze szwabrą w restauracji nie poszły nadaremnie. Po podciąganiach przyszła kolej na wyciskanie, skłony, przysiady, skoki przez ławkę. Krzyki ofiary obudziły śpiących, w oknach domu pojawili się widzowie. Wreszcie egzekucja się skończyła. Mrok wylał na Conana dwa wiadra zimnej wody, po jednym z przodu i z tyłu. Wyszła Catherine i zaczęła wycierać biedaka ręcznikiem froté.

 – Jestem rozbity, jestem zgubiony – mamrotał Conan. –Nie będę mógł dzisiaj pracować. To barbarzyństwo, metody handlarzy niewolników. Praca umysłowa wymaga koncentracji.

 – Zrób sobie dzisiaj wolne, Conanie-Barbarzyńco – pocieszył go Mrok. – A jutro pobiegniesz cztery kilometry. – Po czymzebrał kilku wolnych ochroniarzy i objaśnił im, gdzie i jaki sprzęt sportowy trzeba ustawić na podwórzu.

 – A… – Najstarszy ochroniarzpotarł kciukiem palec wskazujący, robiąc aluzję do wypłaty.

 – Sto kredytów – powiedział Guz, podchodząc od tyłu.

 – Na łebka. – Najmłodszy ochroniarz nie speszył się.

 – Ej, co za dużo, to niezdrowo.

 – Ale to przecież nowy zawód, nadgodziny… – Nie poddawał się ochroniarz.

 – No, niech będzie, na łebka.

 – Hurra! Niechby wszyscy tak żyli! – Klasnął w dłonie ochroniarz.

 – Myśl sobie, co chcesz, ale oszukaliśmy samych siebie. – Guz rozłożył się w miękkim fotelu i obracał w dłoniach pękaty kieliszek z koniakiem. Wzięliśmy z każdego cybera po trochę, resztę wyrzuciliśmy w nocy na ulice w Townie. Do szpitala nie wróciła ani jedna śrubka. Ludzie wszystko pozbierali i puścili w obrót, na ile komu starczyło fantazji. Czarny rynek jest zapchany częściami robotów. Nikt nie wie, co z nimi zrobić.

 – No i dobrze.

 – Ale mogliśmy zmontować dwa cybery.

 – Pożądliwość gubi.

 – Możemy i teraz. Skupimy to całe barachło, położymy na warsztacie Conana…

 – Nie, skupywać nie Jeśli już, to niech twoi ludzie wygrywają je w karty, w kości, w zakładach, ale nie skupują.

 – Nie widzę różnicy.

 – Ludzie skupują to, czego im trzeba. To ślad, rozumiesz, wyraźny ślad, prowadzący prosto do nas. A w karty można wygrać każde świństwo. Nieważne, czy cipotrzebne, czy nie, gdyż zawsze możesz postawić je w następnej grze. Dla wielu celem jest sama gra, a nie wygrana.

 – Moim zdaniem, stajesz się paranoikiem, Mrok.

 – Chyba tak. Ale stawka jest zbyt wysoka. Może jeszcze sobie tego nie uświadamiasz, ale stawką jest wolność i nieśmiertelność, Guzie! Wolność i nieśmiertelność!

 Mrok pierwszy raz wyniósł Głowaczka z bunkra na słońce. Rezultat zmartwił i jego, i Catherine. Smoczka przeraziła się śmiertelnie. Schowała się pod ubranie, rozdarła mu ostrymi pazurkami skórę na brzuchu. Musieli szybko wracać do bunkra i opatrywać ranki. Szok Głowaczka trwał aż do wieczora.

 – Ale to jasne – wyjaśniła Catherine. – Wstrząs okołoporodowy. Najpierw spadła z Bóg wie jakiej wysokości. Potem rozszarpały ją sępy. I to wszystko przy jasnym słońcu. Zauważyłeś, że ona boi się latać?

 – A kto mi podpowiedział ten pomysł? Teraz dla ciebie wszystko jasne, a ja mam zepsutą skórkę! Wiesz, że myśliwym za uszkodzone skórki potrąca się trzydzieści procent?

 – Twojej skórki nie oddam nikomu. Ale trzeba coś z tym zrobić. Ona rośnie nieprawidłowo. Przednie łapki ma dwa razy dłuższe od tylnych. Trzeba pokazać ją Tysonowi.

 – Wszystko normalne. Niedawno w ogóle nie miała tylnych łapek. Wyrówna się, a nawet, jeśli nie, to zaledwie cztery centymetry różnicy. Gdy łapy będą miały po dwa metry długości, w ogóle tego nie zobaczysz.

 – A łuseczki na ogonie? Powinne układać się w równe rzędy, a tutaj...

 – Kobieto, daj spokój! Gdyby urwało ci cały tyłek – Mrok poklepał się z przyjemnością po tym miejscu – i wszyscy zaczęli cię oceniać: „A tu chyba czegoś brakuje” – to jakby ci było? Daj jej czas, a wszystko wróci do normy. Masz, popatrz na zdjęcia, jak było wcześniej. – Kolejny raz spojrzał do dziennika obserwacji. Dobowy przyrost wagi w żaden sposób nie chciał przekroczyć jednego i dwu dziesiątych grama.

 Wieczorem, kiedy słońce zamieniło się w szkarłatną kulę, a Głowaczek wylazła ze swojej skrzynki, Catherine zrobiła drugą próbę. Wsadziła smoczkę pod kurtkę i usiadła na kamieniu niedaleko wyjścia. Po jakimś czasie spod kurtki wyjrzała ciekawa główka. Reszta ukazywała się stopniowo, w dużych odstępach czasu. Kiedy ukazała się cała, Mrok usiadł na kamieniu obok Catherine i smoczka natychmiast przeskoczyła na jego kolana. Mrok pogłaskał jej skrzydełka, po czym zerwał trawkę i połaskotał nią brzuszek. Błyskawiczny ruch łapki – i smoczka już obwąchuje zaciśnięte w piąstce źdźbło. Ułamek sekundy – i trawka zjedzona.

 – Witaminy – wymamrotała Catherine, wyjęła z torebki jabłko, pokroiła na cząstki i podała Głowaczkowi. – Karmiłeś małą samymi konserwami, a ona potrzebuje witamin.

 Po pięciu minutach smoczka leżała na grzbiecie ze sterczącym ku górze nabitym brzuszkiem. Świszczała z zadowoleniem, zapominając o wszystkich strachach. Catherine patrzyła na nią oczami pełnymi miłości, a Mrok obliczał, że w Głowaczka weszło co najmniej trzydzieści gramów jabłka, co zapowiadało rekordowy przyrost dobowy.

 A po pół godzinie smoczka dostała strasznej biegunki. Przyrost dobowy nie przekroczył tradycyjnych 1,2 grama.

 – Kto ci tak rozplatał brzuch? – zapytał Guz.

 Mrok zmarszczył czoło. Zupełnie zapomniał o zadrapaniach.

 – Nieudane doświadczenie. Chciałem podarować Catherine żywą wiewiórkę.

 – Wiesz co, Mrok, ja rozumiem smoki. Jesteś naprawdę niepodobny do siebie samego. Dossier mówi o tobie, żeś zwierzę, a ja widzę przed sobą dobrego chłopca. Przeszedłeś w nocy przez las pięćdziesiąt kilometrów, żeby uratowaćBobasa, próbujesz zrobić człowieka z Conana-głowacza, Catherine zakochała się w tobie po uszy – ta mądra, wyrachowana Catherine, starsza od mojego pradziadka, ja zaczynam wierzyć, że naprawdę wyciągniesz nas ze Strefy. Więc jaki ty tak naprawdę jesteś?

 – Taki jaki w dossier. A Catherine obiecała, że mnie zabije.

 – Prędzej ręce sobie obetnie. A propos, dokąd ty i ona tak często znikacie?

 – Do mojego tajnego domku. Zgaduj do trzech razy, co my tam robimy?

 – Nawet nie będę próbował. Zaraz powiesz, że ze mniecynik, maniak seksualny i w ogóle sprośny typ. Aha, a po co Conanowi sto metrów kwadratowych blachy dachowej?

 – Obić pokój w piwnicy. Całkowicie zaekranować go od fal radiowych każdej długości, żeby smoki nie zdołały wykryć pracującego sprzętu. Ma problemy. Ekranowanie – to łatwiejsza połowa zadania. Żeby przeprogramować cybera, potrzebny jest komputer. A żeby skonstruować z zapasowych części cybera komputer, potrzebny jest cyber. Błędne koło.

 – Więc po co u diabła myśmy to robili?! Wiesz, ile mnie kosztowała draka koło szpitala?

 – Nie denerwuj się, naczelniku. Wcześniej czy później Conan sobie poradzi. Zrobi sobie komputer. Tylko trzeba będzie długo czekać. Może rok, może dwa. Zresztą świta mi już nowy plan. Jeśli nie można wynieść komputera z merostwa, to może przeniesiemy tam naszą rezydencję? Wybierzemy ciebie burmistrzem. Jak ci się to podoba?

 – A obecny burmistrz?

 – Umrze. Zapomnij o nim, ja się tym zajmę.

 – Wygląda na to, że nie cenisz zbyt wysoko ludzkiego życia.

 – Dlaczego? Cenię. Ale tylko własne. Ile potrzeba ci czasu na przygotowanie kampanii przedwyborczej?

 Mrok zdjął kapsel z butelki i upił łyk zwykłej wody z cukrem. Nigdy nie brał na akcję alkoholu. Spojrzał na zegarek i wstał z wgniecionego materaca. Włożył na twarz czapkę-maskę z otworami na oczy, sprawdził wyposażenie, ubrał rękawiczki. Burmistrz mieszkał w sąsiednim, takim samym dwupiętrowym domu. Prawie takim samym, jeśli nie liczyć drobiazgów typu elektryczności, komunikatora, gorącej wody, braku pcheł i karaluchów oraz faktu, iż zajmował go w całości sam ze służbą.

 Dziurę w ścianie sufitu Mrok przebił poprzedniego dnia. Znacznie łatwiej byłoby przejść dwadzieścia metrów po dachu, ale blacha mogłaby załomotać pod nogami, bał się też obserwacji ze sputników. Wspiął się na strych, zamknął za sobą luk, podszedł do dziury, wsłuchał się. Cisza. Przeszedł na strych domu burmistrza. Luk na schody okazał się zamknięty. Mrok uśmiechnął się, wyjął śrubokręt i odśrubował zawiasy. Wkręty dokładnie ułożył pod ścianą. Zszedł na pierwsze piętro, bezdźwięcznie przeszedł korytarzem, licząc drzwi. Przed trzecimi przystanął, wytężył słuch. Zza drzwi dochodziłociche chrapanie. Uchylił drzwi, wszedł, rozejrzał się. Nogi po kostki utknęły w miękkim dywanie. Obok burmistrza na łóżku spała kobieta. Mrok zaklął w myśli, schował pistolet z tłumikiem do kieszeni i wyjął nóż. Odrzucił koc, jedną ręką zatkał burmistrzowi usta, a drugą wbił mu nóż w serce. Ciało rzuciło się i od razu oklapło. Mrok już chciał je nakryć kocem i odejść, ale kobieta obudziła się i wpatrzyła w niego. Położył palec na ustach. Jej oczy zaokrągliły się, skurczyła się i zajęczała z przerażenia.

 – Ilu ludzi jest w domu? – zapytał półszeptem.

 – Nikogo. Nie ma nikogo więcej – zatrajkotała kobieta.

Mrok związał jej ręce, zakleił usta leukoplastem, usiadł na łóżku i zamyślił się, jak by tu maksymalnie wykorzystać nowy czynnik. Czasu w zapasie miał dużo – kilka godzin do rana. Najprościej byłoby ją zabić, ale potem mogą powstać problemy z Catherine. A Catherine już jest częścią planu ze smokiem. Może się z nią przyjaźni, jak z Simoną? Nie warto ryzykować.

 – Znasz kobietę imieniem Catherine?

 Najpierw skinęła głową twierdząco, zaraz potem pokręciła przecząco.

 – Więc znasz czy nie?

 „Nie”.

 – Ubieraj się, pójdziesz ze mną – powiedział i rozwiązał jej ręce. –Jeden niewłaściwy ruch – i jesteś trupem, rozumiesz?

 Kobieta skinęła głową i pośpiesznie zaszumiała ubraniem. Podczas gdy się ubierała, Mrok obejrzał toaletkę. Wybrał buteleczkę z najsilniej pachnącą wodą kolońską, włożył ją do kieszeni. Wyjął z piersi trupa nóż, wytarł o prześcieradło. Złapał dziewczynę za rękę i przycisnął jej dłoń do rany. Potem kazał jej wytrzeć dłoń o koc i znów związał ręce. Nowy plan z każdą sekundą coraz bardziej mu się podobał. Zamiast zagadkowego, niewykrywalnego zabójstwa można było zwalić wszystko na kobietę. Zabiła, uciekła i ślad po niej zaginął. Motywy policja guberni wymyśli sama.

 Wziął kobietę za kołnierz, zaprowadził na parter, otworzył zasuwy, zdjął łańcuch, uchylił na próbę drzwi. Zdjął zakrętkę buteleczki z wodą kolońską, przewrócił ją do góry dnem i wylał trochę płynu na futrynę drzwi. Jeśli policja przywiezie ze sobą psy, niech myśli, że zbił je z tropu ten zapach. Pchając kobietę przed sobą, skierował się ku górze. Na półpiętrze wyjął z kieszeni solniczkę z przygotowanym przez Tysona szarym proszkiem i posypał nim ślady. Proszek praktycznie nie miał zapachu, ale u psów wywoływał nieprzezwyciężalną odrazę.

 Gdy wchodzili na drugie piętro, nieoczekiwanie zapaliło się tam światło. Tęgi mężczyzna w klapkach poczłapał do toalety. Mrok przycisnął się do ściany i podsunął kobiecie pod oczy pięść. Ta przewróciła oczami i straciła przytomność. Mrok podchwycił ją i posadził na stopniu. W toalecie zaszumiała woda, mężczyzna poczłapał z powrotem, światło zgasło. Mrok poczekał pięć minut, upewnił się, że jego zdobycz się ocknęła i pogonił ją na strych. Szybko i bezdźwięcznie zamknął luk, przyśrubował zawiasy na miejsce. Przelazł przez dziurę w ścianie, pomógł przedostać się kobiecie. Wyjął ze starej szafy wiadra z wodą i z cementem oraz kielnię, zamiesił roztwór i zamurował dziurę. Kiepsko, po pół cegły z każdej strony, ale jeśli nie będą specjalnie szukali, mogą nie zobaczyć. Schował wiadro i kielnię do szafy, zasypał resztę cegieł trocinami. Oświetlił latarką twarz kobiety. Do diabła, to zupełna dziewczynka! Pewnie dopiero co odmłodzona, wygląda na osiemnaście-dwadzieścia lat. Blada jak śmierć. Odwróciła twarzyczkę od promienia światła i zadrżała.

 – Jeśli nie będziesz robiła głupstw, przeżyjesz – pocieszył ją Mrok.

 Już sobie mocno postanowił, że zleci jej zlikwidowanie ludziom Guza, i to tak, by Catherine się o tym nie dowiedziała.Niech myśli, że Guz wysłał dziewczynę na odległe rancho. W umówionym pokoju czekał już na niego właściciel furgonetki zaopatrującej dom Guza w żywność, Peter Kuna.

 – Uch ty, ale lala! – Zachwycił się. – Skąd ją wziąłeś?

 – Leżała w łóżku z nieboszczykiem.

 – Mrok, jeśli ty ją, tego, to daj najpierw mnie. Proszę cię. Tak dawno nie miałem baby!

 – Nie ją i nie teraz. Prowadź!

 – Ty byś najpierw, tego, przebrał się. Pójdziemy przez ludne miejsca.

 Mrok zaklął, rozwiązał dziewczynę, zerwał plaster z jej ust. Zdjął z głowy czapkę-maskę, podał jej.

 – Włóż i schowaj włosy. Ależ nie tak, idiotko! Jak zwykłą czapkę.

 Dziewczyna posłuchała. Kazał jej ubrać swój płaszcz. Zrobiła się podobna do wyrostka.

 – No i jak? – zapytał Petera.

 – Okropnie. Skąd na Strefie chłopcy?

 – Sam widzę – zgodził się Mrok. – No to chodźmy.

 Peter długo prowadził ich przejściowymi podwórkami. Na szczęście po drodze nie spotkali nikogo. Przy wsiadaniu do wozu Mrok chciał związać dziewczynie ręce.

 – Nie trzeba, proszę – zaczęła błagać. – Nie ucieknę. Teraz policji boję się bardziej niż was.

 – Prawidłowo – pochwalił Mrok i nie związał. – Nawet, jeśli ci uwierzą, powiem, że byłaś wspólniczką. Otworzyłaś mi drzwi.

 Wciąż jeszcze miał cichą nadzieję, że dziewczyna spróbuje uciec. To zlikwidowałoby wszystkie problemy. Kula w plecy z pistoletu z tłumikiem – i nawet Catherine przyznałaby, że działał prawidłowo w danych warunkach.

 W ciasnej,ciemnej, trzęsącej się furgonetce absolutnie nie było co robić. Dziewczyna myślała, że Mrok wiezie ją na egzekucję i wpadła w stan odrętwienia. Mrok zadał jej parę pytań, odpowiedziała mu monosylabami. Skłaniać ją do zmiany zdania odnośnie jego planów nie miał zamiaru, więc udał śpiącego. Po kilku minutach głowa dziewczyny dotknęła jego ramienia. Wyciągniętą ręką objął dziewczynę i przycisnął do siebie. Drżała i szeptała modlitwę.

 – Ile masz lat? – zapytał po kilku minutach.

 – Nie pamiętam. Sześć odmłodzeni.

 – Czyżby ciebie zupełnie nie interesowało, ile przeżyłaś?

 – Żadna kobieta na Strefie nie liczy lat. Kto liczy, długo nie pożyje. A jeśli nie liczysz lat, to jakby ich nie było. Miałam nadzieję dożyć do czasu, w którym nastąpi jakaś zmiana. Przecież to piekło nie może trwać wiecznie, prawda? Musi w końcu coś się zmienić, trzeba tylko tego doczekać. Może wydadzą prawo, że człowieka nie można tu trzymać wiecznie, może smoki pozwolą nam rodzić, może ktoś zbuduje rakietę.Byłam gotowa czekać dowolnie długo. Myślałam, że, jeśli będę się zachowywała prawidłowo, nic strasznego mi się nie stanie. Doczekam się, choćbym miała czekać tysiąc lat.

 – Co to znaczy zachowywać się prawidłowo?

 Dziewczyna uśmiechnęła się smutno.

 – Nigdy nie odmawiać wam, chłopom. Na Strefie to pierwsze prawo przeżycia dla kobiet: nigdy nie odmawiać mężczyznom. Wiesz, kiedy wychodzisz po odmłodzeniu, wydaje ci się, że nawet słońce jaśniej świeci. I nagle ty… Nie, nie myśl, że jestem zła na ciebie. Znalazłam się po prostu w niewłaściwym czasie i miejscu.

 – Za co tu jesteś?

 – Za sprawę. Kradłam dzieci, żądałam wykupu. Jeśli rodzice zwracali się do policji, zwracałam im dziecko w częściach. Oddzielnie rączki, oddzielnie nóżki, oddzielnie uszka, oddzielnie nosek. Uważałam to za coś w rodzaju zabawy, przecież ani jednego nie zabiłam, bądź co bądź jestem chirurgiem. Wszystkie amputacje robiłam pod narkozą, a potem dziecko od razu wieźli do szpitala, wkładali do biowanny i wychodziło zdrowe. A na sądzie… Gdybyś wiedział, ile kobiet chciało rozerwać mnie na kawałki! Tak więc tu jest dla mnie najwłaściwsze miejsce. Głupio,co: jechać ze swoim katem i płakać mu w kamizelkę.

 – Nie zamierzam ciebie zabijać.

 – Czyli zlecisz to komu innemu. Jestem przecież świadkiem i zarazem główną podejrzaną. Jeśli przekręcą mnie na detektorze, twoje zamiary rozlecą się jak domek z kart. Ja to wszystko rozumiem. No, porozmawiałam z tobą i uspokoiłam się.

 Furgonetka przechyliła się na zakręcie, po czym pod kołami zadudniły belki drewnianego mostu. Mrok zrozumiał, że już dojeżdżają do podmiejskiego domu Guza.

 Peter na tylnym biegu wjechał furgonetką pod daszek, wysiadł i szeroko otworzył skrzydła tylnych drzwi. Mrok zmrużył oczy od jasnego światła i rozejrzał się po spotykających. Zebrali się wszyscy. Wyciągnął dziewczynę za rękę, od razu zaprowadził do domu. W salonie zdjęła czapkę i potrząsnęła głową, aż jej włosy rozsypały się po ramionach. Przybycie dziewczyny jedni powitali napiętym milczeniem, inni – radosnymi okrzykami.

 – No i jak? – zapytał Guz.

 – Czysto. Była z nim dziewka. A wy, zasrańcy, dlaczego nie uprzedziliście mnie, że burmistrz ma dziewkę w domu? – Zaatakował ochroniarzy Guza Mrok.

 – Tą?

 – A jakąż by inną?

 Catherine rozepchnęła mężczyzn, rzuciła się do dziewczyny, objęła ją, ucałowała w policzki i w usta.

 – Twoja przyjaciółka dwa razy próbowała mnie oszukać – powiedział do niej Mrok. – Sam się dziwię, dlaczego ona jeszcze żyje. W domu burmistrza zadałem jej tylko dwa pytania i dwa razy mnie okłamała.

 Zaczęła się gorsząca scena. Catherine padła przed nim na kolana, poniżając się wyrażała mu swoją wdzięczność, płacząc i całując ręce przysięgała mu wierność, prosiła, żeby ją ukarał, jeśli w czymkolwiek mu przewiniła. Próbowała zmusić dziewczynę, żeby i ona uklękła i poprosiła o przebaczenie, a kiedy ta odmówiła, spoliczkowała ją. Mrok wyrwał rękę, odepchnął Catherine, kazał jej wstać.

 – Roztrząsajcie to między sobą same. A ty – tknął palcem w dziewczynę – nie wysuwaj nosa z domu, nawet nie podchodź do okien. Jeśli się dowiem, że choć raz wyszłaś na ganek, nogi ci obetnę. Piłą.

 Poszedł do siebie, zdjąłubranie, padł na łóżko.Zanim zdążył zasnąć, zastukał do drzwi Guz i, nie czekając na odpowiedź, wszedł do pokoju ze słowami:

 – Maggie opowiadała, jak wykończyłeś Gustawa.

 – Kto to jest Maggie?

 – Dziewczyna, którą przywiozłeś. Co z nią zrobimy?

 Mrok zaklął szpetnie.

 – Niezrozumiałem. – skomentował Guz.

 – Nie możemy jej moczyć. Jest przyjaciółką Catherine, a Catherine jest mi potrzebna. Niech na razie mieszka w tym domu. Później odprawimy ją na najdalsze rancho. Jakkolwiek nasze przedsięwzięcie się zakończy, o starym burmistrzu za rok wszyscy zapomną.

 – W ciągu trzech dni pozna wszystkie nasze tajemnice. Jakie rancho, do diabła?

Guz miał rację. Mrok znowu zaklął.

 – Może dać ją na łańcuch w piwnicy? Żartuję. Jutro pomyślimy, teraz chcę spać.

 Przespał całą dobę. Tak przejawiło się zmęczenie z poprzednich dni i napięcie nerwowe. Obudził go tupot na schodach. Conan i Tyson udawali się na poranną przebieżkę. Postanowił przyłączyć się do nich. Na drodze czekała na nich, rozgrzewając się, Catherine. Dobiło ostatecznie Mroka pojawienie się Guza w pasiastym stroju sportowym, oczywiście w towarzystwie ochroniarzy. W ciągu tygodnia w domu nastąpiły ba-a-ardzo duże zmiany.

 Biegli sześć kilometrów. Bardzo długo prowadziła Catherine, ale na piątym kilometrze spuchła i ustąpiła prowadzenia Tysonowi, a kilkaset metrów przed metą poprosiła jednego z ochroniarzy, by wziął ją na ręce. Ku zdumieniu Mroka, pochwycił ją i poniósł.

 – Często ma taki handicap? – zapytał Mrok Guza.

 – Nie wiem. Jestem do…uch… piero trzeci dzień na trasie. Lepiej mi po… uch… wiedz, dlaczego ją noszą, a mnie… uch… odmawiają?

 Na łączce przed domem, oglądając sprzęt sportowy, czekały już na nich oba smoki: czarny i zielony. Mrok poczuł chłód pod żołądkiem oraz zdradziecką słabość kolan.

 – Witajcie, chłopcy. Jakie macie nowości? – zapytał pozornie spokojnie.

 – My? – Zdziwił się czarny smok. – Dorian, jakie mamy nowości?

 – Niejaki Jegor Dubow zwany Guzem stworzył zespół mózgów. W jego skład wchodzą specjalista nauk technicznych, specjalista nauk przyrodniczych i zawodowy killer. Ten ostatni to naprawdę nieprzeciętny człowiek. Wszyscy trzej są najlepsi w swoim fachu. W skład grupy wchodzi także kilkudziesięciu ludzi o specjalizacji, w zasadzie, kryminalnej. Grupa nie pozostaje bezczynna. Została podjęta próba kradzieży komputera z archiwum spraw osobistych kolonistów Strefy. W niewiadomym celu podjęto atak na szpital. Jak sądzę, miała to być próba sił. I wreszcie wczoraj miał miejsce zamach na burmistrza Townu. Udany. Wniosek jest jednoznaczny: przygotowują zmianę władzy. A jakie wy macie nowości?

 – A jamam tylko jedną nowość. Jest kobieta, która trafiła na Strefę dawno i za sprawę. Uświadomiła to sobie i odkupiła. Przeszła przez siedem kręgów piekła. Jeśli nie zabierzecie jej na górę, to wszystkie jesteście psie gówno.

 – Mówisz o Catherine? – zapytał zielony smok.

 – Nie, o Maggie.

 – Więc ona żyje? – Szczerze zdziwił się czarny i przewrócił oczami, sterując komputerem w okularach za pomocą rzęs. – Nie, to się nie zgadza – zakomunikował zielonemu. – Jego model wyklucza motywy altruistyczne.

 – Wypróbuj starą przyjaźń.

 – Też się nie zgadza.

 – Pozostaje jedno. Przeszkadza mu i chce się jej pozbyć.

 – W takim razie dlaczego jej po prostu nie zabił?

 – Mówimy o kobiecie, a nie o mnie! – Wybuchnął Mrok – Zresztą nigdy jej nie znałem.

 – Nie wiesz, co oznacza termin „dożywotnio”? – zwrócił się do Mroka czarny smok. – Ten wyrok wydali ludzie. Całą tą parszywą Strefę wymyślili ludzie! Prawa i porządki na Strefie ustalili ludzie! To wy sami stworzyliście tu sobie piekło! My jesteśmy tu tylko obserwatorami. Ob-ser-wa-to-ra-mi. Nasza działalność na powierzchni jest reglamentowana całą kupą praw i ograniczeń. Gdyby nie to, już dawno zmiażdżyłbym ciebie jak jadowitego skorpiona!

 Mrok po raz pierwszy widział rozwścieczonego smoka. Nie był to widok dla ludzi o słabych nerwach. Nieoczekiwanie naprzód wyszła Catherine.

 – Mrok był zły, a teraz jest dobry. A ty jesteś tchórz. Wynoś się – powiedziała spokojnie.

 Smok głęboko odetchnął, po czym zszumem wypuścił powietrze. Położył głowę na ziemi i spojrzał na Catherine od dołu ku górze.

 – Królowa… A może ona ma rację, co, Dorian? A my jesteśmy stare jaszczurki ze skostniałymi mózgami. Raz na zawsze ustaliliśmy szablony i nie możemy odstąpić od nich ani na krok. Zaganiamy kopniakami fakty do schematu. Siedzimy tu jak dwa stare bermudzkie żule i nic nie widzimy. A życie bywa szersze od schematu… Lecimy… Żegnaj, królowo!

 – Chciałbym wierzyć. Do następnego spotkania, człowieku! – powiedział jeszcze zielony i oba wzleciały. Odwróciły się w powietrzu i wzięły kurs na Ciepłą Dolinę.

 – Co by to miało znaczyć? Carte blanche na merostwo czy ostatnie chińskie ostrzeżenie? –myślał głośno Guz.

 – Wszystko wiedzą! Jestem jak na szkle pod mikroskopem! Zabiję ich! – złościł się Mrok.

 – Uspokój się! – ryknął Guz. – Nie wiedzą aż tak dużo. Przypomnij sobie dokładnie, słowo po słowie, całą rozmowę. Wiedzą, że zabiłeś burmistrza. To znaczy, że dom burmistrza jest obserwowany. To nawet bardzo mądrze. Burmistrz to widoczna figura. Ale nie wiedzieli, że Mag żyje. Nie wiedzieli też, po co napadliśmy na szpital. To znaczy, że nasz dom nie jest obserwowany.

 – Tego by tylko brakowało… – Mrok usiadł na belce, potarł dłońmi twarz. – No, nie będą nam przeszkadzać. Guzie, zaczynaj kampanię przedwyborczą Wszystko będzie tip-top.

 Trzy dni później w Townie ciągle jeszcze nie ogłoszono śmierci burmistrza. Guz zwołał radę.

 – Jesteś pewny, że burmistrz umarł? – zapytał Mroka bez ogródek.

 – Tak jak tego, że żyję. Wbiłem mu nóż w serce. Chyba, że… – Mrok zamyślił się. – Tyson, ile czasu potrzeba, żeby nieboszczyk stał się trupem?

 – Nie zrozumiałem?

 – No, od chwili, kiedy zatrzyma się serce do czasu, gdy nie można go już ożywić?

 – Uważa się, że mózg zaczyna się rozpadać po trzech do pięciu minutach. Jeśli minęło więcej czasu, człowiek staje się idiotą. Co prawda zdarzały się przypadki, że utopionego w zimnej wodzie wyciągano i cucono po pół godzinie – i nic. Ale twój leżał przecież w ciepłej pościeli. Ile minut gwarancji dajesz, że nikt go nie ruszał?

 – Zabiłem go. Związałem Mag, zalepiłem jej usta. Potem usiadłem i obmyśliłem nowy plan. Rozwiązałem Mag, kazałem jej się ubrać, znowu związałem. Na to poszło dziesięć minut. Zeszliśmy na parter, otworzyłem drzwi, Poszliśmy na górę i utknęliśmy na platformie schodowej między pierwszym a drugim piętrem na kolejne dziesięć minut. Cały czas było cicho. Potem wszedłem na strych, nie mogę już gwarantować, ale dopóki zaklejałem przejście, nie było szumu i krzyków.

 – Czyli ponad dwadzieścia minut z gwarancją i około godziny bez gwarancji?

 – Tak.

 – Plus czas na przewóz ciała do szpitala… Śpij spokojnie, on jest martwy.

 –W takim razie dlaczego oni milczą?

 – Nie przejmuj się tym, Mrok. Widocznie nie mogą wybrać następcy. I to wspaniale dla nas.

 – Cały plan w diabły, i to ma być wspaniale?

 – Mrok, ty znakomicie wykonałeś swoją część planu, zostaw mi moją. Mamy ich w garści. Nie ma takiego grzechu śmiertelnego, którego nie można byłoby przypisać nieboszczykowi. I ja przypiszę. Ukradł kasę i uciekł. Albo jeszcze lepiej: zabił, ukradł i uciekł.

 – A jeśli pokażą ciało?

 – Przemilczeć śmierć burmistrza – to fatalny błąd z ich strony. Wtedy przypiszemy zabójstwo im. Są w pułapce, Mrok, sami w nią wleźli. Narada skończona, do roboty! Czekają nas wielkie czyny!

 Mrok zszedł po schodach i na samym dole zamarł, oparty łokciami o poręcz. Pośrodku salonu, wziąwszy się za ręce, krążyły ze śmiechem Maggie i Catherine.

 – Ale kobyłka! – Zachwycił się Guz za jego plecami. – I ty chciałeś wysłać na górę takie piękno! Nie, w twojej duszy nie ma muzyki!

 – Smoki od razu obliczyły, że chcę się jej pozbyć, ale Cat im nie uwierzyła. A przecież stała obok i wszystko słyszała.

 – Ludzie słyszą to, co chcą usłyszeć. Cat zakochała się na starość w tobie i chce słyszeć o tobie tylko dobre rzeczy.

 Trzymając się za ręce, Mrok i Catherine rześko szli w kierunku bunkra.

 – Jeśli któreś z nas się trochę wygada, Głowaczek to twoje źrebię i ja chodzę go karmić. Jak ci się podoba ta historyjka?

 – Dlaczego sam jej nie wymyśliłem?

 – Wprowadziłam Maggie w nasze sprawy. Ale nie bój się, nie o Głowaczku, tylko o tym, co robimy w domu Guza. Możesz na niej polegać jak na mnie.

 Głowaczek spotkała ich o sto metrów od bunkra. Wyglądało to jak ślad torpedy w trawie. Potem w trawie pokazała się i na sekundę zamarła główka z wysuniętym języczkiem. I w następnej chwili zielona błyskawica wdrapała się z radosnym ćwierkaniem na ramię człowiekowi, oblizała mu ucho, policzek, podbródek, odbiwszy się wszystkimi czterema łapkami przeskoczyła na pierś Catherine, potarła się główką o jej szyję, znowu przeskoczyła na ramię Mroka i zamarła, zadowolona.

 – Co ty tu robisz? – zapytał zdziwiony Mrok.

 Catherine wyjęła z kieszeni jabłko, rozcięła na cztery części, dała każdemu po jednej.

 – A dla kogo ostatnia? – Zainteresował się Mrok.

 – Nie dla ciebie. Zrobisz się gruby.

 W bunkrze Mrok najpierw jak zwykle najpierw zmierzył i zważył Głowaczka i wpisał nowe dane do dziennika, którego prawie połowa była już wypełniona równiutkim pismem Catherine. Głowaczek zeskoczyła na podłogę i zaczęła jakąś zawiłą zabawę z Catherine, a Mrok położył się na tapczanie i rozmarzył się.

 – A wiesz co, Cat, chyba nieźle byłoby utworzyć rodzinę.

 – Masz tobie! A kim my dla ciebie jesteśmy? – Obraziłasię.Zrozumiał, że palnął głupstwo.

 – No-o, oficjalnie nikim. Po prostu znajomymi.

 – Proponujesz mi małżeństwo? Zgadzam się, kochany! – Catherine rzuciła mu się na szyję. Zrozumiał, że palnął jeszcze większe głupstwo.

 – Teraz nie czas na to, sama powinnaś to rozumieć.

 – Wszystko rozumiem. Głowaczku, zostaw to, idź do papy. Możesz zrobić sobie harem. Nie mam nic przeciwko temu. Chcę tylko w tym haremie być pierwsza.

 – Jaki harem? Głowaczku, nie liż mnie.

 – Ja, Maggie, jeszcze ktoś. Mówię ci, że nie mam nic przeciw temu. Głowaczku, ugryź go.

 – Oj, mamo! – Mrok udał, że jest gryziony.

 – Nie, Głowaczku, nie waż się!

 – Przestraszyła się, bestyjka! Myślisz, że Głowaczek mogłaby ugryźć kochanego tatusia?

 – Kochanych też gryzą, jeszcze jak! Wybacz mi, głupiej. Jak myślisz, a może Głowaczek nie lata, bo nikt nie może jej pokazać, jak to się robi?

 – Masz na myśli przykład osobisty?

 – Nie wiem, ale trzeba coś z tym zrobić.

 – Umiem latać, ale tylko w dół. Obawiam się, że przykład będzie do niczego.

 –A gdyby między dwoma drzewami naciągnąć linę na ukos? Jak droga linowa. Będziemy udawali, że latamy.

 – Mam linę i rolki też. Ale obawiam się, że z twojego pomysłu nic nie wyjdzie.

 Po trzech godzinach o pół kilometra od bunkra gotowa była trzydziestometrowa trasa. Zaczynała się na wysokości sześciu metrów, a kończyła nieco powyżej dwu. Ponieważ lina obwisała pod ciężarem człowieka, pod koniec trzeba było nawet podginać nogi. Nowa rozrywka bardzo się Głowaczkowi spodobała. Właziła na ramiona, mocno czepiała się pazurkami kurtki i zjeżdżała w dół razem z człowiekiem.

 – Nie wyszło – przyznała Catherine, gdy już obojgu śmiertelnie się znudziło wdrapywać się na sosnę, a na rękach, czarnych i lepkich od żywicy, pojawiły się pęcherze. – Ani razu nawet nie rozprostowała skrzydełek.

 – Spróbujemy hydro-nieważkości.

 – Co takiego?

 – Pójdziemy się kąpać. Nauczymy ją pływać i nurkować. Może wtedy poleci.

 – …Obiecuję wam twardą władzę, twarde prawo, równouprawnienie i niezależność od smoków! – Wzmocniony przez aparaturę akustyczną głos Guza grzmiał nad placem. Tłum ryknął radośnie. – Jesteśmy ludźmi! To nic, że odmówiono nam takiego miana tam, na Górze! To nic! Odwrócili się od nas? Mamy to w nosie! Nam oni też nie są potrzebni. Oni są rozkapryszonymi dziećmi, a my mężczyznami! Myślą, że ukarali nas, usuwając ze społeczeństwa i zsyłając na tą planetę? Znakomicie! Zbudujemy tu nowe społeczeństwo! Społeczeństwo prawdziwych mężczyzn! Długo znosiliśmy ich mieszanie się do naszych spraw! Przyszedł czas położyć temu kres! Smoki, wynoście się precz ze Strefy! To nasza planeta!

 W świetle reflektorów łopotały sztandary. Tłum co chwilę podnosił zaciśnięte pięści.

 – Co o tym myślisz? – Mrok, oparłszy się o parapet, badał ciemne zakamarki placyku patrząc przezinfralornetkę na celowniku strzelby.

 – Mistrzowsko zorganizowany show. Wszystko rozumiem, sam redagowałem mowę. Aż chciałoby się wyskoczyć na ulicę i wymachiwać flagą. – Conan dyżurował przy reflektorze. Bali się dać mu strzelbę, w razie prowokacji miał oślepiać atakujących potężnym promieniem r4eflektora. Na szczęście wszystko na razie szło spokojnie.

 – Myślałem, że tylko mnie się to chce.

 – Na to właśnie wszystko jest obliczone. Łyk spirytusu, głośna muzyka na rozgrzewkę, poczucie wspólnoty i odrobina podpowiedzi. Tam, w dole, jest osiemdziesięciu ludzi, sterujących tłumem. Krzyczą, gdy trzeba, i częstują wszystkich stojących obok spirytusem z butelek.

 Mrok skoncentrował się na swojej pracy. Budzący się w nim stadny instynkt zdziwił go nieprzyjemnie. Przyjrzał się dachom sąsiednich domów, gdzie dyżurowali ochroniarze Guza.

 – To nasza planeta! – obwieszczał Guz z pomostu.

 – Strefa nasza! Strefa nasza! – skandował tłum.

 – Teraz idę do „Trzech Bram”. Tam, przy kuflu piwa, odpowiem na wszystkie wasze pytania. Jeśli dla kogoś zabraknie miejsca przy barze, wchodźcie do innych saloonów, do innych karczem! Dzisiaj piwo na mój rachunek! Wszędzie!

 Triumfujący tłum wziął Guza na ręce i poniósł w kierunku „Trzech Bram”. Mało kto zauważył, że dwudziestu ludzi oddzieliło się od tłumu i znikło w ciemności, sprawdzając zaułki. W jednej z bram doszło do krótkiej walki. Niedługo wyszedł stamtąd człowiek i podniósł rękę w umówionym geście. Mrok odłożył strzelbę, przesunął bezpiecznik pistoletu, ze szczękiem przerzucił na styk laserowy celownik. Trzy razy włączył i wyłączył światło w pokoju. Ktoś mignął latarką w odpowiedzi. Snajperzy zeszli z dachu.

 – Biegniemy do „Trzech Bram”. Jeśli nie przegonimy tłumu przed Mokrym Skwerem, nie dostaniemy się w ogóle na salę.

 – Dlaczego Guz wybrał „Bramy”? – zapytał Conan, skacząc po trzy stopnie.

 – Właściciel zalega Guzowi ze spłatą długów. W razie pogromu nie będziemy żałowali.

 Wyskoczyli na podwórze i pobiegli jak sportowcy. Kiedy przegonili procesję, idącą równoległą ulicą, przeszli na szybki marsz. Po minucie dogonili ich ochroniarze Guza. Pod szyldem „Pod Trzema Bramami” czekał na nich Tyson.

 – Wszystko gotowe? – zapytał go Mrok.

 – Tak jest, sir! Strzelby napełnione, kufle nabite. Goście zaprzężeni, konie syte!

 – Pleciuch! – zaklął bez złości Mrok, oglądając najbliższe dachy, na którychsnajperzy jużzajmowali pozycje, po czym rozkazał: – Idziemy do środka.

 Oczywiście tylko mała część tłumu zmieściła się w lokalu. Ale wewnątrz ustawiono mikrofony, a na zewnątrz głośniki.

 – Jak zamierzasz przegonić smoki?

 – Bardzo łatwo. Damy im czas na odejście, na przykład miesiąc, potem zaczniemy strzelać.

 – Do smoków?

 – Tak, do smoków.

 – Guzie, mówiłeś o równouprawnieniu. Dla kobiet też?

 – Kiedy obejmiemy władzę, kobiety będą mogły rodzić. W ciągu dwu-trzech pokoleń zostanie przywrócona równowaga płci.

 –Nie wykręcaj się. Mów o tym, co będzie jutro. Masz w domu baby?

 – Mam jedną. – Guz zmieszał się.

 – Jej też dasz równouprawnienie?

 – Mówimy o babach czy o przyszłości? – Guz podniósł głos. W ssali rozległy się gwizdy i głośne urąganie. Na ladę baru wlazł niewysoki człowiek w cyklistówce.

 – Słuchajcie mnie! – zawołał wysokim głosem, oderwał przyklejone wąsy, zdjął cyklistówkę i potrząsnął głową, uwalniając rozsypujące się długie włosy.

 – Catherine! Co ty u diabła tu robisz? – zdziwił się Guz.

 – To ja jestem tą babą, która mieszka w domu Guza. Nie umiem pięknie przemawiać,ale jeśli chcecie się dowiedzieć, jak żyję, pytajcie. Nie mam nic do ukrycia. Powiem wszystko.

 – No i jaki on jest? Jako mężczyzna? – od razu wykrzyknął ktoś z sali.

 – W pościeli? Powyżej średniej, ale nic szczególnego. Za to mieszkać u niego – to prawdziwe szczęście. Niech skonam, jeśli kłamię! Nie boję się jutra! Budzę się radosna i wiem, że jutro będzie jeszcze lepiej. Wszyscy wiecie, że na każdą babę przypada tutaj ponad dziesięciu mężczyzn. Ja mam jak wszystkie, ale w domu Guza mogę każdemu mężczyźnie powiedzieć „Nie”. I nie boję się, że mi biczem wystrzępią całą skórę! Jestem tam wolna! Mam nawet swój pistolet! Tyson tu siedzi, może potwierdzić.Kto wątpi w moje słowa, może przekręcić mnie na detektorze.

 – Catherine! Zlituj się! Ludzie przyszli tu słuchać mnie, a nie ciebie! Nie wywlekaj na światło dzienne naszych brudów!

 – Gospodarzu, mamy wolność słowa! I mam dzisiaj wolne, nie jestem na służbie. Rozkazywać będziesz mi jutro.

 – Niech mówi! – zaszumiała sala. Guz ze złością podniósł kufel piwa i pociągnął tęgi łyk.

 – Nasz dom to jedna wielka rodzina! Dwa lara temu nawet sobie nie wyobrażałam, że można tak żyć. Przez dwa lata w mojej szafce nocnej leżał regenerat. W nie zamkniętej szafce!

 – A gdzie on teraz jest? Tiu-tiu? – zapytał ktoś. Wszyscy się roześmiali.

 – Miesiąc temu oddałam mężczyźnie, którego kocham. Komu – nie powiem. Już ja was znam! Ale o czym to ja mówiłam? Aha! Jeśli chcecie być wolni, głosujcie na Guza. Jeśli chcecie być szczęśliwi, głosujcie na Guza. Jeśli chcecie, żeby w waszym mieście można było w nocy bezpiecznie chodzić po ulicach, głosujcie na Guza. Wiem, o czym mówię.

 – No, dziękuję ci – warknął Guz – Regenerat w szafce nocnej! Jeszcze byś opowiedziała, gdzie trzymam pieniądze. Macie rację, przyjaciele. Coś mi się wydaje, że z równouprawnieniem kobiet się pośpieszyłem.

 Sala odpowiedziała głośnym chichotem.

 – Co, tylko jeden killer? Przysłali nam ultimatum na dwa arkusze – i tylko jednego killera? Podczas wystąpienia omal się nie posiusiałem ze strachu, a oni… Naprawdę nas nie szanują. Mrok, jeszcze ci nie podziękowałem. Ochrona była zorganizowana wzorowo. Aha, Catherine, coś ty tam plotła od siebie? Nie mogłaś nauczyć się tekstu na pamięć?

 – Te brednie? Sam przecież powiedziałeś, żebym grała prostą dziewkę.

 – Ona ma rację, Guzie – poparł ją Mrok – To naprawdę wyszło lepiej, naturalniej.

 Wszyscy, oprócz Catherine, zeszli do piwnicy.

 – Wszyscy pamiętają swoje role? Nie trzeba mi własnych wstawek – instruował Guz.

 – Nie. Nie tak. Trochę improwizujcie, w ramach scenariusza – poprawił Mrok.

 W najdalszej izbie na szerokim dębowym stole leżał przywiązany do niego goły człowiek. Patrzył z ukosa na wiaderko z żarem, stojące pod ścianą.

 – Jak się nazywasz, nie będę cię pytał.–Mrok z miejsca wziął byka za rogi. – Interesuje mnie, kto cię przysłał.

 Killer nic nie odpowiedział. Mrok zdjął koszulę, włożył skórzany fartuch, pobrzękał narzędziami na stole, niektóre z nich położył na żary. Podszedł do przywiązanego, wyprostował palce i zaczął obmacywać jego brzuch.

 – Chłopcy, kto z was dobrze pojadł, niech lepiej wyjdzie stąd od razu. Całą podłogę zaświnicie, gdy jego kiszki zobaczycie.

 Człowiek na stole zadrżał i pokrył się potem.

 – Nie przedstawiłem się – kontynuował Mrok. – To nieuprzejme. Dziesięć lat temu nazywałem się Surowy Fred. Słyszałeś może?

 – Stan Fred? – wychrypiał przywiązany.

 – Słyszałeś. A Guz mówił, że wszyscy o mnie zapomnieli. Chcę ci przypomnieć, że zadałem pytanie. Nie odpowiedziałeś. Możesz odpowiedzieć teraz albo później. Jeśli odpowiesz teraz, wyjdziesz na własnych nogach. Kto cię przysłał?

 – Tunguz! – prawie wykrzyknął killer.

 – Jeden z dwóch właścicieli banku? – uściślił Guz.

 – Tak.

 – Dobrze. Jutro o tej porze przyniesiesz tu jego głowę – powiedział Mrok. – Tysonie, przygotowałeś strzykawkę?

 Tyson włożył gumowe rękawiczki i przyniósł z sąsiedniego pokoju dwa pudełeczka: czarne i białe.

 – Czarne – powiedział. Mrok sięgnął po nie ręką, rozmyślił się, cofnął ją i wytarł o spodnie.

 – Sam otwieraj.

 Tyson otworzył. W obu leżało po strzykawce.

 – W czarnej jest jad – powiedział Mrok.

 – Filtrowany wirus – poprawił Tyson.

 – Nie przerywaj. Wirus czy jad – żadna różnica. Najważniejsze, że za nieco ponad dobę zdechniesz – zwrócił się do killera. – W białej jest antytoksyna. Tak?

 – Surowica – uściślił Tyson i wyjął strzykawkę z czarnego pudełeczka. – Pierwsza doba: okres inkubacji, druga – stadium akceleracji. Pojawiają się objawy: stan przygnębienia, dreszcze, pogorszenie koordynacji, drganie stawów i mięśni. Trzecia doba – zejście śmiertelne –mówiąc to, wbił igłę w ramię przywiązanego. – Surowicę należy podać w ciągu pierwszych trzydziestu godzin. Potem rokowania kiepskie.

 – Zrozumiałeś, chłopcze? – zakończył Mrok. – Przyniesiesz głowę, otrzymasz drugi zastrzyk. Masz na to całą dobę. Pomożemy ci, damy konia, broń.

 Tyson cisnął strzykawkę do żaru, zdarł rękawiczki i zrobił z nimi to samo. Mrok wziął czarne pudełeczko szczypcami i też wrzucił je do ognia. Killer z przerażeniem obserwował ich manipulacje. Gryzący dym z płonącej gumy zaszczypał w oczy. Tyson podniósł drugie pudełeczko, ochroniarze rozwiązali jeńca. Mrok rzucił na stół jego ubranie.

 – Patrzcie, chłopcy, on już ma objawy – roześmiał się, obserwując drżące ręce jeńca, a kiedy killera wyprowadzili, zapytał: – Tyson, a co tak naprawdę było w strzykawce?

 – Roztwór fizjologiczny. Woda, trochę tego, trochę tamtego. Nic szkodliwego. Chodźmy stąd, śmierdzi. Po co spaliłeś moje pudełeczko? Trzymałem w nim spinki, a teraz będą się walały po wszystkich kątach.

 – Spektakl, czysty spektakl! – wykrzyknął nagle Conan. –Czy w życiu jest cokolwiek prawdziwego? Podstawione osoby zadają wyuczone pytania! Dookoła oszustwa. Czy naprawdę nie da się uprawiać polityki uczciwie? Czystymi rękami?

 – Zapytaj smoków – zaproponował Tyson. – Cały świat to teatr, a my jesteśmy aktorami.

 – Kule w jego pistolecie były prawdziwe – zauważył Guz.

 – Nie ma nic gorszego niż czekanie – narzekał Mrok.

 – Połóż się i pośpij – zaproponował mu Tyson.

 – Za pół godziny mam dyżur na dachu. – Odszedł od okna i przeciągnął się z chrzęstem.

 Na schodach prowadzących na strych rozległ się tupot nógi do pokoju wpadł wartownik.

 – Jedzie! Sam!

 – Szybko się uwinął – zdziwił się Mrok. – Tysonie, zamień w strzykawce wodę na środek nasenny.

 Niedługo do salonu wprowadzono zmęczonego i zbryzganego krwią i błotem człowieka.

 – Trzymaj -. Człowiek rzucił pod nogi Mroka torbę foliową. – I dawaj szybciej ten twój cholerny zastrzyk!

 Mrok zajrzał do worka, pomlaskał językiem i podał Guzowi.

 – Sprawdź, czy to on.

 – On – powiedział Guz, przyjrzawszy się uważnie. – Barbarzyństwo. Kamienny wiek. Czy naprawdę nie można było obejść się bez tego?

 – Zrób mu zastrzyk, Tysonie – pozwolił Mrok.

 – Dodałem do szczepionki środek nasenny – wyjaśnił Tyson, przygotowując strzykawkę. – Pan jest podniecony, a adrenalina we krwi niszczy surowicę. Proszę zawinąć rękaw i położyć się na kanapie. Proszę się nie bać, obudzi się pan cały i zdrowy.

 – Nie mówiliście o środku nasennym. – Killer próbował odczytać swoją przyszłość z twarzy otaczających go ludzi.

 – Odpręż się, chłopcze, obudzisz się. Umowa to umowa – potwierdził Mrok. – Ale, jeśli wolisz, możesz tak iść na wszystkie cztery strony świata. Mnie by to bardziej odpowiadało.

 – No, róbcie, róbcie szybciej ten zastrzyk.

 Po pięciu minutach killer spał już na kanapie.

 Jeden z ochroniarzy spojrzał do worka, zadrżał i wyszedł z pokoju.

 – Guzie, mówiłeś, że Tunguz miał kompana, współwłaściciela banku. Jak on się nazywa?

 – Jak się nazywa, nie wiem. Przezywają go Chińczyk. Choć to taki Chińczyk jak ja murzyn.

 – Właśnie Chińczykowi odwieźcie tego śpiocha i głowę Tunguza. – Mrok wskazał worek.

 – Ty to masz poczucie humoru! – powiedział Guz i zaczął pić koniak wprost z butelki.

 – A co wam się w tym nie podoba? Wszystko idzie świetnie! – wykrzyknął Mrok, kiedy ochroniarze wynieśli śpiącego killera. – Patrzcie. – Podniósł do góry rozczapierzoną dłoń i, mówiąc dalej, zaginał kolejno palce – Przeprowadziliśmy mityng, raz. Ukaraliśmy Tunguza, dwa. Killer będzie ukarany, trzy. Chińczyk dostał ostrzeżenie, cztery. I nie mamy żadnych strat! Wszystko ogarnięte,wszystko pod kontrolą. A jutro ty, Guzie, zaproponujesz im włączenie siebie do zarządu banku. Odbiliśmy ich cios, zadaliśmy własny i teraz musimy utrwalić sukces. W przeciwnym razie oni opamiętają się i znowu uderzą.

 – Daj najpierw mnie się opamiętać – wymamrotał Guz.

 – No wiesz, Mrok, twoje metody… Przecież walczymy o wolność Strefy. Czy nie można budować świetlanej przyszłości bez krwi? – zapytał Tyson. – No, chociaż nie obcinać głowy?

 – Jaka wolność? Jaka świetlana przyszłość? Obudź się, Tyson! Przyszłość Strefy mam w nosie! Ja chcę się z niej wydostać! Czyżbyś jeszcze nie zrozumiał, po co ten cały zamęcik? Conanowi potrzebny jest komputer. I to jest powód! Jedyny! Innego nie ma. Ze szczątków cyberów będzie go budował pięć lat, a w merostwie tych komputerów mają do diabła i trochę. Cała reszta – wybory, wolność –to plewy, słowa. Musimy dostać się do merostwa i posadzić Conana przed komputerem. To wszystko.

 Tyson pokręcił głową i ponury powlókł się ku drzwiom.

 – I ty uważasz, że oszukałem go?

 – A co, może nie? – zapytała Catherine.

 – Obiecałem mu, że się obudzi. Nie uściśliłem, gdzie. A kto ci kazał tak krótko obciąć włosy? – Mrok doszedł do wniosku, że najlepszą obroną jest atak.

 – Teraz dużo czasu spędzam poza domem. Tak łatwiej udawać mężczyznę. Zobacz, smok!

 Zielony smok oglądał ich drogę liniową, sprawdzał łapą napięcie liny. Wyglądał na jakiegoś wyliniałego, zmęczonego.

 – Witaj, Mrok, witaj, królowo. – W jego głosie też wyczuwało się śmiertelne zmęczenie.

 – Witaj! Gdzie twój czarny przyjaciel?

 – Platan? Nie mógł przylecieć. On jest ranny.

 Catherine z przerażenia podniosła rękę do ust. Mrok zaś z trudem powstrzymał westchnienie ulgi: bał się, że drugi smok jest koło bunkra. Zresztą i tak pozostawało niebezpieczeństwo, że Głowaczek, usłyszawszy głosy, przybiegnie tutaj.

 – Ludzie? – zapytał Mrok.

 – Nie. Procesy tektoniczne. Pęknięcie płyty kontynentalnej. Akurat pod naszą bazą. Mogliście poczuć słabe wstrząsy przedwczoraj wieczorem. Mrok, przyleciałem porozmawiać z tobą. Masz czas? To bardzo ważne.

 – Ile sobie życzysz. – Mrok zauważył, że błonka prawego skrzydła smoka jest pokryta kropkami drobniutkich oparzeń, jak wysypką.

 – Więc może zejdziemy nad rzeczkę? Pamiętam, że tam było takie ładne miejsce.

 – Nad rzeczkę? Może być – zgodził się Mrok. „Gdziekolwiek, byle jaknajdalej od bunkra” – pomyślał.

 – Co to było? Tam, pomiędzy sosnami? – Zainteresował się smok.

 – Atrakcja. Włazisz na górę, zaczepiasz na linie zawieszkę z kółkami i zjeżdżasz na dół.

 – Po co?

 – Dla poczucia lotu.

 – To ty wymyśliłeś?

 – Nie – przyznał się Mrok. – Catherine.

 – Ale pomogłeś zrobić. Dostarczyłeś linę, wyciąłeś młode drzewka, spiłowałeś sęki. Budowaliście to co najmniej pół dnia. – Smok zamyślił się tak głęboko, że zahaczył ramieniem o mijane drzewo. – Znowu postępowanie niczym nieumotywowane. Mrok, możesz mi nie odpowiadać, ale to ty wypuściłeś zwierzęta z klatek w cyrku, nieprawdaż?

 – Ja – przyznał się z dumą Mrok.

 – Po co?

 – Bo sprzykrzyło mi się siedzieć w klatce – odrzekł Mrok, siadając nad rzeką. Smok pomacał wodę łapą, położył się na ciepłych kamieniach z rozpłaszczonymi na ziemi skrzydłami.

 – Z pozoru wszystko na Strefie rozwija się naturalnie – powiedział, jakby głośno myśląc. – Wielki kapitał rwie się do władzy, żeby zalegalizować i umocnić swoją pozycję. Wszystko byłoby zrozumiałe, gdyby za plecami Guza nie stał niejaki Stan Fred alias Mrok. Ten Mrok to czarny koń. W żaden sposób nie mogę go zrozumieć.

 – To przecież elementarne. Jeśli Mrok stoi za plecami Guza, trzeba posłuchać, co mówi Guz. – W tym samym tonie uzupełnił myśl smoka Mrok.

 – Właśnie o tym chciałbym z tobą porozmawiać. Przeanalizowaliśmy tezy mowy Guza, tam jest więcej złego niż dobrego. To, co chcecie zrobić, zburzy wszystko dobre, co my zdołaliśmy tutaj zbudować. Jeśli naprawdę myślicie o Strefie, musimy działać razem, a nie przeszkadzać sobie nawzajem.

 – To wszystko są ogólniki. Możesz mówić konkretnie?

 – Konkretnie? Mogę. Jak obliczyliśmy na modelach, sam fakt naszej obecności utrzymuje cieniutką skórkę cywilizacji, nie dając wam stoczyć się w mroki feudalizmu i niewolnictwa.

 – Nie wierzę.

 – Już macie tu system na wpół niewolniczy. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Catherine. Prawda, królowo?

 – On ma rację, Mrok…

 – Walczymy z problemem kobiecego niewolnictwa od chwili powstania kolonii na Strefie. Wiesz przecież, że ciężkie przestępstwa popełniają głównie mężczyźni, a poza tym sądy są dla kobiet bardziej litościwe. W efekcie stosunek wyjściowy ilości mężczyzn i kobiet na Strefie wynosi około sto do jednego. W tych warunkach kobieta staje się rzadkim i drogim towarem. Dzięki naszym i waszym wysiłkom udaje się obniżać tą dysproporcję do poziomu dziesięć do jednego. Ale w celu zlikwidowania niewoli kobiet niezbędne jest jeszcze co najmniej dwu-trzykrotne obniżenie tej dysproporcji. A to już graniczy z teoretyczną niemożliwością.

 – Jak to: naszym i waszym?

 – My bezpłatnie przedłużamy życie kobiet, a mężczyźni szybko wybijają się nawzajem.

 – Pozwólcie kobietom rodzić dzieci i żadnego problemu nie będzie.

 – I dzieci będą cierpiały za grzechy ojców. A pomyślałeś, gdzie one będą mieszkały?

 – Strefa jest wielka.

 – O Boże! Człowieku, ty nawet nie znasz świata, w którym spędziłeś ponad połowę życia! Strefa jest wielka, ale terraformowanie zakończono tylko na niewielkim skrawku jej powierzchni.Niecałe cztery miliony kilometrów kwadratowych! A jakie huragany buszują dookoła! Wiesz, ile nas kosztuje sił odciągnąć je na bok? Gdybyż nam wtedy dali jeszcze pięćdziesiąt lat! Tylko pięćdziesiąt lat! Dlaczego ludzie nie patrzą w przyszłość dalej niż na kilkadziesiąt lat? Na pustej planecie, nie obawiając się kataklizmów, można kształtować powierzchnię i klimat dziesięć, nie, sto razy szybciej! Musimy teraz czerpać łyżeczką to, co moglibyśmy czerpać wiadrami. To, co moglibyśmy zbudować w ciągu roku, budujemy dziesiątki lat – w głosie smoka brzmiał ból i gorycz obrazy.

 – Dorianie – to pana imię, prawda? – proszę nam o tym opowiedzieć – poprosiła Catherine.

 – Chcecie usłyszeć, jak rodził się ten świat? To bardzo długa historia.

 – Ja też posłuchałbym jej z przyjemnością – przyłączył się Mrok.

 – Przekonaliście staruszka. Zaczęło się to ponad trzysta lat temu. Wszyscy byliśmy wted6y młodzi, odważni do szaleństwa i bardzo silni. Wierzyliśmy, że świat jest z natury dobry, tworzyliśmy wielkie dzieła i popełnialiśmy równie wielkie błędy. Oswajanie dalekiego kosmosu dopiero się zaczęło. Nie uwierzycie, ale zamieszkałe były tylko dwie planety: Ziemia i Sekond. Sam teraz w to z trudem wierzę. A wszystkie smoki znały się jeszcze osobiście i z imienia. Postanowiliśmy wypróbować swoje siły tworząc nowy, własny świat. Wybraliśmy zlodowaciałą kamienną kulę – Strefa krążyła wtedy dwa i pół raza dalej od gwiazdy – i zaczęliśmy przekształcać ją w nadający się do zamieszkania świat. To była ciekawa, wręcz porywająca praca. Rozsadziliśmy jedną z mniejszych planet, złożoną w całości z lodu,z jej odłamków formowaliśmy lodowe kule o średnicy stu kilometrów i kierowaliśmy je w kierunku Ajaksa, gazowego olbrzyma typu Jowisza z Układu Słonecznego. Pole grawitacyjne Ajaksa zmieniało tor lotu naszych przesyłek i kierowało je wprost na Strefę, ale praca wymagała wręcz jubilerskiej precyzji i trwała latami. Musieliśmy wpierw zatrzymać planetę, by gwiazda przyciągnęła ją na bliższą orbitę, a potem ponownie ją puścić w ruch, zarówno obrotowy, jak i wirowy. Nie wyobrażacie sobie, co się dzieje, gdy stukilometrowa lodowa planetoida trafia w planetę z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na sekundę, na drugi dzień następna, potem jeszcze jedna – i tak przez pół roku. Tak rozkręciliśmy planetę i rozgrzaliśmy jej wnętrze. W końcu, już z czystego frantostwa, doprowadziliśmy długość roku do 365 dni, a doby do dwudziestu czterech godzin z dokładnością do setnych części sekundy. Co prawda, później ta liczba nieco się rozpłynęła. Cała planeta dyszała i kołysała się jak kula z rtęci, ale zrobiliśmy to! Po naszym ostrzale wokół planety utworzył się olbrzymi obłok kamiennych odłamków i nie można było zbliżyć się do planety nawet na milion kilometrów bez ryzyka nadziania się na któryś z nich. Trzeba było oczyścić kosmos, i wymyśliliśmy genialne rozwiązanie: zabraliśmy Ajaksowi odpowiedniej wielkości księżyc i sprowadziliśmy go tutaj. Jego pole grawitacyjne jak odkurzacz wymiotło okoliczną przestrzeń, ilość odłamków szybko spadała, ale ciągle było ich za dużo, a my się śpieszyliśmy. Sprowadziliśmy więc jeszcze jedną kulę lodową i zamieniliśmy ją w parę na wysokości dziesięciu tysięcy kilometrów. Obłok pary wodnej otoczył planetę, meteoryty hamowały w nim i deszczem spadały na powierzchnię. Niedługo można już było na niej pracować. Ależ pracowaliśmy! Projektowaliśmy kontynenty i do upadłego kłóciliśmy się o każdą zatoczkę. A potem pękała płyta, cały wzór szedł w diabły i trzeba było tworzyć nowy projekt, uspokajać tektonikę, gasić wulkany, usuwać góry. Ileż myśmy wtedy zrobili błędów, ileśmy nabili sobie guzów! Największym błędem okazało się jednak stworzenie strefy rezerwatu. Ale zbyt wiele było pytań, za mało doświadczenia i bardzo chciało się zobaczyć, jak to będzie wyglądało w przyszłości. Na planecie akurat zmienił się klimat, nastąpił okres stabilizacji i stworzyliśmy ten rezerwat. No i wtedy ludzie położyli rękę na planecie. Mówili: to nie na długo, na pięćdziesiąt lat, wy i tak czekacie, aż płyta pod drugim kontynentem ustabilizuje się, a potem wszystkich stąd usuniemy. Jak już mówiłem, smoków było jeszcze mało, a ludzie bardzo naciskali, baliśmy się konfliktu i pozwoliliśmy. No i nasza niedobudowana planeta zamieniła się w Strefę. Piękny młody świat ludzie zamienili w więzienie. W drugą Australię – ale to z alternatywnej historii, nie zrozumiecie. Okres stabilizacji klimatu się skończył, ale, oczywiście, nikt nie zechciał nikogo stąd ewakuować. No i od tej pory musimy ochraniać rezerwat dzikich ludzi i równocześnie kończyć pracę. Ale w tym tempie to potrwa dwieście do dwustu pięćdziesięciu lat. Może do tego czasu przestępczość w górze praktycznie zaniknie i Strefa stanie się niepotrzebna? Oby, ale my w to nie bardzo wierzymy. Bo w tym, że ludzkość przekształciła Strefę w więzienie, jest również cząstka naszej winy. Natury nie można poganiać batem, jak konia na gonitwie. Ludzkość była moralnie nieprzygotowana do wyjścia w daleki kosmos. Ale wtedy czuliśmy się bogami. Daliśmy ludziom wiedzę i bazę techniczną, ale poziom świadomości większości z nich pozostał feudalny. Bezkresny kosmos po ciasnej ziemi tylko zahamował rozwój samoświadomości. My, smoki, nie zauważyliśmy w porę tej niebezpiecznej tendencji, a potem zrobiło się za późno.

 – Może zdołam wam w czymś pomoc? – zapytała Catherine, głaszcząc łapę smoka.

 „Oto gdzie na Strefie jest wysoka technologia. Pytanie tylko, jak się tam dostać” – pomyślał Mrok, głośno zaś powiedział:

 – Dorianie, dlaczego myśmy o tym nie wiedzieli? Na pewno przydadzą się wam pomocnicy. To nie tylko wasza, ale i nasza planeta. Połowa ludzi zechce wam pomóc.

 Smok zamyślił się na długo.

 – Dziękuję ci, czysta duszo. – Czule pogłaskał Catherine po plecach. – A ty – zwrócił się do Mroka – wiesz, że ludzie zechcą nam pomóc, ale sam nie zamierzasz pomagać, nieprawdaż? Powiedz mi, po co zorganizowałeś wybory nowego burmistrza?

 – Guz lubi władzę i politykę. Conan nie może żyć bez komputerów. A ja chcę wsadzić w to mrowisko kij i rozrzucić je jak należy. A potem uciec ze Strefy gdzie pieprz rośnie. Choćby nawet do piekła.

 – Teraz mówisz prawdę. Ale wydaje mi się, że to tylko połowa całej prawdy. Od czasu przybycia na Strefę już trzeci raz zmieniasz modus operandi. I za każdym razem – ostro. To czyni z ciebie jednego z najciekawszych ludzi na planecie. Po odmłodzeniu – to rozumiem. Zmieniłeś nie tylko styl życia, ale i imię. Ale co spowodowało ostatnią zmianę?

 – Zapytaj Platana – odburknął Mrok. Rozmowa przestała mu się podobać. A smok przeciwnie, zainteresował się, przewrócił oczami, porozumiewając się przez komputer.

 – Platan przekazuje wam obojgu pozdrowienia. Ma ze mną łączność. Oho, sytuacja się komplikuje, znowu muszę lecieć. Nie udało się wyczerpać tematu. Do następnego spotkania, człowieki. – Wszedł do rzeczki, napił się, machnął skrzydłami i wprost z wody ciężko wzbił się w powietrze. Płynnym nawrotem przeleciał tuż nad wierzchołkami drzew i znikł za górą.

 – Miał przy sobie detektor kłamstwa, jestem prawie pewny! – wykrzyknął Mrok.

 – Ty też – odezwała się Catherine.

 – Ty? Całkiem zapomniałem o twoim darze. Trzymałaś go za łapę. Czego się dowiedziałaś?

 – Że smoki nie kłamią.

 – I to wszystko?

 – Bardzo się stropił, gdy zaproponowałeś pomoc ludzi. Jakbyś mu plunął w duszę. Czemu?

 – Dlatego, że myślałem w tamtej chwili o tym, jak by uciec ze Strefy. Do diabła! Trzymasz mnie za rękę?! No dobrze, czego się dowiedziałaś ode mnie?

 – Wybacz, przyzwyczajenie. W ostatnim czasie mówisz mi tylko prawdę. Możesz mi nie wierzyć, ale będę ostatnią suką, jeśli choć raz cię oszukam.

 – Wierzę ci. Ale jak ci się to udaje: czytać prawdę?

 – Kiedy człowiek mówi albo myśli, mimowolnie napina mięśnie. To się chyba nazywa reakcje wazomotoryczne. Patrzyłeś na bokserów w ringu? Dwóch się bije, a cała sala podryguje, podskakuje, macha rękami. To są właśnie wazomotory. Ja je czuję i zestawiam ze słowami. Najtrudniej to zrobić przy takiej lekkiej, bezmyślnej paplaninie. Moje wyczucie nieco przypomina słuch muzyczny. Od razu czuję fałszywą nutę. Już tyle razy mnie to ratowało przed pobiciem… I chłopom podoba się, kiedy ja ich trzymam za ręce.

 „Z ciebie niezłe ziółko” – pomyślał Mrok, a głośno zapytał

 – Czy można się tego nauczyć?

 – Nie wiem. Sądzę, że nie jest to bardziej złożone niż nauka poruszania uszami..

 Mrok chrząknął i zaczął robić miny, marszczyć brwi i czoło, wydymać policzki.

 – Chyba już wiem, co masz na myśli.

 – Głowaczku, chodź do mnie, malutka. Czas na ważenie.

Smoczka podbiegła, przymierzyła się i wskoczyła na stół.

 – Mojeż ty nieszczęście! No jak mamy nauczyć ciebie latać? – Catherine zmierzyła rozpiętość skrzydeł i zapisała wynik w dzienniku, po czym rozłożyła przed sobą zdjęcia. – Mrok, możesz tu podejść na chwilę? Spójrz, na tym zdjęciu łapka jest rozmazana. Sama je robiłam, czas naświetlania jedna dwieście pięćdziesiąta sekundy. Przecież to niemożliwe, żeby ona tak szybko się poruszała!

 – Głowaczek wszystko może, nieprawdaż, moja spryciaro? Nie dziw się, Cat, ona ma kości mocniejsze od naszych, mięśnie ma silniejsze, a nerwy kilkakrotnie szybsze. Teraz ona żyje jakby w innym czasie. Dla niej minuta – to jak dla nas pięć. A może i dziesięć.

 – Czyli jeśli ją zostawiamy samą na dzień, to jakby na tydzień? O Boże, Mrok, trzeba coś z tym zrobić! Tak nie można! Trzeba powiedzieć Maggie lub Tysonowi. Zorganizować dyżury.

 – Ani mi się waż! Idziemy na rzeczkę. Będziemy uczyli ją pływać. Może jak nauczy się nurkować, zechce coś podobnego robić i w powietrzu?

 Catherine rozebrała się, posadziła sobie Głowaczka na rękach i weszła z nią do wody. Przysiadła, trzymając ręce na poziomie wody. Głowaczek popiła trochę wody z rzeczki i spojrzała pytająco na Catherine.

 – Głowaczku, chodź do mnie! – zawołał z brzegu Mrok.

 Smoczka zakrzątnęła się, próbując łapkami wodę i przestępując z jednych na drugie.

 – No, śmiało!

 Głowaczek rzuciła się do wody, pogrążyła się z główką, wynurzyła i zaczęła pracować łapkami z taką szybkością, że pobiegła po wodzie, podnosząc za sobą fontanki bryzgów. Wyskoczyła na brzeg i zahamowała, podniósłszy obłoczek piasku.

 – Uch ty! – powiedział Mrok z zachwytem. – Ja tak nie potrafię.

 Głowaczek zaniosła się radosnym piskiem.

 – Do mnie, Głowaczku, do mnie! – zawołała z wody Catherine.

 Po kwadransie smoczka doskonale opanowała nową zabawę: bieganie po wodzie. Dziarsko skręcała, pomagając sobie ogonkiem, ślizgała się na brzuszku, rozstawiając łapki na bok. Nie nauczyła się jednak pływać i nurkować, a skrzydełka cały czas były przyciśnięte do grzbietu.

 – Chodźmy do domu, Cat, nie żywiłem specjalnej nadziei na hydronieważkość – powiedział Mrok. – To nawet lepiej. Może daleko odleci, zabłądzi. Albo napatoczy się komuś na oczy.

 – Ale przecież instynkt powinien kazać jej latać.

 – Instynkty to spadek po ciemnej przeszłości. Trzeba je tłumić – odrzekł stanowczo Mrok.

 – Ale bzdury pleciesz! Nie słuchaj go, malutka. – Catherine owinęła zmęczoną smoczkę ręcznikiem. – I tak nauczymy się latać. Wzniesiemy się bardzo wysoko i polecimy prosto na zachód. A tatuś, jeśli nie zechce, może sobie zostać.. Prawda, moja dziewczynko?

 – Zgodzili się włączyć ciebie do zarządu banku? – Mrok leżał na tapczanie, Maggie masowała mu mięśnie grzbietu.

 – Oczywiście nie.

 – Jak to „nie” zabrzmiało?

 – O, uprzejmie. – Guz wyciągnął rękę i pogłaskał Maggie po tyłeczku. – Obiecali pomyśleć.

 – Pomyśleć – to dobrze – pochwalił Mrok. – Musimy tylko podrzucić im pożywkę dla rozmyślań. Mag, przynieś mi arkusz papieru i ołówek.

 Maggie wyfrunęła z pokoju. Po chwili wróciła z arkuszem papieru, zwykłym ołówkiem, czerwonym ołówkiem i długopisem. Mrok podniósł arkusz za róg i krytycznie obejrzał.

 – Maggie, kochanie, będę pisał list do Chińczyka, właściciela banku.

 Dziewczyna wyleciała z pokoju jak kula i przyniosła dwa arkusze papieru kredowego.

 – Maggie, nie zrozumiałaś. Wczoraj Pete przywiózł nam do kuchni rzodkiewkę w takiej brudnożółtej papierowej torebce. Znajdź tą torebkę i przynieś tutaj.

 Tym razem dziewczyny długo nie było. Wróciła z całym naręczem pomiętego szorstkiego papieru pakowego.

 – Torebki nie ma, znalazłam to na strychu. Catherine powiedziała, że w to były zapakowane krzesła – zaczęła się usprawiedliwiać.

 – Zuch – pochwalił Mrok, oderwał na ukos róg jednego z arkuszy, ułamał paznokciem koniuszek ostro zakończonego ołówka i naskrobał krzywymi literami drukowanymi:

**U L T I M A T U M**

 SŁUCHAJ GUZA, SKOŚNOOKI

 STAN FRED

 – No i jak? – zapytał Guza.

 – Jak mało słów, jak dużo myśli. Nie urodziłeś się przypadkiem w Lakonii?

 – Więc zbierz mi ludzi. Dziesięciu kowbojów na koniach i pięciu strzelców. Maggie, ale tu naśmieciłaś! Usuń to natychmiast.

 – Z radością, gospodarzu!

 Po dwu godzinach do domu przybyło piętnastu ludzi. Mrok rozbił ich na dwie grupy, wyznaczył ich dowódców i zaczął instruować.

 – Wy – powiedział do snajperów – bierzcie strzelby z tłumikami, na dziesięć minut przed godziną W wejdźcie na dach domu naprzeciw i czekajcie w zasadzce. A wy – to do kowbojów – biegajcie galopem po ulicy, krzyczcie, gwiżdżcie i strzelajcie w powietrze. W powietrze, rozumiecie, a nie w przechodniów! Koło domu Chińczyka zacznijcie biegać w kółkoi krzyczeć: „List do Chińczyka!”. Oto ten list. Owiniecie nim kamień i wrzućcie w największą szybę. Potem jeszcze trochę postrzelajcie i galopem uciekajcie do domów. Zrozumieliście wszystko? Teraz wy – znów zwrócił się do snajperów. – Macie ochraniać kowbojów. Strzelajcie do każdego, kto zechce obrazić naszych chłopców. W zasadzie działajcie jak będą tego wymagały okoliczności, ale potrzebny mi jest trup jednego z ludzi Chińczyka z bronią w ręku. Zrozumieliście zadanie? Po pierwsze: żeby nikogo z naszych nie postrzelili, a po drugie: klepnąć ryżojada, ale koniecznie z pistoletem w łapce. Inaczej nas nie zrozumieją. Kiedy tylko kowboje odjadą, też znikajcie. Natychmiast i żadnej samodzielności! A teraz z Bogiem!

 Mężczyźni wyszli z salonu, przerzucając się żartami

 W pięć godzin później wpadli do domu zmęczeni, brudni, wielu w zakrwawionej odzieży.

 – Mam trzech rannych i pięć zabitych koni – wściekle rzucił w twarz Mrokowi dowódca kowbojów.

 – Catherine, Maggie, szybko tutaj! Mamy rannych! – wykrzyknął Mrok.

Rany dwóch okazały się na szczęście lekkie, ale trzeci otrzymał postrzał w nogę, nieco poniżej kolana. Kula przebiła tętnicę i zmiażdżyła kość. Maggie zarządziła:

 – Whisky, spirytus, opaska ściągająca, pięciu chłopów i moja walizeczka. Whisky dla niego, reszta dla mnie. Usunąć z podłogi dywan, położyć czyste prześcieradło.

 Wszyscy się zakrzątnęli. Maggie kazała chłopom przycisnąć rannego do podłogi, wstrzyknęła mu w kolano cztery ampułki środka przeciwbólowego i dziarsko, w pięć minut, obcięła mu nogę w stawie kolanowym.

 – Ręce pamiętają pracę – uśmiechnęła się do Mroka. Ten spojrzał na jej uśmiech na trzydzieści dwa zęby w zbryzganej krwią twarzy i poczuł, jak mrówki przebiegły mu po plecach.

 – Catherine, strzykawka z regeneratem! – zakomenderował. Podaną strzykawkę podniósł nad głowę ze słowami: – Widzicie! Dla swoich nie żal mi niczego! Mag, wkłuwaj! Nie bój się, chłopie! Za dwa-trzy miesiące będziesz skakał na nowej nodze. Przy okazji wyrosną ci nowe zęby. Trzymaj się mnie, a nie zginiesz!

 Kiedy już wszystkich rannychopatrzono, Mrok wezwał do stołu dowódców, rozkazał im narysować plan i opowiedzieć, co się stało.

 – To jest główna ulica. – zaczął objaśniać dowódca strzelców – a tutaj odchodzi od niej ślepy zaułek. Tutaj, przy samym początku zaułka stoi dom Chińczyka. Zostawiliśmy konie o, tutaj, na podwórku, i zajęliśmy pozycje na tym oto dachu, dokładnie naprzeciwko domu Chińczyka. Cały zaułek widzieliśmy jak na dłoni.

 – No więc co się stało?

 – A to, że wpadliśmy w zasadzkę! – wykrzyknął dowódca kowbojów. – Póki krzyczeliśmy i strzelaliśmy w powietrze wszystko było normalnie. Ale kiedy tylko wybiłem okno, z tej bramy wyskakuje piętnastu ludzi ze strzelbami i odcinają nas od ulicy. Klękają i celują do nas. Ja krzyczę, moi chłopcy zeskakują z koni i chowają się za nimi. Wtedy rozlega się salwa – i połowy koni nie ma. My strzelamy do nich, oni do nas. Dzięki naszym snajperom do drugiej salwy już nie dochodzi. Wskakujemy po dwóch na ocalałe konie, cofamy się i opieramy się o ten mur na końcu. A z domu ciągle wyskakują i wyskakują nowi ludzie. Zawracamy, pochylamy się na koniach i przebijamy się przez nich jak nóż przez masło. Chłopcy na dachu strzelają z miejsca, my z najbliższej odległości. Konie potykają się na trupach. To prawdziwy cud, że wszyscy uszliśmy z życiem.

 – Więc nasze straty to trzech rannych i pięć koni?

 – I jeszcze trzy ranne konie. Dwa z nich chyba trzeba będzie zabić.

 – A oni jakie ponieśli straty?

 – Dwudziestu sześciu zabitych i ciężko rannych. Zatrzymałem się na dachu i policzyłem. – wyjaśnił dowódca snajperów. – Mrok, my paliliśmy w nich prawie z miejsca, z dwudziestu metrów – a oni nas nie widzieli! Padali i padali, jak figurki na strzelnicy. Sam w ciągu minuty wystrzeliłem cały magazynek, szesnaście nabojów. To straszne. To gorsze niż koszmarny sen. Krzyki, wystrzały, galopujące konie. Waliłem w każdego, kto się ruszał, i moi chłopcy też. Cały magazynek, do ostatniego naboju!

 – Znakomicie wykonałeś zadanie. I twoi chłopcy też. Przekaż im, że jestem z nich dumny. Dostaniecie potrójne wynagrodzenie. I kowboje też. Ranni otrzymają dodatkową premię.

 – Do diabła z takimi pieniędzmi! Oddam kościołowi. Za tamtych chłopców.

 – Nie przeżywaj. Jesteś żołnierzem, wykonywałeś rozkazy. Osłaniałeś swoich, a to sprawiedliwa sprawa. To Chińczyk wystawił swoich ludzi na rzeź i pewnie dał im jakieś świństwo, żeby ginęli tak bezmyślnie. Dam ci radę, chcesz? Idź, napij się i zapomnij. Maggie! Catherine! Whisky bohaterom! Po butelce na człowieka dla rozładowania napięcia. Będzie mało, dodajcie. I pościelcie w salonie i jadalni, dzisiaj oni u nas przenocują.

 – No jak, jesteś zadowolony? – Guz nalał sobie pół szklanki whisky i wypił duszkiem.

 – Bardzo. Nie oczekiwałem aż takiego sukcesu. Myślałem, że pięciu do dziesięciu ludzi zechce postrzelać z okien i może zdejmą jednego czy dwóch naszych chłopców. A tu taki wielki sukces! Czyste zwycięstwo!

 – Idioto! Urządziłeś rzeźnię! Rzeźnię! Wokół ciebie ludzie padają jak muchy!

 – Uspokój się, nie bądź babą! Nie zrobisz omletu bez rozbijania jajek. Łaźnię urządziłem nie ja, ale Chińczyk. Ja tylko ją przewidziałem i przygotowałem się.

 – I sprowokowałeś.

 – I sprowokowałem.

 – Jestem spokojny. W ciągu trzech tygodni roztrwoniłeś połowę mojego majątku. Zamieniłeś mój dom w stajnię. W ciągu trzech dni zginęło prawie trzydziestu ludzi. Jestem absolutnie spokojny. A ile po dzisiejszej rozróbie warte są tezy mojej mowy przedwyborczej?

 – Dobrze. Wyliczmy w punktach. Jutro-pojutrze do twoich usług będą wszystkie zapasy banku. Podłogę na parterze wyszorują dziewczyny. Nowe lustra i meble możesz wziąć z domu Tunguza albo starego burmistrza. – Mrok zagiął drugi palec. – Z twoich ludzi nikt nie zginął. Dzisiaj są oszołomieni, ale jutro będą dumni z siebie, ciebie i z twojej dobroci. Chińczyk się ciebie boi, jestem pewny, że zlał się w spodnie. Zebrał całą armię, a ona niedługo pożyła. I uwzględnij, że praktycznie bez strat po naszej stronie. Ci nieliczni jego ochraniarze, którzy przeżyli, są całkowicie zdemoralizowani. Jutro przyczołga się do ciebie na brzuchu. A teraz najważniejsze. Przeprowadziłeś pertraktacje ze smokami na temat dalszych losów Strefy. Rozmowy były długie i trudne, w wielu sprawach nie udało się znaleźć kompromisu, ale w najważniejszej smoki musiały zgodzić się na twoje warunki.

 – Co-coś ty powiedział?

 – Tak sobie pomyślałem, że ciebie to zainteresuje.

 Na konferencji prasowej zebrało się ludzi nie mniej niż na mityngu. Olbrzymi tłum wypełnił plac, chciwie łowiąc każde słowo z głośników. Ale na salę wpuszczono zaledwie trzystu. Po krótkim słowie wstępnym Guz poprosił o zadawanie pytań.

 – Powiedział pan, że, nie czekając na wybory, już prowadzi pan prace dla korzyści naszego świata. Mógłby pan tą myśl rozwinąć?

 – Ruch, którym kieruję, już od paru tygodni prowadzi rozmowy ze smokami o przyszłości planety. Nie powiem, że rozmowy są łatwe, ale w podstawowej sprawie udało się nam osiągnąć kompromis.

 – To te dwa smoki, które kręcą się koło pańskiego domu? Czarny i zielony, nieprawdaż? – przerwał ktoś z sali.

 – Tak, to one – potwierdził Guz i dał znak. Conan wyjął z aktówki i przekazał sali plik fotografii zielonego smoka, zrobionych przez Mroka w Ciepłej Dolinie. – Czarny smok nazywa się Platan, a zielony Dorian. – kontynuował Guz. – Niestety, Platan obecnie jest ranny i nie może brać udziału w pertraktacjach.

 – Kto zranił smoka? Czy to w związku pańską wypowiedzią, że będziemy do nich strzelali?

 – Nie kto, tylko co. Platan został ranny podczas trzęsienia ziemi, dość daleko stąd.

 – W czym zawiera się meritum pańskich pertraktacji, prowadzonych ze smokami?

 – W dwóch słowach: smoki zostają na Strefie, ale kończą terraformowanie jej powierzchni. Ale głupi termin: terraformowanie.

 – Jak to? Po co? Przecież tu jest znakomity klimat, wspaniała przyroda…

 – Młody człowieku,pan pewnie tu jest od niedawna i jeszcze nie poznał świata, w którym pan żyje. Proszę wsiąść na konia i pojechać w którymkolwiek kierunku. Przejechawszy tysiąc kilometrów trafi pan na kamienistą pustynię, rozciągającą się z północy na południe i ze wschodu na zachód bez końca i kresu. Żyjemy w oazie, malutkiej oazie pośrodku nieskończonej pustyni. Smoki pozostaną na Strefie pod warunkiem, że zamienią pustynię w ziemię, nadającą się do życia. I my też powinniśmy im pomóc, to bardzo przyśpieszy sprawę. Obiecały, że kiedy powiększymy oazę trzykrotnie, pozwolą nam mieć dzieci, ale dzieła dokończą dopiero nasze wnuki i prawnuki. Dość już jednak o smokach i przyszłości, porozmawiajmy lepiej o bieżących sprawach.

 – Czy ma pan coś wspólnego z zabójstwem jednego z właścicieli banku?

 – Tunguza? Jak najbardziej. Moi ludzie schwytali zabójcę i w geście dobrej woli przekazali go w ręce drugiego właściciela. Niestety, nie ma go w tej sali. Gdyby był, moglibyście zapytać go o szczegóły.

 – Czy to prawda, że zajął pan miejsce zabitego w kierownictwie banku?

 – Plotki rozchodzą się szybciej od dźwięku. Tak, to prawda. Przedwczoraj otrzymałem propozycję zajęcia jego miejsca. Zgodziłem się.

 – A co to za strzelanina była trzy dni temu pod domem Chińczyka?

 – I to pan wie. – Guz zmarszczył czoło. – Bardzo nieprzyjemna historia. Tragiczny przypadek, prowokacja nieprzychylnych ludzi. Wysłałem kilku chłopców z miłym listem, w którym zawiadamiałem o pomyślnym zakończeniu wstępnych rozmów ze smokami. Chłopcy z radosnymi krzykami przygalopowali przed dom, ale jakiśnadgorliwy ochroniarz pomyślał, że to napad. Podniósł alarm i do moich ludzi zaczęli strzelać. Zranili trzech chłopców i pięć koni zabili na miejscu. Dwa konie zdechły nieco później.

 – Ale okoliczni mieszkańcy mówią o dziesiątkach trupów.

 – Aż tyle? Cóż, moi ludzie odpowiedzieli ogniem. Daję wam moje szczere i szlachetne słowo, że po mojej stronie nikt nie zginął.

 – Co pan wie o zagadkowym zniknięciu burmistrza?

 – Bez komentarzy.

 – Ale zeszłym razem robił pan aluzje do jego niestosownego postępowania.

 – Nie ma go na tej sali i nie mogę rzucić mu oskarżenia w twarz. Jeśli postanowił uciec – nie mam nic przeciwko temu. Uważam nawet, że to najlepsze rozwiązanie.

 – Ale chodzą słuchy, że został zabity.

 – Nie komentuję słuchów.

 – A co na ten temat sądzą smoki?

 – Też sądzą, że został zabity. Inaczej nie pertraktowałyby ze mną.

 – Podały panu imię zabójcy?

 – Bez komentarzy.

 – Ale pertraktują z panem – czyli uważają pana za prawnego następcę starego burmistrza?

 – Bez komentarzy. To pytanie proszę zadać smokom.

 – Został pan współwłaścicielem banku. Jaka będzie pańska polityka w tej dziedzinie?

 – Będę wszechstronne sprzyjał rozwojowi bankowości i przemysłu.

 – Czy mogę zadać pytanie tej sympatycznej dziewczynie, która wystąpiła na mityngu?

 – Nie może pan. Ona teraz pielęgnuje rannych.

 Konferencja stopniowo zanikła. Nawet dla przeciwników Guza było już jasne, kto wygra wybory.

 Conan objął wszystkich radosnym spojrzeniem i położył ręce na klawiaturze komputera. Wydał pierwszą komendę. Komputer zażądał podania nazwy korzystającego.

 – Może pan wejść pod moją nazwą i hasłem – powiedział urzędnik.

 – Nie trzeba, sam sobie poradzę – odrzekł wesoło Conan i wybrał na klawiaturze słowo „Gość”. System zażądał hasła, Conan znowu wybrał „Gość”.

 – Mam dla pana pocztę: 12 maili, iwiadomości: 361 komunikatów – odezwał się od razu komputer. Conan wyświetlił pierwszy e-mail, były to życzenia noworoczne sprzed dwunastu lat, drugie sprzed jedenastu lat i tak dalej. Najstarsza wiadomość też była sprzed dwunastu lat.

 – Dawno nikt tu nie zaglądał – skomentował Conan i wyłączył komputer. Od razu włączył ponownie i zabębnił po klawiaturze zanim na ekranie pojawił się pierwszy napis. Zamiast zwykłego czarnego koloru ekran zrobił się ciemnoniebieski. Górny napis głosił:

**SYSTEM OBSŁUGI TECHNICZNEJ**

 – Ja-cha! – zawołał z zachwytem Conan i zabębnił po klawiaturze ze zdwojoną energią.

Ekran pokrył się prostokątnymi tabliczkami pełnymi cyfr i liter. Conan pożądliwie wodził po nich oczami, tykał palcem w ekran, piszczał z zachwytu i wprowadzał kolejne polecenia, zanim jeszcze pozostali zdążali cokolwiek z tego zrozumieć.

 – A tu otworzymy ogólnodostępny plik – wyjaśnił po kilku minutach i kilka jedynek zamienił na zera. Potem znów wezwał komputer i poczekał, aż załaduje się system operacyjny.

 – No i co? – zapytał Mrok.

 – A właśnie to – ochoczo odezwał się Conan. – Bierzemy ten plik, redagujemy go – i MAMY TO Właśnie zostałem głównym administratorem sieci komputerowej Strefy. Czyli, mówiąc potocznie, główną żabą w tym mrowisku.

 – A co robią żaby w mrowisku? – zapytał Tyson.

 – Conan nie na darmo je swój chleb! – Tryumfował Conan. – W każdym systemie ochrony jest słabsze miejsce. Umiem je wyszukiwać i na tym polega moja genialność! Siedem minut dwadzieścia sekund – i ochrona złamana – dodał, spojrzawszy na zegarek.

 – Ale to przestępstwo! – Oburzył się urzędnik. – Muszę o nim powiadomić.

 – Ma pan absolutną rację – poparł go Guz. – Proszę zawiadomić burmistrza.

 – Słucham, panie burmistrzu. Widzi pan, co się tu dzieje?

 – Odpręż się, chłopcze. Nie twoja wina, że ochrona jest do niczego. Jej wzmocnieniem zajmie się osobiście pan Conan. Słuchaj go, synku.

 Po pierwszym sukcesie Conana wszystko stanęło w miejscu. Conan przyniósł blok pamięci cybera |, chciał otworzyć korpus komputera, żeby blok podłączyć, ale komputer zapiszczał, że tego nie wolno robić, gdyż zaraz ulegnie samozniszczeniu, i rzeczywiście uległ, omal nie wywołując pożaru. Conan, ze łzami w oczach, długo grzebał w jego zwęglonych wnętrznościach. Po kilku dniach zwołał radę.

 – Jestem do niczego, zawiodłem was, jestem zrozpaczony – kajał się. – Komputery merostwa są dla nas bezużyteczne. Ich korpusy są zabezpieczone przed otwarciem. Kierują nią smoki ze swoich baz: na planecie i na orbicie. Jesteśmy równie daleko od celu jak pierwszego dnia. Te komputery to rzecz sama w sobie i nie ma z nich pożytku większego niż z księgi inwentarzowej. Nic nie da się podłączyć ani zmienić. Smoki wszystko przewidziały.

 – Kończ biadolić i pomyśl, czy wszystko jest tak źle? Nie ma czegoś dobrego?

 – Ze spalonego komputera zostały klawiatura i monitor. Jeśli wrócimy do poprzedniego planu, to trochę uprości mi zadanie, ale naprawdę niewiele.

 – Chwileczkę..– Tyson podniósł rękę. – O ile dobrze zrozumiałem, szkopuł polega na tym, że nie da się otworzyć komputera, bo przeszkadza system samolikwidacji, zgadza się?

 – Właśnie tak.

 – Czyli trzeba go otworzyć tak szybko, żeby system nie zdążył zadziałał. Wziąć duży topór iprzerąbać komputer na pół. System likwidacji pozostanie w jednej połowie, a druga ocaleje.

 – Nie wyjdzie. Likwidatory są rozrzucone po wszystkich kątach komputera. – Conan odrzucił pomysł, ale oczy mu zabłysły.

 – A jak te likwidatory są zbudowane? – zapytali równocześnie Guz i Mrok.

 – To coś w rodzaju miniaturowych ładunków termitowych.

 Wszyscy trzej zaczęli podawać swoje pomysły.

 – A gdyby wywiercić małą dziureczkę i zalać wnętrze komputera wodą?

 – Nie trzeba wiercić, można po prostu włożyć do zbiornika z wodą. Małych dziurek w obudowie wystarczy. Ale te ładunki palą się i w wodzie. Komputer wybuchnie jak kocioł parowy.

 – A gdyby zalać wodą i zamrozić?

 – Wtedy wybuchnie jak granat odłamkowy.

 – Trzeba to zrobić tak, żeby ładunki się nie zapaliły. Może rozpuścić je w słabym kwasie?

 – Zanim się rozpuszczą, cała elektronika zginie.

 – Więc trzeba wypełnić korpus czymś, co pochłania ciepło. Straż pożarna wykorzystuje w tym celu jakiś proszek.

 – To jest to! – wykrzyknął Conan. – Ciekłe powietrze! Włożymy komputer do ciekłego powietrza i elektronika nie zadziała! A nawet, jeśli zadziała, ładunki termitowe nie zapłoną!

 – Tylko nie powietrze – zaprzeczył Mrok – a ciekły azot. Tlen jest nam niepotrzebny, tlen podtrzymuje palenie. Aha, a przy tak głębokim ochłodzeniu styki się nie uszkodzą?

 – Nie. Ta technika wyprodukowana jest według normatywów dalekiego kosmosu. Musi być mrozoodporna.

 – Guzie, nie znalazłoby się u ciebie ze sto litrów ciekłego azotu?

 – A ptasiego mleczka nie potrzebujecie? A księżyca z nieba? A rusałki z ogonkiem? Skąd ja wam wezmę ciekły azot?

 – Z fabryki broni – podpowiedział Mrok.

 Catherine od kilku dni chodziła ponura, apatyczna. Mrok czekał, aż sama się z nim podzieli przykrymi przeżyciami, ale nie doczekał się i pierwszy zaczął rozmowę.

 – Nic się nie stało – odpowiedziała Catherine.

 Wziął ją za ramiona, obrócił i popatrzył w oczy. Odpowiedziała smutnym spojrzeniem.

 – Wymyśliłam sobie ciebie. A ty pozostałeś takim, jakim byłeś. Jak wtedy, kiedy zabiłeś Simonę. Zabijanie ci się podoba.

 – Zabijanie nigdy mi się nie podobało.

 – Ale to nigdy cię nie powstrzymywało. Obce życie nie ma dla ciebie zupełnie żadnej wartości.

 – Tak, obce życie nie ma dla mnie wartości.

 – Głowaczek pokochała ciebie tylko dlatego, że koło niej nie było nikogo innego.

 – Tak. To się nazywa imprinting.

 – Co?

 – Naznaczenie. Kogo zobaczyła pierwszego – ten mama.

 – A ja jestem głupia. Otworzyłam się przed tobą, naprzysięgałam ci To wszystko marazm starczy.

 – Możesz uznać, że zwolniłem cię z wszystkich przysiąg. Też się do ciebie przywiązałem.

 – Nie wierzę ci. – Catherine odwróciła się ze złością.

 Mrok wziął ją na ręce, zaniósł do swojej sypialni, rozebrał, położył na łóżku i położył się obok, mimo, że nie chciało mu się ani zajmować miłością, ani spać. Leżał i patrzył w sufit. Pierwszy rad czasu, gdy trafił na Strefę, zamyślił się nad tym, co będzie robił, kiedy się z niej wyrwie. Po przestrzeniach Strefy nie zniósłbytłoczenia się w dusznych, zapylonych metropoliach Oswajanie nowych planet brzmiało kusząco, ale w oddziałach kosmicznych desantowców jest prawie wojskowa dyscyplina. Mrok nie lubił wydawać rozkazów, a już podporządkowywania się cudzym miał naprawdę serdecznie dość.

 – Cat, co będziesz robiła, kiedy uciekniesz ze Strefy?

 – Urodzę dziecko.

 – A później?

 – Powieszę się.

 – To nie jest śmieszne.

 – Tak, to nie jest śmieszne. – Mrok zrozumiał, że ona mówi poważnie.

 – Dlaczego?

 – Wiesz, ile mam lat? Miałam dziesięć, kiedy zorganizowano kolonię na Strefie i zniesiono karę śmierci. Jestem zmęczona, lata mnie przytłaczają. Te ostatnie kilka tygodni były wspaniałe, jestem ci za nie wdzięczna. Ale teraz jest jeszcze ciężej.

 – A dziecko?

 – Jeśli nie urodzę dziecka, nie pozostawię po sobie zupełnie niczego.

 – Jesteś stara, rozklejona ruina.

 – I głupia, co?

 – O siebie trzeba walczyć.

 – Z kim?

 – Ze wszystkimi!

 – Tak, jak ty, nie potrafię. Chcę być ze wszystkimi, a nie przeciw wszystkim.

 – Nic nie rozumiesz. Ja też chciałem ze wszystkimi. Póki mnie nie wystawili. Taka drobna sprawa o zagładę młodej kolonii. Dziesięć tysięcy trupów i ja – kozioł ofiarny. Nikt mi nie uwierzył, nikt nie zechciał sprawdzić moich słów! Ale kozioł ofiarny też chce żyć! Zamiast pokazowej kaźni otrzymali dwa dodatkowe trupy. I wiesz, co oni wtedy zrobili? Ogłosili na mnie polowanie, jak na dzikie zwierzę. Tylko że zwierzę okazało się nie na ich zęby. Uciekłem w góry, gdzie ukrywałem się w starych kopalniach, dopóki nie znalazłem starego zepsutego kombajnu górniczego. Wiesz, co wtedy zrobiłem? Ogoliłem głowę na łyso, pomalowałem skórę na czekoladowo, ubrałem niebieski kombinezon i zacząłem naprawiać ten szmelc. Naprawiałem go trzy doby, a polujący na mnie podchodzili i pytali, czy nie widziałem siebie. Potem zaczęli udzielać mi rad, jak lepiej dokręcać śruby. Po jakimś czasie zacząłem podawać im klucz francuski i proponować, żeby mi pomogli. Żaden nie zechciał, interesowało ich tylko polowanie na mnie. A kiedy naprawiłem napęd, wyprowadziłem kombajn z kopalni i wszystkie jego lasery skierowałem na lodowiec. Wiesz, co się dzieje, jeśli skieruje się potężny podczerwony laser na lodowiec? Lód się topi! Jak masło na patelni. Ale na początku nic nie widać. Woda wsiąka w śnieg, wypełnia wszystkie zagłębienia, tworzy kałuże i jeziorka. Obrabiałem lodowiec całą noc. Do rana nic się nie działo, ale kiedy wzeszło słońce… Cały lodowiec zerwał się i wpadł do jeziora, a woda z jeziora chlusnęła w dolinę. Spuściłem na ich obóz murę, lawinę błotną. W pięć minut zostali bez techniki, bez łączności, bez namiotów. Bez wszystkiego, do czego przywykli, zupełnie jak ja. Tylko to, co mieli na sobie i, u nielicznych, broń. A potem spuściłem lawinę na przełęcz i zamknąłem wszystkich w pułapce. I wtedy zacząłem polować na nich. Tropiłem i zabijałem po jednym. To było uczciwe! Oni polują na mnie, ja na nich. Równe szanse. Nie wiem, ilu zabiłem, ale zacząłem natykać się na zabitych nie moją ręką! Jeden, drugi, trzeci… Skorpiony w bańce ze strachu zaczęły żądlić jeden drugiego! Ale się wtedy śmiałem! Ale się śmiałem! I góry śmiały się ze mną! Ja – i góry!

 Pac! – Catherine z całej siły wymierzyła mu dźwięczny policzek. Pierwszym instynktownym odruchem było uderzyć z dołu w górę, w gardło, ale Mrok w porę zrozumiał, że to nie atak. Catherine w napięciu patrzyła mu w oczy i podnosiła rękę, by dać mu drugi policzek.

 – Dziękuję, to czasem zdrowo odświeża – powiedział Mrok i mięśnie Catherine się rozluźniły. W milczeniu przytuliła mu się do piersi.

 Najpierw obwiązali komputer drutem i powiesili na kiju szwabry, którą położyli na oparciach dwu krzeseł. Potem Tyson otworzył okno i rozdał wszystkim grube rękawice. Pod rogi zbiornika podłożyli cztery książki i zaczęli wypełniać go ciekłym azotem. Jeden z robotników, którzy przywieźli naczynia Dewara – duże termosy z ciekłym azotem – plusnął trochę cieczy sobie na gołą rękę, potoczył kałużę po dłoni i spuścił do baku.

 – Jak to? – Mrok złapał go za rękę, obmacał ją i obejrzał. Skóra była zimna i sucha, ale bez żadnych śladów odmrożenia.

 – Piękna sztuczka, co? – Uśmiechnął się robotnik. – Każdy tak potrafi, ale bez treningu nie polecam. Poparzycie się.

 – A ja-ja-ja-jak się trenuje? – zająknął się Conan.

 – Masz tu zbiornik. Wkładasz rękę i trenujesz. Zaczynasz od lewej. Jeśli coś się stanie, nie będzie ci aż tak szkoda – podpowiedział Tyson.

Bak się wypełnił. W pokoju zrobiło się odczuwalnie zimniej. Mrok i Tyson chwycili kij szwabry, podnieśli komputer i zaczęli ostrożnie pogrążać go w baku. Conana do tej operacji nie dopuścili, gdyż był zbyt zdenerwowany. Jeszcze zanim komputer pogrążył się całkowicie, w jego wnętrzu rozległ się głuchy trzask. Mrok i Tyson zamarli. Conan otworzył usta, znowu je zamknął, przetarł okulary i nagle pojaśniał.

 – Wyciągajcie, udało się! – zawołał radośnie.

Mrok spojrzał pytająco na Guza. Ten burknął:

 – Po co wynajmować specjalistów, jeśli nie słucha się ich rad?

 – Wyciągamy – zakomenderował Mrok. Obaj z Tysonem podnieśli komputer, poczekali, ażwycieknie z niego ciekły azot, odnieśli w kąt i zdjęli z kija. Conan od razu okrył go folią.

 – Co tam bumknęło? – zapytał Tyson.

 – Akumulator. System awaryjnego rozrządu. Teraz smocza automatyka pozostała bez prądu. Można śmiało otwierać. Ochłódźmy inne komputery! – Conan wybiegł z pokoju i niedługo wrócił z komputerem w rękach. Za nim dreptał znajomy urzędnik, niosąc drugi komputer.

 – Panie burmistrzu, muszę złożyć skargę! – zajęczał, kiedy tylko zobaczył Guza. – Ten barbarzyńca spalił mój komputer! Ogniem! Usiadłem przy drugim. Zabrał mi go. Usiadłem przy trzecim. Teraz potrzebuje od razu dwu. Nie mogę pracować, jeśli każą mi zmieniać komputer trzy razy dziennie.

 – Conan – barbarzyńca – zachichotał Tyson, ale Conan nie usłyszał. Już obwiązywał komputer drutem.

 – Ach, jak ja ciebie rozumiem, mój chłopaczku! – Guz poklepał urzędnika po ramieniu. – Uznaj, że dziś masz skrócony dzień pracy. Idź do domu, odpocznij sobie, wypij lampkę koniaczku.

 Z drugim i trzecim komputerem było tak samo. Gdy tylko obudowa napełniała się ciekłym azotem, rozlegał się trzask, Conan komenderował „W górę powoli!” i Mrok z Tysonem wyciągali komputer z baka. Później ciekły azot wybrali czerpakiem z baka i wylali za okno, a potem tamże wyrzucili niepotrzebny już zbiornik. Wyskoczyli z pokoju i pobiegli rozgrzewać się do bufetu, gdyż pod koniec operacji w pokoju była już temperatura poniżej zera.

 – Po co w komputerze akumulator, jeśli jest zasilany z gniazdka? – zapytał Mrok.

 – To zabezpieczenie przed awarią sieci. Wprawdzie te komputery są przestarzałe o dwieście lat, ale były przeznaczone dla dalekiego kosmosu i muszą pracować, choćby nawet dookoła nich był koniec świata – wyjaśnił Conan.

 Gdy wrócili, komputery ciągle jeszcze były zimne jak lód. Ich otwarcie przenieśli na jutro.

Otwarcie odbyło się normalnie. Uzbroiwszy się w szczypczyki, Conan wyjął z każdego komputera po dwadzieścia krótkich, ale grubych cylinderków i jakimś elektronicznym module. Potem włączył zasilanie i komputery zadziałały. Jeden komputer Conan zamknął w swoim sejfie w merostwie, dwa kazał odwieźć do podmiejskiej willi Guza. Razem z nimi zabrał też dwie kolorowe drukarki i skaner. Mrok kazał Maggie pilnować, żeby jadł przynajmniej dwa razy na dobę i w ogóle troszczyć się o niego. Maggie z oburzeniem fuknęła, zadarła brodę i chciała wyjść z pokoju. Mrok chwycił ją za łokieć.

 – O co chodzi?

 – O nic, panie. Będzie zrobione, gospodarzu – odrzekła i zadarła podbródek jeszcze wyżej.

 – Mów.

 – Czym ja jestem? Pustym miejscem? Meblem? Ty mnie w ogóle nie widzisz. Swojemu pistoletowi poświęcasz więcej uwagi niż mnie! Zamknąłeś mnie w czterech ścianach i jeszcze kpisz! – Wyrwała mu się i wybiegła z pokoju. Tyson, czytający gazetę w kącie, zasłonił się nią i zachichotał.

 Następnego dnia Conan opuścił gimnastykę poranną. Mrok wszedł do pokoju i zastał go słodko śpiącego w objęciach Maggie. Dziewczyna obudziła się, jęknęła, zerwała się, wyciągnęła się przed nim jak struna i mocno zmrużyła oczy. Mrok zdziwił się takim zachowaniem, oparł się o futrynę, skrzyżował ręce na piersi i postanowił poczekać, co będzie dalej. Conan, nie budząc się, obrócił się na drugi bok. Maggie otworzyła jedno przerażone oko, potem drugie i usta.

 – Nie będziesz mnie był?

 – Nie. A jest za co?

 – Miałeś taką twarz… – Spróbowała przykryć się włosami.

 – Dlaczego nie uciekałaś?

 – Bo gdy stoisz obok, biją bez zamachu. To straszne, ale aż tak nie boli. A jeśli 7uciekniesz, później dostaniesz więcej i silniej.

 – Zrozumiałem. Całe życie człowiek się uczy. To znaczy, że miałem taką twarz. Uhu. – Mrok doszedł do wniosku, że noc z Maggie warta jest gimnastyki porannej. – Jestem strasznie groźnym wilkiem, – zadeklamował, wyrzucając przez okno kwiaty z flakonu. – Co prosięta zjada tylko – kontynuował, wylewając wodę na Conana. Ten zaskrzeczał jak sroka. Maggie roześmiała się z ulgą.

 – Opuściłeś gimnastykę, teraz pobiegniesz dwadzieścia kilometrów, rozumiesz, głowaczu?

 – Rzymian można pokonać, ale nie można zwyciężyć! Są silni duchem, ale nie ciałem – odezwał się Conan, dumnie owijając się mokrym prześcieradłem jak togą. – Żegnaj, moja miłości, idący na śmierć witają ciebie!

 Wbrew nadziejom Mroka, Conan dobiegł jednak rześki do mety.

 Dwa miesiące Conan nie wyłaził ze swojej piwnicy. W końcu jednak zaprosił wszystkich do siebie na dół. Cyber stał przy warsztacie i ospale grzebał w rozłożonych na nim częściach zapasowych. Czasami nawet na kilka sekund zamierał w bezruchu.

 – Dostał workiem kurzu czy co? – Zdziwił się Tyson.

 – Odtwarza równowagę informacyjną. Po pierwsze, przeczyściłem mu mózg, po drugie nie wyszło mi to najlepiej. Wszystkie moduły pamięci musiałem brać od jednego cybera. Teraz ma w głowie kompletny groch z kapustą. Pliki indeksowe nie odpowiadają rzeczywistej informacji, tablice krzyżujących się odsyłaczy prowadzą donikąd. Dopóki nie usystematyzuje tej informacji, jaka mu pozostała, lepiej go nie ruszać – wyjaśnił Conan.

 – Ile czasu mu to zajmie? – zapytał Mrok.

 – Myślę, że poradzi z tym sobie w ciągu doby.

Cyber przychodził do siebie cały tydzień. Ale już na drugi dzień całkiem dobrze poradził sobie z zadaniem testowym, którym było sprzątanie pomieszczenia. Potem Conan dał mu następne zadanie: z posiadanych części zapasowych zmontować jeszcze jednego cybera.

 Mrok zamknął się z Conanem w gabinecie i przez cztery godziny wypytywał cybernetyka o możliwości cyberów i otwierające się przed nim perspektywy. Wyznaczył mu nowe cele i zadania. Conan wyszedł z gabinetu oszołomiony.

 – Myśli, że jestem bogiem! – powiedział do Tysona. – A ja nawet nie mam dobrych instrumentów. Pracuję młotkiem i śrubokrętem, a on mówi: zrób!

 – Tysonie, dobrze, że tu jesteś. Pomyśl, jak ciebie wkręcić do szpitala. Muszę mieć dostęp do wyposażenia medycznego. Komplikacja polega na tym, że szpital nie podlega merostwu. To jest niezależna struktura, kierowana przez smoki. – Mrok w zamyśleniu potarł podbródek. – Wymyśl jakiś projekt, który zainteresuje smoki, ale żeby one same nie mogły się nim zająć. Coś związanego z anatomią człowieka, albo, bo ja wiem, z etyką. Coś takiego, żeby nie mogły tego wymodelować na komputerze.

 – Jest coś takiego?

 – Nie wiem. Powiesz mi to za tydzień. Nie chciałbym szpitala przechwytywać siłą. Mogą przerwać zaopatrzenie, a na to jeszcze nie jesteśmy gotowi. Guz u siebie?

 Mrok oddalił się korytarzem, a Conan i Tyson spojrzeli po sobie z zakłopotaniem.

 – Zaraz weźmie się za Guza. Chodźmy posłuchać – zaproponował Tyson.

Przyjaciele wzięli po talerzu, cicho przeszli do sąsiedniego pokoju i przycisnęli do ściany talerze, a do nich uszy. Właśnie mówił Mrok:

 – Conan potrzebuje dużo energii i więcej miejsca. Da się powiększyć piwnicę?

 – Trudno będzie. Tu jest tylko dwa metry gruntu. Dom stoi na bazalcie.

 – Potrzebne są więc laserowe świdry lub ultradźwiękowe perforatory. I bardzo dużo energii.

 – Zapomniałeś, gdzie jesteś, czy co? To jest Strefa! Znasz słowo „niemożliwe”?

 – Nie znam. Skąd bierzesz energię?

 – Wożę akumulator na stację elektryczną. Tam go nabijają. Wystarczy na dwa lata.

 – Wymyśl jakiś wielki projekt, do którego trzeba bardzo dużo energii. Żeby utworzenie pod twoim domem bunkra na jego tle przeszło niezauważalnie. Na przykład przeniesienie merostwa i szpitala do podziemnych pomieszczeń. W celu zabezpieczenia przed kradzieżami i wandalizmem ogłupiałego tłumu.

 – Mrok, kto na Strefie będzie gromił szpital? – Zdziwił się Guz.

 – Zapomniałeś, jak tłum koło szpitala moczył cybery, czy co? Nas wtedy omal nie zadeptali, kiedy puszczono gaz łzawiący.

 Guz zaśmiał się, wspominając polowanie na cybery.

 – To może przejść. Zapewnię w ten sposób pracę wszystkim bezrobotnym. To znaczy – poprawił się – wszystkim, którzy zechcą pracować. Burmistrz troszczy się o stworzenie miejsc pracy. No, to już po prostu nie burmistrz, a rodzony ojciec. Tfu! Do czego to ja doszedłem!

 – A wszystkie pomieszczenia będziemy budowali pod gabaryty smoków – kontynuował Mrok. –Wiesz, sześć metrów wysokości i tak dalej.

 – Słyszałeś? – zapytał Conan Tysona. – Potrzebujesz wielkich pomieszczeń i dużo energii Organizujesz tajną fabrykę.

 – On myśli, że jeśli mam dwa cybery, to już mogę wyprodukować wszystko, czego sobie zażyczy. A dwa cybery to wszystkiego cztery manipulatory.

 – A mogą wyprodukować trzeciego cybera?

 – Ależ one nie zdołają wyprodukować najzwyklejszego tranzystora. A może zdołałyby? – Conan się zamyślił. –Nie, tranzystor zdołają. Ale procesor nie. To już wysoka technologia.

 – A na czym polega problem?

 – Wysoka technika wymaga osprzętu, precyzyjnych obrabiarek. Każdą obrabiarkę z osobna cybery mogą zrobić. Zajmie im to dwa miesiące, potem miesiąc, ale wykonają. Ale różnych obrabiarek potrzebnesą setki! Na każdą po dwa miesiące – na to życia nie wystarczy! Przy czym weź pod uwagę, że mówię o zwykłych obrabiarkach, a nie o skomputeryzowanych centralach obrabiających! Taka centrala bez dobrych obrabiarek jest w ogóle nie do wyprodukowania! A skąd wziąć metal, elektronikę? Naprawdę go nie rozumiem!

Jednak w dwa dni później cybery pracowały pełną parą. Conan zasypał Mroka zamówieniami na szkło chemiczne, odczynniki, optykę, piece elektryczne, wirówki, itd., itp. Mrok przekazywał te zamówienia urzędnikowi pozbawionemu komputera. Ten biegał po całym Townie, czołgał się u stóp techników fabryk, dawał łapówki inżynierom, szantażował kierowników wydziałów, ale realizował zamówienia. Guz płacił rachunki i wypłacał mu szczodre premie z budżetu merostwa. A w piwnicy kipiała praca. Prawa jej połowa przypominała laboratorium alchemika, a lewa – garaż po bombardowaniu.

 Sprawy Tysona nie wyglądały tak gładko. Wałęsał się jak duch po całym domu, pętał się pod nogami i prawie nic nie jadł oprócz własnych paznokci. Na takiej diecie bardzo zmizerniał. Guzowi zrobiło się go żal i wysłał go do szpitala jako rewizora, prowadzącego śledztwo w sprawie kradzieży regeneratu. Mrok, jak zresztą i sam Tyson, byli pewni, że go stamtąd od razu wyrzucą, ale najprostszy sposób okazał się najlepszy. Przed Tysonem otworzono wszystkie drzwi, próbowano go przekupić, dawano mu łapówki. Tyson rozdawał szczodrze obietnice, że napisze wniosek o uruchomienie produkcji regeneratu i pozwolenie na jego wolną sprzedaż. W ciągu tygodnia zbadał skład i możliwości wyposażenia szpitala, narysował plany wszystkich kondygnacji i zbadał system ochronny. Nie było tam ani zero-komór, ani smoczych mnemorekorderów.

 Conan, zwykle całymi tygodniami niewychodzący z piwnicy, nieoczekiwanie zapadł w śpiączkę, a potem zrobił sobie wakacje.

 – O co chodzi? – zapytał Mrok.

 – Dobry kierownik sam nie pracuje. Wszystko za niego robią jego pracownicy – odrzekł dumnie Conan.

 – Poważnie?

 – Ma rację, Mrok. Jesteśmy kiepskimi kierownikami. – Poparł Conana Guz.

 – Wy nie jesteście kierownikami. Jesteście tyranami. Tłumicielami wolności. Uciskacie naród nadmiernymi podatkami i pracą fizyczną ponad siły. Dotąd nie mogę przyjść do siebie po koszmarze, który nazywacie gimnastyką poranną. Konstytucja mojego organizmu nie uznaje takich przeciążeń.

 – Dostał się pod zły wpływ Tysona – postawił diagnozę Guz. – Mag, kochana, odczep się od tego nieroba. On nie jest ciebie wart. Chodź tu, pomasuj mi plecki.

 Mrok pomyślał nad słowamiConana pięć minut i doszedł do wniosku, że trzeba zajrzeć do piwnicy. Cybery pracowały, nie szczędząc manipulatorów. Jeden konstruował antenę paraboliczną, co robił drugi, trudno było określić, ale na pewno coś ważnego. Mrok się uspokoił.

 Dwa dni później wraz z ochroniarzami ustawiał na strychu talerz anteny. Śledzący transmiter zrobio9ny był z zapasowych części cyberów. Potem ludzie wiercili ściany i sufity, żeby jak najkrótszą drogą doprowadzić pęczek przewodów od anteny do piwnicy. Na piętrze zbili porcelanową wazę, a na parterze trafili wiertłem akurat w przewody elektryczne i w całym domu zgasło światło.

 – Conan – barbarzyńca – burczał pod nosem Guz. – Tyson miał rację. Trzydzieści trzy nieszczęścia. Generator katastrof.

Było to niesprawiedliwe, gdyż wazę zbił akurat Tyson, a przewody zerwał jeden z ochroniarzy, ale Conan milczał. Zjadł cały zapas jabłek, przechowywanych na strychu, i czuł, że zasłużył na jakąś naganę.

 Po ustawieniu anteny znowu ugrzązł w piwnicy. Mrok zszedł tam i zobaczył, że Conan zajmuje się czymś bardzo ciekawym: z mozaiki kosmicznych zdjęć układa mapę Strefy.

 – Skąd masz zdjęcia? – Zainteresował się Mrok.

 – Smoki robią je dla własnych potrzeb. A ja pomalutku piratuję. Przechwytuję ich rozmowy radiowe. Poczekaj, gdy podłączę się do sieci cyberów, wtedy dopiero się rozwinę!

 – To takie trudne?

 – Łatwiutkie. Trudno to zrobić tak, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Mamy dwa cybery z aparaturą łączności, która teraz leży w sejfie. Ale ja nie chcę, żeby tam odkryli, że skradzione cybery nagle ożyły. Trzeba znaleźć albo wprowadzić w system kod cybera, który nie wzbudzi podejrzeń. Przesłuchuję rozmowy smoków, szukam punktu zaczepienia. Tylko słyszalność jest kiepska. Zazwyczaj łapię pół rozmowy – to, co idzie z orbitalnej na Strefę. A tego, co idzie ze Strefy na orbitalną,nie. Potrzebna jest bezpośrednia widzialność.

 – A dlaczego nie podłączysz się do smoczej sieci komputerowej?

 – Mogą to odkryć, gdy administrator przejrzy statystykę.

 – A jeśli podszyjesz się pod cybery, nie odkryją?

 – Kogo interesują zamówienia cyberów? W najlepszym razie rzucą okiem na spis cyberów.

 – Rozumiem.

 Niedługo Conan z tajemniczą miną zaprosił Mroka do piwnicy. Na ekranie komputera powoli obracał się globus jakiejś planety.

 – To Strefa! – przemówił Conan triumfalnie.

Mrok przyjrzał się uważnie. Planeta jak planeta. Oceany, trzy duże kontynenty, jeden mały. Na jednym z kontynentów zielona plama. Conan stuknął w nią palcem.

 – Tu mieszkamy.

 – A co oznaczają czerwone gwiazdeczki?

 – Bazy smoków.

 – Skąd się tego dowiedziałeś?

 – Ulokowałem się jako cyber-bibliotekarz na bazie orbitalnej –roześmiał się Conan. – Żelazna legenda. Cybera-bibliotekarza każdy może zapytać o cokolwiek. Przekaże pytanie do informatorium. I informatorium mu odpowie, gdyż blokowane są tylko pytania z powierzchni.

 – Con, my ci postawimy pomnik! Jesteś genialny!

 – Wiem o tym – odpowiedział skromnie Conan.

Bardzo szybko Mrok upewnił się, że nie ma już dla niego tajemnic. W informacyjnej sieci cyberów zakazanej informacji było o wiele mniej, niż w ludzkiej; zresztą i te zakazy, które były, Conan z łatwością obchodził lub zdejmował. Mrok zapoznawał się z osobistymi sprawami smoków, studiował historię kolonii na Strefie, patrzył, jak Town z wioski stopniowo przekształca się w miasto z początkami przemysłu. Było to niezmiernie ciekawe, porywające. Mrok i Conan siedzieli przy komputerach godzinami. Mrok wyszukał ostatni raport smoków-obserwatorów. Poziom rozwoju przemysłu określany był tam według jakiejś niezrozumiałejskali. Stan współczesny oznaczano tam jako k.19w. W innym dokumencie napisano, że jeśli osiągnie on ś.20w., to proces przejdzie w nowe stadium. Spór dotyczył tego, czy to dobrze, czy źle. Argumentacja za i przeciw była w załączonym pliku. Mrok zaczął szukać tego pliku, ale wezwał go Conan.

 – Widzisz te gwiazdki? – Wskazał na swój ekran.

 – Tak.

 – To są opuszczone bazy smoków. – Conan zmienił skalę tak, że cały ekran zajęły okolice jednej bazy, położonej koło grzbietu górskiego. – Tą bazę opuściły sto pięćdziesiąt lat temu. Sto trzydzieści lat temu stworzyły ten oto grzbiet górski, żeby osłonić nas przed huraganami z północnego zachodu. Baza miała zostać zniszczona. I łączność z nią rzeczywiście się urwała. Ale pięć lat później baza znowu nawiązała łączność. Część pomieszczeń w skale ocalała i cybery, pozbawione łączności z centralą informacyjną, przełączyły się na program odtworzenia bazy. I, co najciekawsze, w znacznym stopniu ją odtworzyły. Kilka smoków tam poleciało, wszystko obejrzały i przestawiły bazę na parametry konserwacji.

 – No i co?

 – Od tego czasu – a było to sto dwadzieścia pięć lat temu – w bazie nikogo nie było. Okazała się nikomu niepotrzebna i wszyscy o niej zapomnieli.

 – Co dalej?

 Conan płynnie zmienił skalę mapy. Mrok zobaczył, że ta baza jest najbliżej Townu, jeśli nie liczyć bazy w Ciepłej Dolinie.

 – Ile do niej? – wykrztusił głosem ochrypłym z nagłej emocji.

 – Niecałe trzy tysiące kilometrów w linii prostej. Zaraz dowiem się dokładniej.

 – Poczekaj. Czy tam jest zero-t?

 – Jeszcze nie wiem. Nie zdążyłem doczytać do końca – zaczął się usprawiedliwiać Conan.

 – Dawaj plik na ekran, szybciej!

Mrok stał w niewygodnej pozycji i, nie zauważając tego, pożądliwie chłonął linijki tekstu. Wytrenowany mózg wyłapywał istotne szczegóły. Smoki do bazy docierały na własnych skrzydłach. Czyżby zero-t nie działało? Tak, zgadza się. Cybery nie zdołały odtworzyć dworca transportowego. Inne środki transportowe? Też kryska.

 – Możesz wywołać plan bazy?

 – Zaraz spróbuję. – Palce Conana zaczęły fruwać nad klawiaturą. – Masz.

 Na ekranie pojawił się plan. Część została pomieszczeń została obwiedziona linią kropkowaną, część czarną, a część czerwoną. Mrok wczytał się w odsyłacze. Czarna – przed awarią, kropkowana – pomieszczenia, których nie udało się odtworzyć, czerwona – pomieszczenia przygotowane w celu zastąpienia utraconych.

 – Popatrz. – Szturchnął palcem czerwony prostokąt. – Nowy dworzec transportowy! Nowy hangar!

 – Coś on malutki. – Conan wywołał na ekranie skalę liniową. Jej odcinki odpowiadały dziesiątkom metrów, a obok, dla porównania, pojawiła się sylwetka smoka.

 – Bynajmniej – zaprzeczył Mrok. – Ta sala ma ze dwieście metrów długości.

 – Dla nich dwieście metrów to tak, jak dla nas dwadzieścia.

 Conan wrócił do tekstu raportu o stanie bazy. Odtwarzanie zero-t uznano za niecelowe. Końcowa konkluzja sprowadzała się do stwierdzenia, że baza jest niepotrzebna, ale kiedyś może się przydać.W razie potrzeby, odtworzyć zero-t będzie łatwo. Niech stoi, nie prosi jeść.

 – Con, wydrukuj mapy tego rejonu i spróbuj przechwycić najświeższe zdjęcia trasy do bazy.

 W tydzień później mały oddział złożony z trzech ludzi i sześciu koni stał pod gankiem podmiejskiego domu Guza gotowy do wymarszu. Mrok odprowadził Catherine na bok. Wszystko zostało ustalone jeszcze wczoraj, pozostawało jeszcze tylko się pożegnać. Mrok podniósł jej głowę za podbródek.

 – Trzymaj ogon pistoletem, a nos na wietrze. Wrócę, nim minie pół roku. Wierzysz?

 Pokręciła przecząco głową.

 – I tak będę na ciebie czekała. Dopóki nie zobaczę. Żywego lub umarłego. I Głowaczek też będzie czekała.

 – Pilnuj jej. Jeśli nie wrócę w ciągu pół roku, działaj tak, jak ci pozwolą okoliczności. A teraz idź do domu.

 Catherine posłusznie wróciła na ganek. Mrok odwrócił się w stronę swojego konia i zobaczył, że Maggie, naruszając jego zakaz, wyszła z domu i żegna się z Conanem i Tysonem.

 – Maggie! – zawołał. Dziewczyna podbiegła i z płaczem rzuciła mu się na pierś.

 – Weźcie mnie z sobą. Będę wam gotowała, sprzątała, robiła wszystko, co zechcecie.

 – Marsz do domu, szelmo! I pomagaj Catherine.

 Maggie stanęła na palcach, pocałowała go i pobiegła na ganek. Jej pocałunek czymś się różnił od pocałunku Catherine, ale Mrok tego nie roztrząsał. Wskoczył na siodło, cmoknął i koń ruszył. Obejrzał się. Za nim ulokował siękoń z ładunkiem – dwoma ogromnymi jukami, dalej Conan, znowu dwa juczne konie, a zamykał kawalkadę Tyson, w korkowym hełmie i z nowiutkim karabinem, opartym kolbą o biodro.

 Do południa dojechali do mostu na Rzece. Nieco poniżej mostu brygada cieśli zbudowała już wielką tratwę z ogrodzeniem – żeby konie nie wpadły do wody – i długimi wiosłami sterowymi. Z jednej strony na tratwę załadowano stóg siana dla koni, z drugiej stał naciągnięty namiot. Pośrodku, nakryty brezentem, leżał bagaż, wysłany jeszcze wczoraj. Zanim Conan wprowadził na tratwę wszystkie konie, Mrok zdążył rozliczyć się z brygadzistą cieśli, dorzucając wszystkim premie, za jakość i szybkość pracy. Przeciął linę cumowniczą siekierą, dwóch cieśli odepchnęło tratwę bosakami i tratwa odbiła od brzegu. Mieli przepłynąć Rzeką około dwa tysiące kilometrów. Rzeka szerokim łukiem opływała centrum zielonej oazy, stworzonej przez smoki. Dwa tysiące kilometrów z prądem zbliżało ich wprawdzie do celu tylko o tysiąc, ale i tak płynąć było szybciej i wygodniej niż przedzierać się przez las. Potem zostawało jeszcze sto kilometrów lasem i prawie tysiąc pięćset przez pustynię.

 Mrok posadził Conana przy wiośle sterowym, a sam zdjął z koni ładunek, siodła i uprząż. Tyson zdjął buty, zakasał spodnie, wyjął skądś pudełko z robakami i zaczął łowić ryby. Mrok rozebrał się, popływał trochę koło tratwy, po czym zmienił u steru Conana. Tratwa płynęła środkiem Rzeki, brzegi powoli przesuwały się obok. Jednak ta powolność była pozorna. Gdy dopłynęli do zakrętu, Mrok spojrzał na zegarek, obliczył w przybliżeniu odległość na mapie, wyliczył szybkość.

 – Dziesięć kilometrów na godzinę. Tak po prostu, bez żadnego wysiłku z naszej strony – ogłosił towarzyszom.

 – Jedenaście byłoby lepiej – powiedział Tyson.

 – Tak, jedenaście byłoby znacznie lepiej – poparł go Conan i obaj, nie wiadomo dlaczego, roześmiali się.

 – Kaprysy! – Roześmiał się Mrok i wypchnął Tysona za burtę.

 Tratwa trzymała się środka Rzeki i nie wymagała kierowania, więc Mrok wyciągnął wiosło i położył na pałubie. Nakrył brezentem siano i rozczarowane konie odwróciły głowy.

 Przy obiedzie odkryli pierwszą niedoróbkę. Nie było żelaznej płyty, na której można byłoby rozpalić ognisko. Zresztą przed kolacją płyta się znalazła, została przysypana sianem. Przybili na pół godziny do brzegu i nazbierali zapas drewna na kilka dni. Mrok ustrzelił dziką świnię, co prawda niewielką. Po kolacji trochę się pokłócili, czy trzeba przybijać na noc do brzegu. Mrok wyjął zdjęcia z kosmosu, wszyscy uważnie obejrzeli je przez szkło powiększające. Żadnych przeszkód nie było, na odwrót, Rzeka robiła się szersza i spokojniejsza.

 – Płyniemy. Dwóch śpi, jeden dyżuruje – postanowił Mrok. Wyjął z siana trzy słomki, zacisnął w pięści. – Dyżuruje najkrótsza.

Najkrótszą wylosował Conan. Mrok podał mu silną latarkę elektryczną i znikł w ustawionym na tratwie namiocie. Nadmuchał materac, rozłożył na nim śpiwór, sprawdził pistolet. Początek podróży, jak dla niego, układał się zbyt gładko. Ale z drugiej strony, co mogło się wydarzyć pierwszego dnia tak blisko Townu? Kto ośmieli się napaść na tratwę, płynącą środkiem rzeki, na której jest sześć koni? Sześć koni prawie na pewno oznacza sześciu strzelców, a to niemała siła. Jednak lepiej jak najrzadziej przybijać do brzegu, póki nie miną kanionu.

 Rano Mrok zarządził, by postawić drugi namiot i ułożyć w nim bagaż: jeśliby ktoś obserwował ich z brzegu, mógłby się domyśleć, że jeden namiot to za mało dla sześciu ludzi.

 Conan i Tyson rozebrali się do pływek. Konie leniwie spacerowały po tratwie. Dwa młode ogiery równie leniwie próbowały ustalić, który ważniejszy. Tyson odprowadził swoją kobyłę na bok i, częstując cukrem, uczył podawać na powitanie kopyto. Mrok wyjął kalendarz i jeszcze raz przeliczył dni. Do pory deszczowej został niecały miesiąc. W ciągu miesiąca zdążą dotrzeć na skraj pustyni, deszcze dadzą im wodę, a chmury zakryją ich przed obserwacją ze sputników. Jeśli dotrą na skraj lasu wcześniej, jeszcze lepiej. Rozbiją obóz na brzegu rzeczki i będą udawali, że płuczą złoto. Niech smoki myślą, że to jest ich celem. Nie, plan opracowany znakomicie. Konie są gotowe do podróży przez pustynię, Tyson nauczył je jeść barani łój. Wszystko przemyślane, wszystko uwzględnione. Skąd więc to przeczucie niepowodzenia? Mrok wierzył w intuicję. Co się może stać? Teraz smokom nie do nich. To też dobrze. A jednak…

 Rozłożył karabin na części i zbadał przez lufę paznokieć kciuka. Po co tak się robi, Mrok nie wiedział, wolał patrzeć przez lufę na odbicie nieba w ostrzu noża, ale w powieściach przygodowych zawsze patrzyli na paznokieć kciuka. Oderwał się od tego zajęcia i rozejrzał się. Jego manipulacje z bronią obserwowali uważnie Tyson, Conan i oba ogiery. Mrok złożył karabin, wrzucił go do namiotu. Nie było co robić. Wstał, przeciągnął się z chrzęstem.

 – Wstawajcie, próżniaki! Będę was uczył walki wręcz.

 Trzeciego dnia wyjaśniło się, że Tyson absolutnie nie umie gotować.Cała jego wiedza w tym zakresie zaczynała się i kończyła na podgrzewaniu w ognisku otwartej puszki konserw. Otwierać konserwy Mrok zabronił, miały być na pustynię. Z Conanem było lepiej. Pracując w restauracji jako pomywacz posiadł sporo wiedzy teoretycznej i pozostawało tylko skoordynować ją z praktyką. Teraz też, przyciskając mokrą szmatkę do siniaka pod lewym okiem, Conan kierował czynnościami przyjaciela. Siniak był rezultatem zajęć z walki wręcz.

 Mrok postanowił zrobić komplet figur szachowych. Wybrał suchy sęk, wyjął nóż, chwilę pomyślał i, popatrując na swoją kobyłę, zaczął rzeźbić figurę konia. Obok przykucnął Conan.

 – Piękne. A gdzie rogi?

 – Jakie rogi?

 – A co, czy to nie jest Dorian?

Mrok wyciągnął przed siebie rękę z figurą i przyjrzał się uważnie rezultatowi swojej pracy. Rzeczywiście, figura bardziej przypominała krokodyla albo smoka niż konia.

 – To samica. Samice nie noszą stale rogów, one je wysuwają. – Mrok posmutniał, stracił zapał do rzeźbienia i schował nóż.

 – Szefie, no wytnij szachowe figurki. No co ci zależy? Urodziłeś się przecież z nożem w rękach.

 – A kysz! Sami uczcie się rzeźbienia w drewnie.

 Był szósty dzień podróży. Siano na pokładzie się skończyło, ale w mijanej poprzedniego dnia wiosce Mrok zdołał wytargować stóg za dwa pudełka nabojów z grubego śrutu. Koniom aż tyle nie było potrzeba, ale trenować rzuty i podcinki na gołych deskach tratwy Conan kategorycznie odmówił. Tym bardziej, że spiekł się na słońcu, skóra z niego złaziła płatami, a nowa, jak twierdził, była jeszcze całkiem cieniutka.

 Rozgoryczony Tyson odczepił się wreszcie od Mroka. Tymczasem Conan wprost na deskach tratwy rysował węglem szachownicę.

 – Coś ty narobił!? Barbarzyńca! Pole A1 zawsze było czarne!

 – A jaka to różnica?

 – I on jeszcze pyta! Królowa lubi kolor! Biała biały, czarna czarny.! Przez twoje widzimisię mam całą teorię debiutu wywracać do góry nogami?

 – Trzeba grać własnym rozumem – obraził się Conan, oczyścił z siana nowe miejsce i zaczął rysować nowe pole.

 „Dzieci” – pomyślał Mrok. – „Co u diabła oni robią na Strefie?”.

 – Za co tu trafiłeś, Tysonie? – zapytał.

 – W rezerwacie zabijałem ryby za pomocą materiału wybuchowego.

 – I dużo ci wypłynęło?

 – Niewiele: dwie płotki i trzech nurków.

 – O Boże! – Przeraził się Conan.

 – Towarzysz żartuje. Tą anegdotę znam od stu lat – uspokoił go Mrok. Wyjął mapę i jeszcze raz ją przestudiował, choć znał już chyba każdy jej milimetr. Niepokoił go kanion. Mało kto przepływał kanion i ich relacje były diametralnie odmienne. Jedni mówili, że to jak zjeść chleb z masłem, łatwiej, niż zjechać z górki na własnym tyłku. Inni – że lepiej tam się nie pchać, gdyż to prawie pewne samobójstwo. Być może pierwsi przepływali go w czasie wysokiej wody, a drudzy w porze suchej, kiedy odsłaniały się wszystkie kamienie.

 Mrok wyjął nóż i zaczął wycinać figurki szachowe. Pierwszą był pionek. Każdej figurce dawał złośliwą wąskooką twarz.

 Olbrzymi, biały od piany grzywacz przyboju gwałtownie zbliżał się do tratwy.

 – W prawo, w prawo, sucze dzieci! – wykrzyknął Mrok, napierając na wiosło sterowe.

 Pienisty wał przetoczył się po tratwie, unosząc z sobą siano i drwa. Konie rżały ze strachu.

 – W lewo! – zawołał Mrok i w tym momencie tratwa wpadła prawym rogiem na kamień. Poczuł, jak poruszają się pod nogami deski poszycia, ale tratwę już obrócił prąd. Ledwie zdążył podnieść z wody wiosło sterowe, chroniąc je przed złamaniem na kamieniu. Woda spłynęła z pałuby, tratwa znów pędziła po bystrzu.

 – Tysonie, jesteś kapitanem! – wykrzyknął Mrok, gdyż jego strona stała się teraz rufą. Konie i namioty zasłaniały mu widok.

 – Dobrze idziemy – odezwał się Tyson. – Tak trzymać!

 Ściany kanionu, sztuczne, gładkie, prawie błyszczące, sięgały do samego nieba. Z przodu, tam gdzie powinno było błękitnieć niebo, przelewała się nad wodą podwójna tęcza. Pieniste grzywacze przetaczały się na prawo i na lewo od tratwy.

 – Porohy! –wykrzyknął Tyson – Ratuj się, kto może!

 Tratwa leciała na kamienie. Kamienie były na prawo, kamienie były na lewo, kamienie były przed nimi na kursie. Przesmyk między nimi był mniejszy niż szerokość tratwy.

 Od uderzenia trzy konie przewróciły się na bok. Mroka rzuciło w przód, aż przebiegł kilka kroków, zanim odzyskał równowagę. Woda pędziła przez tratwę. Z dołu dobiegł suchy stuk kamieni i trzask drewna. Tratwa znowu ruszyła naprzód. Mrok obejrzał się. Liczba kup kamieni zmniejszyła się o jedną. Tratwa ją rozrzuciła.

 – W lewo! – wykrzyknął Tyson.

Tratwa znów uderzyła prawym rogiem o kamień i odwróciła się bokiem do nurtu. Woda znów przeszła potokiem przez pałubę. Oszalały ze strachu koń przełamał poręcz i wpadł w kipiel. Mrok spróbował przy pomocy wiosła sterowego obrócić tratwę swoim końcem do przodu, ale wiosło zahaczyło o kamień i wyrzuciło go za burtę. Tratwa natychmiast się oddaliła. Obok rzucał się w wodzie koń. Mrok kilkoma pociągnięciami ramion znalazł się koło niego i złapał go za grzywę. To miało sens: oszczędzał siły, dopóki koń utrzymywał się na wodzie.

 – Conan! Na moje miejsce! – krzyknął, próbując opanować głupiego konia, który uparcie chciał płynąć do brzegu, gdzie woda pieniła się na kamieniach.

 Mrok z wielkim trudem skierował go ku środkowi rzeki, gdzie też przecinali co chwilę pieniste grzebienie, ale kamienie były schowane głęboko na dnie. Tratwa się oddalała. Dwie figurki gorączkowo pracowały długimi wiosłami. Nagle grzebienie piany znikły, prąd przyśpieszył. Po gładkiej rynnie woda toczyła się z całą szybkością i mocą. Tratwa była już daleko. Nagle, tak samo nieoczekiwanie, jak się zaczął, równy odcinek się skończył. Znów wpadli w pienisty wał. Mroka omal nie oderwało od szyi konia. Wynurzył się równocześnie z nim i obaj wyparskali wodę. Prąd zwolnił, grzywacze znikły, kamienie schowały się w głębinie. Ale koń już nie miał sił. Mrok zauważył przy lewym brzegu jasny pas mierzei pokrytej otoczakami i skierował tam wyczerpane zwierzę. Wyprowadził z wody, poklepał uspokajająco po szyi, wytarł dłońmi wodę z jego grzbietu i boków. Koniem wstrząsały silne dreszcze. Była to kobyła Tysona, ta, którą on uczył podawać człowiekowi kopyto na powitanie.

 – Ale z ciebie głupie bydlę! Po co skoczyłaś do wody? Jesteś nam jeszcze potrzebna.

 Koń zwiesił ponuro głowę, widocznie czuł się winien. Mrok rozejrzał się. Mierzeja ciągnęła się sto metrów. Koniec wąwozu był widoczny o dwa-trzy kilometry. Tam też była tratwa, ale odległość i cień nie pozwalały rozróżnić szczegółów. Mrok zdjął ubranie i położył się na ciepłych kamieniach, a gdy koń odpoczął i odzyskał zainteresowanie otaczającym światem, wziął go za grzywę i ponownie wprowadził do wody. Nurt, choć wyglądał na spokojny, był równie szybki jak poprzednio. Wąwóz się skończył i, kiedy tylko Mok zobaczył płaski brzeg, skierował do niego konia. Sitowie było tu wzrostu człowieka. Mrok wskoczył na mokry, śliski grzbiet konia i ruszył wzdłuż brzegu. Tratwę znalazł dopiero trzy kilometry dalej. Z czystego łobuzerstwa wpędził konia do Rzeki i kazał mu podpłynąć do tratwy.

 – A oto i my – obwieścił radośnie, wyprowadzając konia na płyciznę.

 – Hurra! – zawołał Conan i strzelił dwa razy w powietrze. – A Tyson poszedł cię ratować.

 Tyson niedługo wrócił. Mocno uścisnął Mroka, przytulił twarzą do szyikonia, podmuchał mu w chrapy, po czym powiedział zmieszany:

 – Szefie, my z Conanem bardzo ciebie poważamy, ale nie masz racji. Dla konia nie trzeba było skakać z tratwy. Kierujesz przecież ekspedycją. Prosimy cię, nie rób tego więcej.

 – Masz rację – zgodził się Mrok. – Dla konia skakać z tratwy głupio.

 Śpiwory przemokły, więc wyciągnęli je z namiotu, przewrócili na lewą stronę i rozłożyli na pałubie. Siano, drwa i szachy zmyło za burtę. Pozostałe rzeczy były zapakowane w plastikowe pakiety i mocno przywiązane. Konie spędzili z tratwy na brzeg, spętali im nogi i zostawili – niech się pasą do rana. Oczywiście śpiwory nie zdążyły wyschnąć do wieczora. Mrok i Tyson przyjęli to spokojnie, ale Conan kręcił się, narzekał na los i przeszkadzał im spać.

 Następny dzień minął spokojnie. Płynęli środkiem Rzeki, suszyli rzeczy i naprawiali tratwę. Zatrzymali się wcześniej, gdyż mieli przed sobą porohy. Nie chciało im się przepływać przez nie wieczorem, a potem znowu spać na mokrym. Rano Mrok z Tysonem wsiedli na konie i pojechali na zwiady. Rzeka przed nimi ostro skręcała. Mrok naszkicował trasę, pokazał Tysonowi, a wróciwszy, kazał Conanowi przeprawić konie lądem. Pokazał mu najkrótszą trasę, ale Conan powiedział, że pójdzie brzegiem. Chce popatrzeć, jak radzą sobie bez niego. W ostatniej chwili Tyson wykrzyknął „Stój!”, załadował śpiwory na konie, a Conanowi powiesił na szyi aparat fotograficzny. Mrok odepchnął tratwę od brzegu długim wiosłem sterowym.

 Uwolniona od ciężaru koni tratwa dużo lepiej słuchała steru. Tym razem Mrok, pracując ciężkim wiosłem i patrząc, jak niebezpieczne kamienie przemykają to z prawej, to z lewej strony, czuł nawet zadowolenie. Wprawdzie raz osiedli na kamieniu, ale prąd obrócił tratwę i zepchnął z przeszkody. Za nimi wypłynęło rozszczepione wzdłuż bierwiono.

 – Przerwiemy się, do diabła! – zawołał Mrok i ze szczególną energią zamachał wiosłem.

 Porohy zostały za nimi. Tyson zakręcił nad głową i rzucił w przybrzeżne krzaki linę z szukaczem na końcu. Tratwa przyhamowała i prąd popchnął Ją do brzegu. Niedługo przybył też Conan z karawaną koni.

 – Trzeba naprawić tratwę – powiedział Tyson.

 – Nie trzeba. Zostały dwa-trzy dni drogi i porohów już nie będzie. – Mrok chciał znaleźć na tratwie suche miejsce, żeby rozłożyć mapę, ale nie znalazł i rozłożył ją na kłębie konia. – Jesteśmy teraz tutaj. Płyniemy do tego zakrętu, wyładowujemy wszystko z tratwy i budujemy skład. Bierzemy tylko to, co będzie nam potrzebne na pustyni i idziemy przez las do tej rzeczułki. Tu odpoczywamy do początku pory deszczowej. Kiedy tylko obłoki zakryją niebo, ruszamy z maksymalną szybkością do bazy. Są pytania?

 – Jakie pytania, wszystko zgodnie z planem.

 – Tysonie, jeśli złapiemy smoka i będziemy mieli całe medyczne wyposażenie bazy, dasz radę z jego łap, ogona, czy innej części wyhodować nowe ciała smoków? – zaczął rozmowę przy kolacji Mrok.

 – Tylko wtedy, jeśli sam smok także będzie w bazie. Mówiłem już, że będę musiał nieprzerwanie śledzić skład hormonalny jego krwi.

 – A gdzie on bez łap ucieknie? Mam taki pomysł: łowimy smoka, pompujemy go narkotykami, odcinasz mu łapy i tworzysz z nich nowe ciała. Potem przepisujemy w nie swoją pamięć i poddajemy się smokom. Jestem gotów założyć się, o co chcecie, że swoich ze Strefy wypuszczą.

 – Jakżeżtotak? Zaswojegonasrozerwąnastrzępy. Wszpitaluczytałemotakiejsprawie. Czterdzieścilattemuczterechpółgłówkówpołożyłonadrodzesmokaminę, któraoderwałamułapę. Momentalniezleciałasięcałahorda, całyrejonotoczyłacyberami, wdwiegodziny znalazłasaperówiodrazuichosądziłaZa każdym puszczono cybera, który sześć razy na dobę w przypadkowych odstępach czasu strzelał z szokera bólowego w prawą dłoń osądzonego. Jeśli biedakom udawało się zniszczyć cybera, wnet pojawiał się następny i na dwa-trzy dni podwajał normę. Jeden z półgłówków zwariował, drugi rzucił się ze skały na kamienie. Dwaj pozostali obcięli sobie rękę. Cybery udzieliły im pierwszej pomocy i dały im spokój.

 – A potem?

 – Po kilku miesiącach cybery znowu ich odnalazły i wstrzyknęły im regenerat.

 – Po co?

 – Smoki tak rozumieją sprawiedliwość. Przez ten czas rannemu odrosła nowa łapa.

 – Zanim wypuścimy naszego jeńca, jemu też już odrosną nowe łapy. I w ogóle nic nie będzie pamiętał. Posłuchajcie! Smok wchodzi do jaskini, wdycha gaz usypiający i zasypia. Po jakimś czasie budzi się w tej samej jaskini. Wszystko jak było, tylko komputer w okularach nie działa. Rozbił, kiedy upadł, czy coś w tym rodzaju Leci do swojej bazy, a tam mu komunikują, że minęło pół roku. Gdzie był przez te pół roku – tajemnica. Nikt nic nie rozumie. No a kiedy sprawa przycichnie, pojawiamy się my w ciałach smoków. Nikomu nic się nie stało, wszyscy się cieszą, że tajemnica się wyjaśniła.

 – Jakżeż to tak? – włączył się do rozmowy Conan. – Będą go szukały, dopóki nie znajdą. Będą przecież wiedziały, gdzie zaczynać poszukiwania. Mają w okularach radio, za nimi śledzą sputniki. Przeryją całą ziemię, aż znajdą.

 Mrok się zamyślił.

 – W takim razie inny wariant. Usypiamy smoka i pobieramy jego męskie nasienie. Na to nie trzeba dużo czasu. Za parę godzin smoki nie podniosą alarmu. Mam znajomą smoczycę, ona przybędzie tu w tajemnicy i urodzi nam smoczęta. Hodujemy je w inkubatorach, przepisujemy w nie naszą pamięć, a dalej według pierwszego wariantu.

 – Smoczyca zgodzi się dla ciebie naruszyć prawo? – Zdziwił się Tyson.

 – O tą część planu niech cię głowa nie boli. Ja nie rzucam słów na wiatr.

 – W takim razie dlaczego ona nas po prostu stąd nie wyciągnie?

 – Dlaczego, dlaczego?! – Rozzłościł się Mrok. – Bo smoki tak nie robią, i już! Tylko tyle mi powiedziała. Zresztą, który z nas jest ekspertem od smoków: ja czy ty? To ja ciebie powinienem zapytać, dlaczego. – Mrok był zachwycony tym, jak łatwo udało mu się przeadresować śliskie pytanie jego autorowi. Tyson najpierw się obraził, potem się zamyślił.

 – Nie wiem. – przyznał po pięciu minutach.

 Piętnastego dnia podróży wyszli na brzeg bezimiennej rzeczki. Tu przebiegała granica.Naturalna granica między żywą przyrodą a martwą pustynią. Po tej stronie powoli, ale uparcie lasy zawojowywały pustynię metr za metrem. Porosty, mchy, opadłe liście stopniowo tworzyły cienką warstwę próchnicy, na której zakorzeniała się trawa. Trawę zmieniały krzaki, a potem i las. Ale rzeka okazała się przeszkodą nie do pokonania. Na drugim brzegu aż po horyzont ciągnęła się szara pagórkowata równina, usłana kamieniami,od malutkich do olbrzymich, nawet o kilkumetrowej średnicy.

 – Zanocujemy tutaj – powiedział Mrok.

 Zeskoczył z konia, zadarł do góry cholewy błotnych butów i przebrnął rzeczkę. Było mu trudno iść, gdyż dno było pełne śliskich kamieni o średnicy dochodzącej do pół metra. Mrok pożałował, że nie wziął drąga. Wyszedł na drugi brzeg, wdrapał się na najbliższe wzgórze, wyjął aparat fotograficzny i zrobił panoramiczne zdjęcia całej okolicy. Z tyłu las, z pozostałych stron pustynia aż po horyzont. Nierówno odłupane kamienie, najmniejszy wielkości ludzkiej głowy. Mrok obejrzał się. Tyson z Conanem już spętali koniom nogi, postawili namiot i zamierzali wejść do rzeczki. Mrok zszedł ze wzgórza i spotkał ich już na pustynnym brzegu.

 – No i co? – zapytał Tyson. Obaj z Conanem byli mokrzy od stóp do głów. Forsowanie rzeczki nie poszło im tak łatwo jak Mrokowi.

 – Gorzej, niż można było oczekiwać – rzucił wściekle Mrok i powrócił do obozu.

 Wyjął mapę z mapnika i rozłożył ją na brezentowej podłodze namiotu.Przebyli nieco mniej niż połowę trasy, jeśli mierzyć w prostej linii. Nadął materac, położył się na nim i zaczął kląć. Klął długo i z całej duszy, ze znajomością rzeczy i niemałym doświadczeniem. Gdy wyczerpał zapas przekleństw, zaryczał jak dzikie zwierzę i wbił zęby w róg materaca, Rozległo się ciche „sz-sz-sz-s-s-s” i materac pod Mrokiem opadł, a w żebra wbiły mu się dwa twarde kamenie. Niedobre słowa znowu się znalazły. Ulżywszy sobie, Mrok wytężył słuch. Tyson gorąco przekonywał o czymś Conana, ten się sprzeciwiał, ale dosyć słabo. Mrok nadmuchał dwa pozostałe materace, położył się na jednym z nich i zawołał:

 – Hej, Tysonie! Przekąsiłem twoim materacem!

 – Po co? – Do namiotu wsunęła się rozczochrana głowa.

 – Bo był smaczny – burknął pod nosem Mrok i odwrócił się do ściany.

 – Wiem! – rozległo się z zewnątrz. – Weźmiemy worki i materace. Zwiążemy materace i będzie tratwa.

 – Dobry pomysł – pochwalił Tyson. – Szefie, zejdź, proszę. Materace są nam potrzebne.

 Mrok podniósł się niechętnie. Z krzaków rozległy się uderzenia siekiery. Tyson wziął oba materace oraz motek sznura i wyskoczył z namiotu Mrok ospale mruknął pod nosem parę mocnych słów, wyjął tubkę z klejem i zaczął łatać dziury.

 – Ależ nie tak! Rama, przekątna dla sztywności, dwie poprzeczki – dobiegł go z zewnątrz głos Conana.

 – Jaka przekątna? Z czego? Teoretyków trzeba dusić! Wyrąbałeś kiedyś chociaż jedną długą żerdź? – odgryzł się Tyson.

 Mrok postanowił za wszelką cenę nie wychodząc z namiotu odgadnąć, co oni przedsięwzięli. Tratwa z dwu materacy nie utrzyma konia, to jasne. Do przewozu ich obozowego barachła na tamten brzeg rzeczki tratwa jest zupełnie niepotrzebna. Więc co?

 – Dwa tumany. Dzieci – zaklął i położył się na świeżo zaklejonym i nadmuchanym materacu. Z zewnątrz dobiegł go krzyk i plusk ciała padającego w wodę.

 „No i macie!” – pomyślał. – „Inicjatywa ukarana. Ale co oni tam wymyślili?” – I, nie mogąc już wytrzymać, wyjrzał.

 Tyson i Conan wozili na drugi brzeg… ziemię. Jeden nabijał nią plecaki i ładował na tratwę, drugi przeciągał tratwę na sznurku na dalszy brzeg, odnosił plecaki do podnóża wzgórza i tam wysypywał. Mrok wrócił na materac.

 – Szefie, potrzebne nam są twoje ręce. – W wejściu do namiotu pojawiła się głowa Conana.

 Mrok ryknął, głowa znikła. Jeszcze raz obejrzał mapę. Wyjął plik zdjęć z kosmosu i zbadał je przez lupę. Kamienista równina ciągnęła się prawie do samej starej bazy.

 – Ucieknę ze Strefy. Choćbym miał zdechnąć, ucieknę! – szeptał. – Nie powstrzymacie mnie! Ucieknę, choćbym miał zdechnąć! Zostanę smokiem i ucieknę!

 Tyson i Conan krzątali się do nocy. Pod koniec wozili na tamten brzeg wycięte prostokąty darni, a nawet wykopane z korzeniami krzaczki. Dopiero, kiedy zaszło słońce, odwiązali od ramy i chcieli położyć w namiocie materace, ale Mrok kazał najpierw umyć je w rzeczce.

 – Przecież nie wyschną! – Oburzył się Tyson.

 – Nie wyschną – potwierdził Mrok. – Plecaki też umyjcie. Aha, dzisiaj ty gotujesz kolację, jeśli nie zapomniałeś.

 – Zjemy konserwy – burknął Tyson i przygotował się na sprzeciw Mroka, ale ten, o dziwo, nic nie powiedział. No i zjedli konserwy.

 – Wracamy – powiedział rano Mrok.

 – Jak to wracamy? Dlaczego? – oburzył się Conan.

 – Bo kamienieokazały się dziesięć razy większe, niż oczekiwałem. Po takich kamieniach konie nie przejdą. Połamią nogi – wyjaśnił Mrok.

 – Pójdziemy piechotą.

 – I po dwu-trzech dniach któryś z nas złamie nogę, a pozostali będą go taszczyli? Zdołasz przejść po tej pustyni półtora tysiąca kilometrów? Nie, co mówię, trzy tysiące! Przecież z po-wrotem też trzeba będzie iść i wszystko nieść. Te kamienie w tydzień zniszczą ci podeszwy.

 – Ale tam jest przecież baza… – Mrokowi wydawało się, że Conan zaraz się rozpłacze.

 – Uznaj to za zwiad – rzucił ze złością.

 Tyson, niebiorący udziału w rozmowie, podniósł się i poszedł układać rzeczy. W kiepskim nastroju wyruszyli. Gdy mały oddział zagłębił się w las na kilka kilometrów, zawołał nagle:

 – Zapomnieliśmy! Zapomnieliśmy podlać oazę!

 – Jaką oazę? – Zdziwił się Mrok.

 – Tą, którą stworzyliśmy. Przyczółek żywej przyrody na tamtym brzegu. – Tyson spojrzał błagalnie na Mroka.

 – Będziesz co tydzień jeździł podlewać? – zapytał ironicznie Mrok

 – Unikalne doświadczenie. – Zmartwił się Tyson. – Żebym tak mógł poobserwować je chociaż ze trzy lata… Wyjaśnić tendencje…

 Kilka godzin później na miejscu postoju ludzi wylądowały dwa smoki. Zbadały ślady, obejrzały oazę Tysona.

 – No i co ty na to? – Zielony dał czarnemu kuksańca łokciem w bok.

 – Jesteś pewny, że oni tu jechali właśnie po to?

 – Wiesz dokładnie tyle samo, co ja. Przyjechali, nataskali kupę ziemi, obłożyli darnią, wetknęli kilka krzaczków i odjechali.

 – W takim razie dlaczego Mrok przesiedział cały dzień w namiocie?

 – Widocznie mają podział funkcji on przewodnik, oni uczeni. Ale fakt pozostaje faktem. Jechali tu piętnaście dni tylko po to, żeby założyć tą plantację. Zauważ, że wybrali na nią znakomite miejsce. Rzeka stanowi wyrazistą granicę. Nie trzeba wozić daleko ziemi.

 – Pewnie niedługo tu wrócą, żeby sprawdzić rezultat doświadczenia.

 – Albo poproszą nas, żebyśmy tu przylecieli i popatrzyli. Sprawdź na modelu, co jest prawdopodobniejsze.

 – Na jakim modelu, do diabła? To żywioł. Na nim każdy model się połamie. I całe otoczenie popada pod jego wpływ. Catherine powinna była go znienawidzić. Maggie po prostu miał obowiązek zabić, ale nie zabił. Zabił Johny’ego-Przylepkę, ale Guz udał, że nic się nie stało. A za co zabił Bobasa?

 – Jednak to on?

 – Tak. Jestem pewny, że to on – właśnie dlatego, że model mówi coś przeciwnego. Poza tym nikogo prócz niego tam nie było. Śledztwem zajmował się urząd i Guz – i ani jeden, ani drugi nic nie odkryli. Kto, oprócz niego, mógł to sobie załatwić? Mam wrażenie, że działa tu jakiś tajemniczy czynnik, który przewraca logikę wszystkich jego przedsięwzięć. Nie, nie wszystkich. Właśnie o to chodzi, że w połowie przypadków pozostaje sobą. Zabójstwo burmistrza, rzeź przed domem Chińczyka – to typowe operacje w jego stylu. Maksymalnie efektywne, zuchwale pomyślane i bezbłędnie przeprowadzone.

 – A napad na szpital?

 – Sądzę, że chciał sprawdzić, czy się wmieszamy, czy nie.

 – Rozbij wszystkie zdarzenia na dwie grupy według tego, czy stary model uwzględnia je, czy nie. Na podstawie odrzucanych przez stary model spróbuj zbudować nowy.

 – Dobra myśl. Przyszła mi do głowy jeszcze w dniu, gdy Mrok wyruszył na tą wyprawę.

 – No i?

 – Najbardziej pasuje koncepcja, że ma z Catherine dziecko. Ten model obejmuje siedemdziesiąt procent jego nielogicznego postępowania.

 – Brednia.

 – Brednia – zgodził się czarny smok. – Ciąża u ludzi trwa dziewięć miesięcy. Catherine była regularnie badana, a Mrok wtedy był od niej bardzo daleko. Płukał złoto. Do dziś zachwycam się twoim pomysłem: podsypać im do rzeczek złoty piasek. Od dwustu lat ludzie mają zajęcie.

 – Że też w ciągu dwustu lat nikt z ludzi nie domyślił się, że złoty piasek nie mógł powstać w tej formacji geologicznej!

 – Nie masz racji. Zwykły piasek też nie mógł powstać, więc skoro już jest, to czy nie jest wszystko jedno, zwykły czy złoty?

 – Lecimy? – Zielony smok rozwinął skrzydła.

 – Poczekaj chwilę. – Czarny wszedł do rzeki i zaczerpnął wodę błonką skrzydła. Wyciągnąwszy skrzydło poziomo, zaniósł wodę do podnóża wzgórza i podlał oazę Tysona. Zielony też podlał. Pomachał skrzydłem, żeby strząsnąć resztę kropli.

 – Nie wydaje ci się, że ich doświadczenie wygląda coś zbyt skromnie? Dwa tygodnie tu jechać tylko dla tej niepozornej grządki – to przecież nonsens.

 – To twoja hipoteza, że przybyli tutaj dla grządki.

 – A twoim zdaniem, dla czego?

 – Nie mam pojęcia.

 Las przeszli w dwa dni. Wyszli na brzeg Rzeki tam, gdzie zostawili tratwę. Mrok odkopał skład i wyjął z niego ponton. Nadmuchali go, przymocowali silnik, podłączyli akumulator. Wypróbowali. Łódka dawała się łatwo prowadzić pod prąd. Mrok kazał Tysonowi przygotować drugi ponton, a sam zajął się kolacją, gdyż Tyson znów chciał wszystkich ugościć konserwami. Conana Mrok postanowił nie ruszać. Ten siedział obok mrowiska, pomagał mrówkom przenosić igliwie i skarżył się na życie. Trzeba było oderwać go od przykrych myśli.

 – Con, podejdź tutaj. Mógłbyś wymyślić pojazd, który przejechałby po tych kamieniach? – zapytał.

 – O czym tu myśleć? Lekka rozkładana rama i olbrzymie nadmuchiwane koła, trzymetrowej średnicy, ale nadmuchiwane tylko trochę, tak, żeby się uginały na Jakieś ćwierć metra. Wtedy przejedziemy po kamieniach jak po równym miejscu.

 – A z czego zrobimy opony?

 Conan westchnął.

 – Rozumiem. Myśl dalej.

 – Słyszałem… Można zrobić na poduszce powietrznej. Nigdy nie widziałem, ale ktoś mi mówił. Brezentowa spódniczka, pod nią kompresor napędza powietrze.

 – Pomyśl nad tym – pochwalił Mrok, chociaż nic z tego nie rozumiał.

 Ranospuścili na wodę i załadowali łódki. Mrok postanowił zabrać wszystko, nawet siodła. Załadowane łódki popłyną oczywiście wolniej, ale nie było gdzie się śpieszyć. I tak wracają znacznie wcześniej, niż planowali.

 Tyson zdjął z koni pęta i ze łzami w oczach pożegnał się z nimi, ale Mrok mu powiedział:

 – Nie przeżywaj tak za nie. Cztery kobyły, dwa młode ogiery – piękny mały tabun. Za kilka lat rozmnożą się tu mustangi. – I Tyson ponuro powlókł się do swojej łódki

 Prędkość wstecznego prądu wynosiła sześć do dziesięciu kilometrów na godzinę, a załadowanych łódek – piętnaście do dwudziestu. Mrok jednak powiódł łódki przy samym brzegu, gdzie prądu prawie się nie czuło, dlatego poruszali się szybko. Zahamowanie było tylko na porohach, gdzie połowę ładunku przenieśli lądem, i w wąwozie.

 Wpływając do wąwozu, Mrok od razu wskazał znaną mu mierzeję. Wylądowali, jedną łódkę wyciągnęli na ląd, drugą rozładowali. Mrok spróbował sam przepłynąć wąwóz w pustej łódce. Nie udało mu się. Lawirując przy ścianach kanionu, wyszukując strefy wirów i prądów powrotnych, przeskakując od jednego brzegu do drugiego, dopłynął aż do samej płycizny.Ale samej płycizny pokonać nie zdołał. Gdy łódkę przycisnęło do kamienia i zalało grzywaczem, zawrócił. Conan i Tyson pomogli mu wylać wodę i wyciągnąć łódkę na brzeg. Nie pytali o nic, i tak wszystko było jasne. Mrok podszedł do drugiej łódki i zaczął odśrubowywać motor.

 – Genialne! – Ucieszył się Conan i obaj z Tysonem zaczęli mu pomagać.

 Przedsięwzięcie okazało się pracochłonne. Łódka nie była przystosowana do podwieszenia dwu motorów, ale w trójkę sobie poradzili. Mrok znów ruszył na szturm płycizny itym razem śpiewająco przepłynął przez całe bystrze, zawrócił i dopłynął z powrotem do mierzei. Pierwszym rejsem przewiózł przez wąwóz Conana, w paru następnych rzeczy. Raz załadował za dużo i dopiero za trzecią próbą, z rozpędu, po samym skraju, udało mu się pokonać płyciznę. Ostatnim rejsem przywiózł Tysona.

 W sumie powrót rzeką zajął czternaście dni. Koło mostu wyciągnęli ładunek na pobocze i wypuścili z łódek powietrze. Tyson zatrzymał przejeżdżającą furę, obiecał woźnicy złote góry i ten niedługo wrócił z dwoma furgonami. Załadowali do nich bagaż i już po kilku godzinach przybyli do podmiejskiego domu Guza.

 Powitanie było ciepłe. Wszyscy mieszkańcy domu wybiegli na drogę. Maggie ucałowała całą trójkę, brodatego farmera, a nawet jego konie. Ochroniarze o mało nie zmiażdżyli im żeber w niedźwiedzich uściskach. Zakomunikowali, że Guz jest w Townie i wysłali po niego jeźdźca. Mrok rozejrzał się w poszukiwaniu Catherine. Ta siedziała na ganku z czołem opartym o balustradę. Podszedł i wziął ją za ramiona, a ona rzuciła mu się na pierś i rozpłakała.

 – Nigdy więcej cię nie opuszczę. Pójdę wszędzie z tobą. Rób, co chcesz, nawet mnie zabij, ale nigdy nie opuszczę. Konie zwrócili, a was nie. Czego ja nie nawymyślałam przez te dni? Nie porzucaj mnie więcej! Jesteś mym losem, mym nieszczęściem, mą radością i rozpaczą.

 – Coś ty tam mówiła o koniach? – Mrok z trudem oderwał jej głowę od swojej piersi i spojrzał w jej zapłakane oczy.

 – Twoi przyjaciele, Dorian i Platan. Dwa tygodnie temu.

 – Co oni zrobili?

 – Przywieźli konie. One teraz stoją w stajni.

 – Jak przywieźli?

 – W takim dużym latającym furgonie. Nie wiedziałeś?

 – Skąd? Wypuściliśmy je nad Rzeką. I nic nie mówili?

 – Nic. Biegłam za nimi, krzyczałam, ale oni odlecieli. Myślałam, że zwariuję z żalu. Gdyby nie Głowaczk, pewnie bym zwariowała.

 Mrok rozejrzał się. Nikogo przy nich nie było.

 – A co tam u Głowaczka?

 – Rośnie. Nudzi się. Niedługo zacznie mówić.

 – Żartujesz. Ona ma dopiero pół roku.

 – Nie żartuję. Głowaczek jest mądra. I żebyś wiedział, jaka ona duża się zrobiła!

 Narada z Guzem przeciągnęła się do późnej nocy. Najpierw Guz krótko opowiedział miejskie nowości, potem Mrok i Tyson podzielili się wrażeniami z ekspedycji. Catherine siedziała z nogami na kanapie, cicha jak myszka. Mrok nie miał serca jej wyganiać. Do jej opowieści o koniach Guz nie był w stanie dodać nic nowego.

 – Przylecieli, wyładowali, odlecieli. Konie świeże, syte, ale wystraszone. Maggie i Catherine w płacz. Było to… – Guz pochylił się nad kalendarzem – dwanaście dni temu.

 – Tabuny mustangów nie będą biegały po preriach – zmartwił się Tyson.

 – To nieważne. Smoki nas obserwowały! Na tym polega istota tego podarunku, rozumiecie? Catherine, przyprowadź tu Conana. Ale już!

 Conan zjawił się szybko. W szlafroku i klapkach. Rozczochrany i bardzo niezadowolony.

 – Zadanie dla wszystkich – powiedział Mrok. – Smoki nas obserwowały.Postawcie się na ich miejscu i powiedzcie, co one myślą o celu naszej ekspedycji.

 – To zależy od tego, co one wiedzą o nas – uściślił Guz.

 – Wiedzą o wszystkim, o czym wiedzą w merostwie. Wiedzą, że mamy komputery, ale nie powinme wiedzieć o cyberach.

 – Jeśli nie wiedzą o cyberach, to znaczy, że nie wiedzą o przechwytywaniu przez nas informacji ze sputników. Nie wiedzą, że my wiemy o starej bazie. Nie wiedzą o tej mapie, gdyż powstała w oparciu o dane z przechwytu – wyliczył Conan. – Co pozostaje? Podróż rzeką, trzydniowy spacer lasem, krótki postój na skraju pustyni – i z powrotem. Na pewno myślą, że postanowiliśmy sprawdzić ich słowa o oazie. Niech sobie myślą.

 – Con, głowaczu, jesteś zuchem! Co ja bym bez ciebie zrobił? Trzeba tylko umocnić je w tym mniemaniu.A ty, Guzie, masz okazję zbić jeszcze większy kapitał polityczny. Zorganizowałeś ekspedycję naukową na koniec świata. Niech „Nowości Townu” zamieszczą sfabularyzowany opis naszej ekspedycji. Ubarwiaj, nie żałuj fantazji. Niech czytelnicy nie mogą się oderwać od tekstu i niech będzie kontynuowany przynajmniej w kilku kolejnych numerach. Ja dobiorę zdjęcia. No jak?

 – Wspaniale – odezwał się ponuro Tyson.

 – Gospodarzu, a może ja pomogę? – zaproponowała Catherine. – Tyson daje fakty i kanwę, a ja styl i przygody.

 – Dobrze, spróbujemy. – Tyson od razu poweselał.

 – Tylko dajcie do zredagowania mnie, a potem Guzowi – zastrzegł Mrok. – W przeciwnym razie przez jedno źle sformułowane zdanie możecie zepsuć mu całą karierę polityczną.

 – Yes, sir!

 – Mrok, chcę ci coś powiedzieć.

 – Później, Cat. Ja się śpieszę.

 – Ale…

 – Idź na górę. Tyson na ciebie czeka. – Mrok wskoczył na konia i pojechał w kierunku Townu. Przejechał dwa kilometry, skręcił w las i pokłusował do bunkra.

 Głowaczek omal nie zbiła go z nóg. Z rozpędu wskoczyła mu na pierś, oblizała, zeskoczyła, obiegła kilka razy dookoła, nie wiedząc, jak wyrazić zachwyt. Złapał ją na ręce i znów go oblizała. Zdumiał się, jak przytyła. Przy długości pół metra ważyła prawie trzy kilogramy!

 Nieco się uspokoiwszy, Głowaczek zaczęła obszukiwać kieszenie jego kurtki.

 – Co ty robisz? Tak nie wolno! Smoki nie szperają po cudzych kieszeniach!

 Rozczarowana Głowaczek wyjęła głowę i łapkę z kieszeni i spojrzała mu w twarz. Mrok gotów był uwierzyć, że zrozumiała. Usiadł przy stole i wyjął dziennik obserwacji. Smoczka położyła się obok. Wziął czystą kartkę i narysował wykresy przyrostu jej wagi i wzrostu, najpierw w skali zwykłej, potem w logarytmicznej, porównał z danymi, które kiedyś przekazał mu Tyson. Wyglądało na to, że do końca roku Głowaczek osiągnie przeciętny wzrost i wagę rocznych smoczków, w wadze może nawet przekroczy.

 – Tyjesz, moja mała. Widzisz, co się dzieje z tymi, którzy nie chcą latać.

 Usłyszawszy słowo „latać”, Głowaczek rozłożyła skrzydełka i ospale pomachała nimi. Mrok uśmiechnął się i pogłaskał ją po główce.

 – Ach, ty symulantko! Czy tak się lata?

 Smoczka przybrała czujną postawę z uszami na sztorc, a po chwili zeskoczyła ze stołu i wybiegła z bunkra. Stół się zachwiał. Mrok ledwie zdążył chwycić ołówek. Z ulicy dobiegł radosny sny żeński śmiech i popiskiwanie Widebrow. Mrok zamknął dziennik i poszedł na spotkanie z Catherine.

 To była Maggie.

 Zobaczywszy go, w pierwszej chwili uśmiechnęła się radośnie, ale kiedy przyjrzała się jego twarzy, uśmiech natychmiast znikł.

 – Gospodarzu, co się stało? Nieszczęście?

 Mrok z trudem powstrzymał chęć wystrzelenia w nią całego magazynka pistoletu.

 – Dlaczego wyszłaś z domu? Co ty tu robisz?

 – Catherine nic ci nie mówiła?

 – Dlaczego wyszłaś z domu? Kto ci pozwolił wyjść z domu?

 – Głowaczek, idź do domu! – Smoczka śmignęła koło nóg Mroka i zniknęła za drzwiami. – Wszyscy myśleliśmy, że zginęliście.

 – I co, świat się przewrócił?

 – Tak.

 – Wszystkie zakazy na bok?! Chodzę, gdzie chcę, robię, co chcę?

 – Opuściłeś nas, zginąłeś, a teraz jeszcze kpisz! Głupiś! Catherine przez ciebie całe oczy wypłakała.

 – Pytam cię. – Mrok chwycił ją za włosy, odgiął jej głowę do tyłu.

 – No, niech ci będzie, że jestem zła. Zaraz przyniosę bicz, wychlaszczesz mnie. Ale postaw się chociaż na chwilę na miejscu Catherine. Ty przepadłeś, Tyson przepadł, Conan przepadł – a oGłowaczka trzeba się troszczyć. A jeśli z Catherine coś się stanie? Albo jeśli Guz zabroni jej wychodzić z domu? Nie myślała o sobie, tylko o Głowaczku. Przecieżdziewczynka jeszcze nawet nie mówi! Komu Catherine mogła powierzyć tajemnicę? Przecież nie ochroniarzom czy wartownikom Guza! Tylko takiej samej głuptasce jak ona.

 Mrok usiadł pod skałą i się zamyślił. Maggie usiadła koło niego. Głowaczk wyjrzała z bunkra, podbiegła, ulokowała się między nimi. Mrok połaskotał ją po tłustym brzuszku. Smoczka zamruczała jak kot i potarła o niego głową.

 – Co powiedziałyście Guzowi?

 – Że prowadzimy gospodarstwo w twoim tajnym domku. Że kazałeś nic nikomu nie mówić, dopóki nie zaczną torturować. Jeśli już zaczną, można opowiedzieć wszystko.

 Mrok uśmiechnął się.

 – Naprawdę mogłem tak powiedzieć. Omawiałem to kiedyś z Catherine. A co na to Guz?

 – Nie ma do tego głowy. Wybiera policję, sędziów przysięgłych, ustanawia prawa. Teraz ten, kto wpadnie, musi przepracować w kopalni rudy określoną ilość dni. Co najmniej trzy dni w tygodniu, choć jeśli chce, może i wszystkie siedem, nawet na obu zmianach. Za drobną kradzież dają pięć dni plus zwrot wartości.

 – Łatwo przerzucasz rozmowę na inny temat.

 – Gluptasie. My za ciebie oddałybyśmy życie, a ty czepiasz się słów. Po co ci to?

 – Kończ swoje sprawy, nakarm Głowaczka i jedziemy z powrotem – ponaglił ją Mrok.

 W czasie jednej z następnych wizyt w bunkrze wziął Maggie. Okazała się zupełnie niepo­dobna do Catherine. Oddawała się namiętnie i gorąco. Poruszył łopatkami: czuł dotąd na ple­cach ślady jej paznokci. Catherine nigdy nie traciła opanowania do tego stopnia. Nie myśląc o sobie, starała się dostarczyć mu maksymalnej przyjemności, brak namiętności rekompensującbogatym doświadczeniem. Kochała ciałem, nie sercem. Do seksu odnosiła się jak do prania bielizny: jak trzeba, to trzeba. Całą drogę powrotną Mrok porównywał odczucia.

 – Tam jest Catherine – powiedział przejeżdżając most.

 – Gdzie? – Maggie, siedząca za nim na koniu, zaczęła się rozglądać.

 – Przed nami, pod drzewem.

Catherine wyszła zza pnia i poszła im na spotkanie. Mrok skrzywił się. Maggie zeskoczyła z konia i podbiegła do Catherine.

 – Wziął mnie! Tak długo czekałam! Tak się cieszę! –wypaliła Maggie i przytuliła się do Catherine, kobiety serdecznie się objęły, a Mrok poczuł, jak czerwienieje i wścieka się.

 Maggie, posługując się niezrozumiałymi terminami, zaczęła opisywać przebieg ich stosunku, ale Catherine powstrzymała ją, z macierzyńskim ciepłem spoglądając na Mroka, wzięła drugą ręką strzemię, i obejmując się, obie poszły razem z koniem. Mrok czuł się idiotą do kwadratu, w dodatku oszukanym. Chciało mu się obie ukarać, ale za co?

 Pośrodku piwnicy wznosiła się dziwna konstrukcja, błyszcząca metalowymi krawędziami.

 – Co to jest?

 – Obrabiarka tokarsko-wiertarsko-frezerska. Świt przemysłu. Cybery wyprodukowały ją w czasie naszej podróży. Co prawda coś niecoś podrzucili im chłopcy z fabryki. Guz mówił, że zamęczyły jego i ich swoimi żądaniami. Wykopały skądś dawny sposób hartowania: biorą detal i wkładają go do ciekłego azotu. W fabryce też chcieli go wprowadzić, ale obliczyli, że będzie za drogi. Po staremu taniej... – Conan mówił dalej, ale Mrok go już nie słuchał. Przeszedł na drugą połowę. Laboratorium alchemika jeszcze bardziej się rozrosło. Śmierdziało paloną kalafonią. Cybery powoli i miarowo tworzyły jakąś konstrukcję elektroniczną.

 – Co to będzie? Komputer?

 – Nie, do komputera nie dociągniemy – odrzekł Conan. – To blok sterowania obrabiarką. Jednym końcem podłancza się do komputera albo cybera, drugim do czujników i silników obrabiarki. Nie Bóg wie co, ale jednak automatyka. W fabrykach nawet tego nie mają.

 – A mogą zrobić mały przenośny komputerek? Coś takiego, jak smoki mają w okularach?

 Conan podniósł ze stołu malutkidetal z trzema drucikami.

 – To tranzystor. Szczyt naszych obecnych możliwości. W komputerze są ich miliony.

 Mrok z grubsza przeliczył. Każdy detalik po centymetrze sześciennym. Milion to metr sześcienny. W komputerze jest ich kilka milionów....

 – Odwołuję pytanie. A co z transportem?

 Conan włączył komputer. Na ekranie pojawiła się dziwna konstrukcja. Łazik na poduszce powietrznej. Przewrócony talerzyk z kabinką.

 – Coś w tym stylu. Tylko z silnikami jest problem. Na Strefie nie ma silników elektrycznych o dużej mocy. I „spódniczkę” trzeba zrobić z plastiku, nie z brezentu. Brezent długo nie wytrzyma. Co prawda mam jeszcze inny pomysł. Zobacz.

 Na ekranie pojawił się taki sam talerzyk, ale ze skrzydełkami i ogonowym „upierzeniem”.

 – Co to ma być? Flyer?

 – Nie, ekranolot. Leci nisko, nie wyżej niż dwa-trzy metry nad ziemią. Rozpędza się na poduszce powietrznej. Start i lądowanie nie trwa długo, więc „spódniczka” może być i z brezentu. Ale i tu pozostaje problem silników elektrycznych i akumulatorów.

 – Jaki ciężar uniesie ta mątwa?

 – Projektowałem na zapas. Sześciu ludzi i trochębagażu. Tylko lepiej byłoby użyć stopów tytanowych zamiast aluminiowych.Tak na wszelki wypadek. Na pustyni nie ma warsztatów naprawczych.

 – Z jaką szybkością ona może się poruszać?

 – Dwieście pięćdziesiąt do trzystu kilometrów na godzinę.

 – To znaczy, że dolecimy tam w ciągu jednego dnia! Ty to masz głowę, Conan!

 – Tylko że...

 – Co znowu?

 – Ona jest metalowa. Smoki ze sputników wykryją. Na sputnikach stoją radary.

 – Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś wcześniej, ty dziurawa głowo?

 – Bo wcześniej pytałeś tylko o ludzi. Człowieka na tle ziemi radary nie odkryją, a metal – w każdą pogodę – odrzekł Conan. Mrok usiadł na krześle.

 – Czyli potrzebne są silniki elektryczne, stopy tytanowe i akumulatory, a smoki będą wiedziały, gdzie my jedziemy. Wyliczyłem wszystko czy coś opuściłem?

 – W zasadzie wszystko. – Zmieszany Conan przetarł okulary szmatką.

 Do piwnicy wszedł Guz.

 – A, Con, dobrze, że tu jesteś. Jak znajdziesz trochę czasu, zorientuj się w tym i przekaż fabryce technologię produkcji. – Rzucił na stół plik arkuszy.

 Mrok przejrzał kilka pierwszych. Receptura żywic epoksydowych, złożone etery, technologia uzyskiwania kompozycji materiałowych na podstawie włókna szklanego.

 – Mamy tu wymianę naturalną – zaczął wyjaśniać Conan. – Ja im daję stare technologie, a oni mi metale, odczynniki, śrubki, nakrętki.

 – Zapomnij o pojazdach z żelaza, pomyśl o kuli powietrznej z silnikiem. Na starych planetach widziałem taki sport: nadmuchują kulę ciepłym powietrzem i lecą z wiatrem. Kula nie jest z żelaza, radary jej nie wykryją. – Mrok wstał z krzesła i poszedł na górę.

 Głowaczek już nie mogła biegać po wodzie. Była na to za gruba i za ciężka. Za to znakomicie nauczyła się pływać i nurkować. Jednak nadzieje Mroka się nie spełniły: pływanie pod wodą nie skojarzyło się smoczce z lotem w powietrzu. Wszystkie starania Catherine doprowadziły tylko do wytworzenia się odruchu warunkowego: na słowo „latać” smoczka pomachiwała skrzydełkami.

 – Czas na ostrzejsze środki. Wiesz, jak psy uczy się pływać?

 – Przecież się rozbije.

 Mrok podrapał się w kark.

 – Pierwsze wypuszczenie zrobimy nad wodą.

 Wybrali miejsce, Mrok wezwał Głowaczka, na wszelki wypadek objaśnił jej zadanie słowami, rozkołysał i na „trzy” wysoko podrzucił.

 – Leć! – zawołała Catherine.

 Głowaczek rozłożyła w powietrzu skrzydełka, ospale pomachała nimi w górze trajektorii, złożyła, wyciągnęła się w strunę i prawie bez bryzgów wbiła się w wodę. Wynurzyła się zadowolona, wyszła na brzeg i stanęła przed Mrokiem na tylnych łapkach.

 – Podobało się jej. Chce jeszcze – wyjaśniła Catherine.

 Po trzecim wypuszczeniu Głowaczek postanowiła, że spróbuje sama. Rozbiegła się po brzegu, wyskoczyła na półtora metra w górę i pięknie weszła w wodę.

 – Moja wina – przyznała Catherine – Pokazywałam jej nurkowanie. Zapamiętała. I jeszcze salta wprzód kręciłam. Ona też chyba niedługo zacznie. Zapamiętuje od razu wszystko.

 Kręcić salt smoczka nie zaczęła, ale długo skakała, pływała i nurkowała.

 – Już mam! Trzeba jej zawiesić coś smacznego tak wysoko, żeby nie mogła doskoczyć. – Podał pomysł Mrok.

 – Ona skacze za motylami dwa metry z miejsca. Aż mi się strasznie robi, jak spada na ziemię, a dla niej to nic.

 – Trzeba jednak spróbować.

 Nowa zabawa też Głowaczkowi się spodobała. Najpierw na końcu wędki przywiązywali kostkę cukru, potem szpulkę od nici, a Mrok wydawał kostkę cukru za udany skok. Stopniowo komplikował zadanie. Trzeba byłonie tylko złapać szpulkę, ale obowiązkowo rozłożyć w trakcie skoku skrzydła. Skok z przyciśniętymi do grzbietu skrzydełkami nie liczył się. Głowaczek osiągała fantastyczne wyniki. Rozbiegała się, wskakiwała na duży płaski kamień, a z niego wzbijała się w górę jak rakieta. Mrok stanął tak, żeby lądowała w sypkim piasku.Ale wędka podnosiła się coraz wyżej, a smoczka się zmęczyła. No i wpadła na chytry pomysł: skoczyła nie za szpulką, a na wędkę. Wypuściła w locie pazurki i zacisnęła wędkę w łapce. Było to tak, jakby przecięła wędkę gilotynowymi nożycami. Odcięty trzymetrowy kawałek spadł na ziemię, a zadowolona Głowaczek przyniosła szpulkę. Mrok podrapał się w kark i wydał jej kostkę cukru – za pomysłowość. Na tym zabawa się skończyła.

 Głowaczek leżała na grzbiecie na kolanach Mroka i słuchała, o czym mówią ludzie. Bardzo lubiła słuchanie mowy..

 – Negatywny wynik to też wynik –zakomunikował Mrok, podnosząc do góry palec.

 – Ale coś z tym trzeba będzie zrobić.

 – Ona nie rozumie, do czego służą skrzydła. Potrzebny jej jest stały przykład.

 – Przecież my nie możemy latać nawet, jeśli założymy skrzydła.

 – Nie mówię o nas. Trzeba wziąć ptaszka. Na przykład papugę. Powiedz Guzowi, że chcesz podarować mi papużkę. Przy okazji pojawi się powód do biegania do bunkra: karmienie ptaszka. Głowaczek będzie patrzyła, jak papuga lata, i zrozumie, po co ma skrzydła.

 – A jeśli nie zrozumie? Próbowaliśmy już tylu sposobów…

 – Zrozumie. Już prawie zrozumiała. Zostaje tylko to „prawie” – odpowiedział stanowczo Mrok.

 Nie udało im się w nocy zająć miłością, gdyż Głowaczek położyła się między nimi i zacisnęła w łapce palec Mroka.

 – Oto nowy projekt. Cylindryczna powłoka, w niej cztery wielkie kuliste butle, napełnione wodorem albo helem. Poniżej podwieszamy gondolę. Po bokach gondoli – dwa silniki na śrubach obrotowych. W silnikach obracają się i rotor, i stator. Ten drugi po to, żeby nie stwarzać momentu zwrotnego. Rotor obraca śrubę ciągnącą, stator – pchającą. Metalowych części prawie nie ma. Silniki, kompresor, butle z gazem i jakieś drobiazgi. Najdziwniejsze, że ja nic tu nie wymyślałem. Ten pojazd nazywa się sterowcem.

 – Kiedy to będzie gotowe?

 – Wszystko oprócz silników – w ciągu miesiąca. Silniki wtedy, kiedy w fabryce skonstruują wyciągarkę miedzianych przewodów.Zaledwie zaczęliśmy ją montować, a smoki już przysłały protest. Grożą całkowitym przerwaniem zaopatrzenia.

 – Odpowiedz im. Zwal wszystko na mnie. Przekaż, że zamierzam podnieść poziom technologii do ś.20w. Przekaż, że zamierzam zbudować nadświetlny gwiazdolot i wynieść się ze Strefy do diabła. A bez miedzianego przewodu nie zbuduję gwiazdolotu. Dlatego będziemy ciągnęli miedziany drut, a jeśli zechcą nam przeszkodzić, będziemy z nimi walczyli. No, oczywiście wszyscy zginiemy, ale nie ustąpimy.

 – Ależ Mrok, jak my możemy walczyć ze smokami?

 – Nie bądź dzieckiem, Con. Zakazano im nas zabijać. Platan sam mi to mówił. Zapomniałeś? A przecież stałeś obok. One nie będą z nami walczyły.

 – Powtórz, do jakiego poziomu podnosimy technologię?

 – Eś, kropka, dwadzieścia wu, kropka.

 – A jak to rozszyfrować?

 – Nie wiem. Ale smoki wiedzą. Jak zbudować gwiazdolot nadświetlny też nie wiem i nie mam zamiaru go budować, ale o tym one już nie wiedzą. Masz jeszcze jakieś pytania?

 – Nie.

 – A ja do ciebie mam. Możesz tak zrobić, żeby na twój sygnał wszystkie ich komputery zwariowały? Żeby zostały bez łączności, bez transportu, bez zero-t, bez tego wszystkiego?

 – To się nazywa wirus komputerowy. Skomplikowane, ale wykonalne.

 – Pomyśl nad tym.

 Następnego dnia rano obok ganku domu wylądowały dwa smoki. Platan wyglądał kiepsko. Prawy róg złamany tuż nad korzeniem, brak prawego ucha, kilku zębów i kłów. Wzdłuż prawego boku ciągnął się półmetrowej szerokości pas różowej skóry bez łusek.

 – A, oto nasz artysta – powitał Mroka. – Wiesz, o czym rozmawiają ze sobą smoki? A gdybyśmy tak odeszli ze Strefy?

 – Catherine! – zawołał Mrok. – Chodź tu szybciej! Niech ci zasrańcy cię przeproszą!

 Catherine wyskoczyła w samej koszuli nocnej.

 – Witaj, królowo. – Platan rozpostarł nad nią skrzydło, żeby osłonić ją przed kapuśniaczkiem. – Czyżbyśmy ciebie czymś obrazili?

 – Przywieźliście nasze konie, ale nie powiedzieliście, że żyjemy. – Mrok lekko ścisnął rękę Catherine i podepchnął bliżej smoków. –Dziewczyny przez tydzień nas opłakiwały.

 Smoki spojrzały po sobie. Catherine głaskała już oba po mokrej łusce przednich łap.

 – Wybacz, królowo, wyszła pomyłka – powiedział Dorian. – Imperatyw nieingerencji, a niech go.

 – Cotam mówiliście o Strefie? – Mrok spróbował przechwycić inicjatywę w rozmowie.

 – A, o Strefie? – odrzekł leniwie Platan, już samym tonem niwecząc wszelkie próby Mroka. – Smoki rozważają odejście ze Strefy na dziesięć lat i wyłączyć kierowanie klimatem. Za dwa lata nie pozostanie tu ani jedno drzewo, za cztery z pól spłynie cały humus, a za sześć nie będzie już ani jednego człowieka. Albo wezmą was na górę i przesiedlą na inną planetę, albo wszyscy umrzecie z głodu. W każdym razie, kiedy wrócimy tu za dziesięć lat, nikt nie będzie się nam pętał pod nogami. Dorian uważa, że powinniśmy zawiadomić mieszkańców kolonii przynajmniej na Strefie o powodach i następstwach naszego odejścia, ale wiele smoków nie zgadza się z nim. A może weźmiesz na siebie zawiadomienie mieszkańców? Jak to się u was nazywa? Zarobisz kapitał polityczny. Stan Fred – zwycięzca smoków! Smoki uciekają z podkulonymi ogonami! Wojna wygrana bez jednego wystrzału! Możesz w „Nowościach Townu” zamieścić moje zdjęcie i powiedzieć, że własnoręcznie złamałeś mi róg. Pełne zwycięstwo!

 Mrok spojrzał na Catherine. Kobieta bezdźwięcznie płakała. Objął ją za ramiona i poprowadził w kierunku domu. Zatrzymał się jednak, słysząc słowa Doriana:

 – Aha, Surowy, jeśli myślisz o gwiazdolocie na podstawie jednokomorowego zero-t, wybij to sobie z głowy. To droga w jedną stronę. Choćbyś nie wiem jak chciał, nie wrócisz już tutaj.

 „Znowu przegrałem” – pomyślał Mrok. – Który to już kolejny raz? Kto może kłócić się ze smokami? One każdą sytuację potrafią obrócić na swoją korzyść. Głowaczek nie ma jeszcze nawet roku. Co prawda, Tyson mówił, że, jeśli szprycować smoka hormonami, w ciągu trzech lat można uzyskać dojrzałą płciowo idiotkę, ale potem jeszcze trzy lata na ten sam proces z dziećmi… Za długo”.

 – A z czego to wzięliście, że zechcę wracać? – zapytał. – Gdzie ja mam wracać? Na Strefę? Po co? Trzy lata mi zupełnie wystarczy. Wystarczyminawetrok. A tych, którzy tutaj zostaną, mam po prostu w nosie, jasne? – Nieoczekiwanie Mrok się uspokoił i zrozumiał, jak ma się zachowywać w tej sytuacji. – Uspokój się, Cat. Nikomu nie pozwolę ciebie obrażać - powiedział czule, popychając ją lekko w kierunku drzwi. – Idź do mojego pokoju, połóż się, a ja zaraz przyjdę.

 Za Catherine zamknęły się drzwi. Mrok usiadł na mokrym krześle na ganku.

 – Świnie z was. Znowu doprowadziliście dziewczynkę do łez – powiedział do smoków. – Nie mogliście chociaż napomknąć, że będzie męska rozmowa? No dobrze, dziękuję za uprzedzenie. Będziemy musieli naprawdę forsownie pracować. Jedliście śniadanie? Zaraz wydam dyspozycje.

 Smoki wymieniły spojrzenia.

 – Tak, jedliśmy. Do widzenia. – odrzekł Dorian. Obaj odwrócili się i odeszli w poranną mgłę. Piechotą.

 – Nawe się nie zmartwił – powiedział Platan po paru minutach milczenia. – To, że Catherine się rozpłakała, go zmartwiło, a to, że kolonia zginie – nie. Kolonia go zupełnie nie obchodzi. Co pokazał twój analizator?

 – Boi się, że nie zdąży.Że poradzi sobie w ciągu roku – to oczywisty bluff.

 – Oczywiście. To niemożliwe. W ciągu roku dwóch techników na kolanie nie skonstruuje zero-t. Nawet w ciągu trzech lat.

 – Niemożliwe? Ale on właśnie się boi, że mogą, ale nie zdążą. Uważaliśmy, że komputerów w merostwie też nie da się otworzyć. A oni otworzyli.

 – O właśnie! Nad tym trzeba pomyśleć. Otworzyli komputer. Po co?

 – Żeby podłączyć do niego coś swojego.

 – Otóż to! Na przykład żeby podsłuchiwać nasze rozmowy. Albo żeby podłączyć się do naszych sieci komputerowych. Trzeba będzie sprawdzić tą hipotezę. Zajmę się tym osobiście. A ty zorganizuj jego stałą obserwację.

 – Ale to przecież…

 – Wiem. Nieetyczne. Ale cóż nam innego pozostaje? On położył nas na obie łopatki. Porzucić tych głuptasków na pastwę losu? A jeśli oni wszyscy odejdą do sąsiedniego continuum – myślisz, że tam się ucieszą z takiego prezentu?

 – Ja nie o tym. Zaczynamy tu odgrywać rolę jakichś złych policjantów, którzy duszą wszystko nowe.

 – Przecież gramy ją już od ponad dwustu lat. Co prawda, chyba lepsze byłoby porównanie do wychowawców w przedszkolu. Wcześniej trafiały nam się ciche, posłuszne dzieci, a teraz natknęliśmy się na chuligana. Sam przecież przeprowadzałeś modelowanie socjologiczne tej kolonii. Dopóki nie oddamy im całej powierzchni planety, musimy utrzymywać ich na poziomie wczesnego pastoralnego kapitalizmu z techniką odpowiadającą temu okresowi.Inaczej oni tu stworzą taki potworny totalitaryzm, że staną się niebezpieczni dla całej ludzkości. Tam, na górze, tego nie rozumieją. Ale ty jesteś tutaj, widzisz. Terytorialnie ograniczone społeczeństwo, wysoki poziom techniczny i skrajnie niski moralny – to przecież bomba z opóźnionym zapłonem. A co ci, na górze, zrobią, kiedy Mrok wynajdzie zero-t? Narobią ze strachu w portki i zrzucą na Strefę bombę neutronową, żeby Mrok przez zero-t nie wysłał bomby im. A to wszystko będzie nasza, smoków, wina. Nie trzeba było dopuszczać do utworzenia kolonii na tak niefortunnie wybranej planecie. Dopuściliśmy jednak do tego i teraz ponosimy za nią pełną odpowiedzialność. Nonie i prisno[[2]](#footnote-3). Na wieki wieków, amen. – Platan splunął.

 – Już wiem! Trzeba nową technikę skierować na świętą sprawę – powiedział Tyson. – To znaczy – poprawił się – na to, co smoki uważają za święte. Wtedy nie podniosą na nią łapy.

 Trwała już piąta godzina nadzwyczajnego posiedzenia. Wszyscy byli zmęczeni, zaczynali się powtarzać.

 – A ty wiesz, co jest dla nich święte? – zapytał Conan.

 – Ekologia Strefy! Zaczniemy zazieleniać planetę! I pod tym szyldem będziemy załatwiali swoje sprawy.

 – Ale to będzie wymagało zwiększenia podatków – zauważył Guz.

 – Jakież, do diabła, podatki! Tu chodzi o nasze przeżycie! – Oburzył się Mrok.

 – Powiedz im to! „Chodzi o wasze przeżycie. Ja was do tego doprowadziłem”! – zakpił Guz. Mrok oklapł.

 – To naprawdę mogłoby się udać. W Townie wszyscy zaczytują się naszymi przygodami. –Conan w podnieceniu przetarł okulary. – Sam czytam to z ciekawością! Nakład gazety powiększył się dwukrotnie. Jeśli teraz zorganizujemy kampanię reklamową, pójdą za nami! Wielu marzy o przygodach – damy im je! Ekspedycja na koniec świata, niezłe hasło, praca na świeżym powietrzu, której cel jest jasny i szlachetny, a rezultat widoczny. Ogólne uznanie i poważanie. Praca na zmiany, żeby ludzie nie czuli się porzuceni.

 – A na czym właściwie będzie polegała ta praca? – zapytał Guz.

 – Będziemy tworzyli oazy w pustyni. Jak ta, którą utworzyliśmy z Tysonem, tylko większe i dalej. Bierzemy ziemię tam, gdzie jest w nadmiarze, i wieziemy w pustynię.

 – A jak zorganizujemy pracę na zmiany? Płynęliście tam rzeką dwa tygodnie!

 – Drogą powietrzną! Na sterowcu! Będziemy mieli flotę sterowców! Smoki nie będą w stanie prześledzić, który gdzie leci.

 – Ha! – powiedział Mrok. – Ha-ha! Smoki dostaną kręćka!

 Mrok wrócił z Townu późno, zdjął mokry płaszcz. Pora deszczowa zaczęła się z opóźnieniem, ale za to od razu od potężnej ulewy zamiast siąpiącego kapuśniaczku. Zdjął buty, wsunął nogi do pantofli i chciał cichutko przejść do swojego pokoju. Drzwi do gabinetu Guza były uchylone, paliło się światło, dochodziły głosy. Zatrzymał się i wsłuchał.

 – …Różni się od smoków, ale to ta sama klasa. Zwykły człowiek nie zrozumie ani jego, ani ich – zakończył swoją wypowiedź Tyson.

 – Nie masz racji, Tysonie – odrzekł Conan. – On akurat podobny jest do smoków w tym, że i on, i one mają cele nadrzędne. My żyjemy sobie tak po prostu a on realizuje wyznaczony sobie nadrzędny cel. Dla nas ta wyprawa była ciekawą przygodą, dla niego – celem życia.

 – Fanatyk? – zapytał Guz.

 – Nie, Guzie – to znów mówił Tyson. – Do niego ten termin nie pasuje. Umie się cofnąć. Tak było podczas wyprawy. Trzeba mieć bardzo subtelnewyczucie sytuacji, żeby odróżnić chwilę, kiedy warto ryzykować, od chwili, kiedy ryzyko zamienia się w samobójstwo. Przed pustynią się cofnął. A kiedy w kanionie zmyło konia z tratwy, rzucił się za nim do wody, gdyż od konia mógłby zależeć los ekspedycji. Początkowo myślałem,że żal mu było konia, ale w drodze powrotnej bez żadnego współczucia porzucił wszystkie konie.

 – Z tym koniem jeszcze nie wszystko jest jasne – wmieszał się Conan. – Czytałem, że żaden koń nie może płynąć dłużej niż godzinę. A on wylazł z wody po czterech godzinach. A dlaczego znają go wszystkie smoki? A dlaczego dziewczynki codziennie do jego domku biegają, a potem milczą jak ryby? Mam zwariowaną hipotezę: Mrok to… cyber smoków. A co? Nie zna ludzkich uczuć, nikogo nie kocha i nie żałuje, niczego się nie boi, nie męczy się, nigdy się nie myli, chyba, że czegoś nie wie, każdy drobiazg od razu zauważa i włącza do swoich planów. A widzieliście, jak on strzela z dwu pistoletów? Albo jak przechodził przez rzeczkę? Tam był prąd, wody po pas, śliskie kamienie pod nogami się ruszają. My z Tysonem padaliśmy po pięć razy, a on szedł jak po równej drodze. Nie, on ma komputer zamiast mózgu!

 – Mówiłeś o celu nadrzędnym. Jaki może być jego cel nadrzędny? – zapytał Guz.

 – To jasne – odrzekł Tyson. – Uciec ze Strefy. Co noc o tym mamrocze we śnie.

 – W jaki sposób?

 – Chce sklonować smoki i przepisać w nie naszą osobowość.

 – Ja– smokiem… Zabawne. Czy to realne?

 – Mrok myśli, że realne. Ma nawet znajomą smoczycę, która darzy go ciepłymi uczuciami i jest gotowa urodzić mu dzieciaczka. Minotaurka.Głowa smoka, skrzydełka, łuskowaty ogon, cała reszta jak u ludzi… Pamiętasz, Conan, on wyciął na tratwie jej mordę z sęku.

 Mrok zaklął w myśli i poszedł do siebie.

 – Naprawdę rozmawiam we śnie? – zapytał Catherine, zdejmując przez głowę przemoknięty sweter i rzucając go na fotel. Koszula też przemokła i przylepiła się do ciała.

 – Tylko wtedy, kiedy bardzo się zmęczysz.

 – To znaczy często.

 – Zbyt wiele pracujesz.

 – Pora deszczowa nie będzie trwała wiecznie.

 – A czy musimy koniecznie lecieć w porze deszczowej? Przecież wystarczy nam jeden pochmurny dzień.

 – Masz rację. – Zmęczony Mrok pokręcił głową. – A Conan mówił, że nigdy się nie mylę. Fajtłapa ze mnie.

 W pierwszy lot wybrało się sześciu ludzi: Mrok, Tyson, Conan, dwóch mechaników z fabryki i korespondent gazety „Nowości Townu”. Sterowiec wyprowadzono z hangaru, ale zanim Guz skończył przemawiać i pozować do zdjęć na jego tle, zewnętrzna powłoka opadła na ziemię. Wreszcie oficjalna część się skończyła. Tyson pierwszy podszedł do luku, zasalutował i wszedł do środka. Conan udawał kapitana. Zapiął pod brodą rzemyk hełmu, zasalutował Guzowi, złożył mu raport o gotowości. W szerokiej czarnej kurtce ze skóry i białym plastikowym hełmie wyglądał dostatecznie autorytatywnie. Zaszczękały migawki aparatów fotograficznych.. Conan wstąpił na pokład, przeszedł na dziób gondoli i usiadł w fotelu komandora. Mechanicy zamknęli luk.

 – Odcumować – powiedział.

 – Odcumować! – wykrzyknął Mrok w iluminator.

 Podłoga pod nogami zakołysała się i ziemia uciekła w dół. Gondola mocno przechyliła się do tyłu. Coś potoczyło się z łoskotem, rozległo się uderzenie, krzyk, dźwięk rozbitego szkła i niewybredne przekleństwa jednego z mechaników. Za iluminatorem zabrzmiała muzyka. Conan uzupełnił gaz w czwartym balonie i gondola się wyrównała. Mrok płynnie pociągnął ku sobie regulator prądu. Silniki zaszumiały i wszystkie osiem śrub poszło w ruch. Mrok zatoczył szerokie koło nad hangarem i poprowadził sterowiec nad centrum Townu. Załoga przylgnęła nosami do iluminatorów. Dziennikarz pstrykał zdjęcia. Dla niego to był pierwszy lot. Pozostali już się wznosili w krótkie loty doświadczalne.

 – Za szybko się wznosimy – powiedział Conan i włączył kompresor.

 Rozległo się miarowe „czaf-czaf”. Po minucie wznoszenie się spowolniło i kompresor ucichł. Mrok wybrał jako punkt orientacyjny budynek merostwa i poprowadził na niego latający statek. Nad Townem ustawił silniki tak, żeby śruby pchały sterowiec w dół, zszedł na siedemdziesiąt metrów. Ludzie w mieście zobaczyli ich, wybiegli na ulice, krzyczeli, machali czapkami. Mrok zrobił koło nad centrum Townu i skierował sterowiec dokładnie na wschód. Deszcz się skończył, ale duże krople, ściekające z powłoki, jeszcze jakiś czas bębniły po wierzchu gondoli, wykonanym z przeźroczystej błonki. Cała załoga zebrała się w kabinie pilota. Mrok nieco zwiększył szybkość i wysokość.

 – Kto chce pokierować? – zapytał. Oczywiście zgłosił się dziennikarz. – Wyznaczam pana pomocnikiem pilota. To jest kompas. Proszę trzymać kurs prosto na wschód. Gdyby pan czegoś nie rozumiał, proszę zapytać kapitana. Gdyby pan się zmęczył, ma pan poprosić o zmianę, a w razie ujrzenia czegoś niezwykłego proszę mnie zawołać.

 – Dziękuję, pan jest taki dobry – powiedział z radością dziennikarz.

 – Nie jestem dobry, tylko przewidujący. Jest pan członkiem załogi, a wszyscy członkowie załogi muszą umieć kierować pojazdem. Lot będzie długi, całą dobę w jedną stronę, więc będziemy się wszyscy po kolei zmieniali

 Dziennikarz popatrzył przez ramię, czym zajęty jest kapitan. Kapitan liniował dziennik pokładowy przy pomocy długiej linijki. Po chwili spojrzał na zegar i kompas, zapisał dane. Krótko mówiąc, był zajęty ważnymi kapitańskimi sprawami. Mrok przeszedł na tył gondoli. Tu mechanicy usuwali ostatnie niedoróbki. Po całej podłodze walały się śrubokręty, szczypce uniwersalne, klucze francuskie. Mrok odchylił wiszące łóżko, położył się na nim i od razu zasnął. Bardzo się zmęczył w ciągu ostatnich dni, gdyż projekt sterowca trzeba było całkowicie przerobić. Dwukrotnie zwiększyć ładowność, zamiast dwu silników zainstalować cztery, wzmocnić szkielet gondoli. Kierownicy wydziałów klęli, żądali planów z podpisem technologa i wicedyrektora do spraw produkcji. Technologowie uważali się za najważniejszych dopóki Mrok jednego z nich nie pobił, a Guz nie wymusił na dyrektorze zwolnienia ofiary. Mroka zaczęli się bać. Wykorzystując to, Guz zaproponował zastosowanie taktyki dobrego i złego gliny. Dobrym gliną był Conan, który ze wszystkimi ze wszystkimi się dogadywał i sowicie płacił za godziny nadliczbowe. Jeśli mimo to praca nie szła, przychodził zły glina i robił szum. Złym gliną był oczywiście Mrok. Taki podział obowiązków przynosił owoce: projekt „Zielona Strefa” posuwał się szybko naprzód.

 Noc minęła spokojnie. Conan podniósł sterowiec na wysokość dwu tysięcy metrów, pod same chmury, słaby wiatr z lekka znosił na południe, ale kapitan wniósł poprawkę do kursu. Następnego dnia w porze obiadowej ujrzeli na horyzoncie pustynię. Conan włączył kompresor, a Mrok ustawił sterowiec pod wiatr i zmniejszył obroty silnika do minimum. Wylądowali szczęśliwie. Kompresor pracował dalej, kiedy powłoka sterowca oklapła, tracąc swój cylindryczny kształt, Conan pozwolił załodze zejść na ziemię.

 Skakanie po kamieniach było męczące i nieciekawe, więc wszyscy szybko powrócili na pokład. Conan zaczął wypełniać balony gazem. Gondola trochę przejechała po kamieniach, zanim Mrok zdążył włączyć silniki. Bał się, że śruby mogą połamać się na dużych kamieniach. Nabrali wysokości i trochę pokrążyli nad granicą lasu i pustyni. Tyson zaproponował, żeby oblecieć całą zieloną strefę naokoło, poparł go dziennikarz.

 – Żadnej nadgorliwości – zaprzeczył Mrok. – To jest lot pokazowy. Nie może być w nim żadnych niespodzianek. Musimy dowieść, że sterowiec jest równie niezawodny i łatwy w obsłudze jak koń. A oblecieć naokoło oazę zawsze zdążymy.

 Conan poparł Mroka i polecieli z powrotem. Widoczność z powodu deszczu była bardzo zła, dlatego przelecieli obok Townu, ale nie zobaczyć Rzeki było niemożliwością. Zawrócili, przelecieli nad Rzeką do mostu, a potem nad drogą do samego Townu. Mrok znowu przeleciał nad merostwem na niskiej wysokości. Zebrał się tłum i pobiegł na spotkanie lotników do hangarów. Zanim wylądowali i wprowadzili sterowiec do hangaru, pojawił się tam Guz z orkiestrą. Powtórzyła się cała uroczysta procedura, zakończona przekazaniem raportu z lotu. Potem burmistrz osobiście uściskał zmęczonych bohaterów, a zachwycony tłum poniósł ich na rękach. Jak myślicie, gdzie? Oczywiście do zajazdu „Pod Trzema bramami”.

 W porze deszczowej Ciepła Dolina nie zasługiwała na tą nazwę. Zielony smok z żalem zmierzył koniuszkiem ogona głębokość kałuży w miejscu swojego ulubionego legowiska, po czym pogardliwie strząsnął krople.

 – Oni już od dawna szperają po naszych bazach danych – powiedział czarny smok.

 – W jakim celu?

 – Zbierają informacje o starych technologiach. Bezpośrednio z centralnego informatorium. Wykryłem, że niedawno przede mną ktoś interesował się konstrukcją sterowców. Gdybym nie szukał czegoś takiego, nigdy bym się nie domyśli, że to oni.

 – Kto ich tam wpuścił?

 – O, to cała pieśń! Udało się im przeprogramować jednego z cyberów, obsługujących bibliotekę na orbitalnej. Dwie doby wyjaśniałem, jak to zrobili. A rozwiązanie było genialnie proste. Rozbili cały proces na mnóstwo pozornie nieszkodliwych operacji. Każdy cyber wypełniał jedno z pozoru nieszkodliwe polecenie i nie wiedział, co przed nim robiły inne. No i w rezultacie mamy to, co mamy.

 – Nie rozumiem. Jak to możliwe?

 – Nikogo nie interesuje, co robią cybery pod jego nosem. Ktoś widzi, jak cyber grzebie w aparaturze łączności. Pierwsze i ostatnie skojarzenie: coś się zepsuło, cyber naprawia. A cyber zamienia miejscami przewody A i B. Po co to robi, nie wie. Cybery nie są ciekawe. Jeśli tylko instrukcje są dostatecznie ścisłe, cyber nie będzie dociekał, skąd, dokąd i po co idzie kabel. Rozkaz przyszedł przez sieć komputerową od innego cybera, ten otrzymał go od trzeciego, a trzeci – od smoka imieniem, powiedzmy, Dorian. Co prawda, jeśli znajdziemy tego trzeciego cybera, on powie, że rozkazu nie dostał i nie przekazywał. Ale kto będzie go szukał?

 – No i co z tego?

 – A to, że w rezultacie roszady kabli nasi podopieczni otrzymują bezpośredni dostęp tam, gdzie nie wolno im zaglądać. Tam, gdzie nawet smok może wejść tylko za specjalnym przyzwoleniem. A potem, gdy już przeprogramowali cybera-bibliotekarza, ten odtworzył wszystko, jak było i wyczyścił pamięć tych cyberów, które cokolwiek o tym wiedziały. Został tylko zapis wideo w czarnej skrzynce rejestratora samej stacji.

 – Czy to Mrok wymyślił?

 – Nie sądzę. Pewnie Conan. Ustanowiłem obserwację ich kanału informacyjnego. Drugi raz taki numer nie przejdzie. Będziemy wiedzieli, co ich interesuje. A czym oni teraz się zajmują?

 – Ogrodnictwem. Kopią ziemię, sadzą trawkę.

 – Po co?

 – Pamiętasz ekspedycję na tratwie? Oni postanowili powtórzyć to doświadczenie i wzięli się do dzieła z rozmachem. Wożą sterowcami ziemię i tworzą pas oaz w odległości dziesięciu kilometrów jedna od drugiej. Mają siedem sterowców. Zajmuje się tym sporo ludzi. Co piąty albo jest rolnikiem, albo ma inny zawód powiązany z gospodarstwem wiejskim.

 – Sądzisz, że coś im z tego wyjdzie?

 – Trudno powiedzieć. Wszystko zależy od tego, ile w to włożą wysiłku. W każdym razie przy tak niskiej gęstości zielonych wysepek rezultat będzie widoczny dopiero za kilkaset lat.

 – Nie rozumiem. Coś tu nie tak. Ludzie nigdy nie myśleli na wieki naprzód. Guzowi to niepotrzebne, Mrokowi też nie. Może to odpowiedź na naszą ostatnią wizytę? A może jakaś chytra, niezrozumiała gra? Ale na czym ma polegać jej sens?

 – Stajesz się paranoikiem. Zapytaj ich samych. Oho, mamy gości.

Nad łąką niezgrabnie manewrował przygotowujący się do lądowania sterowiec. Rozstawione na pylonach po bokach silniki ustawiły się poziomo, śruby w kratowanych obudowach zakręciły się szybciej, przyciskając sterowiec do ziemi. Gondola położyła się na trawie. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, a maszyny dochodziło tylko „czaf-czaf-czaf” jakiegoś mechanizmu. Potem śruby się zatrzymały, otworzył się luk i na ziemię wyskoczyło pięciu ludzi w czarnych kurtkach i białych hełmach. Jeden z nich rozpiął pas hełmu i zdjął go z głowy.

 – Niemożliwe! Królowa! Czy to ty? – Zdziwił się Platan.

 – A czy to wy? – mruknął pod nosem Tyson, będący wyraźnie nie w sosie.

 – Witajcie, jestem burmistrzem Townu. Jesteśmy u was z wizytą oficjalną – zaczął z miejsca Guz. Smoki wymieniły spojrzenia i ukłoniły się uprzejmie. – Moi chłopcy mówili, że Dorian proponował wam współpracę.

 – Jak pan sobie wyobraża tą współpracę? – zapytał Dorian.

 – My – mam na myśli ludzi – postanowiliśmy zająć się ekologią Strefy. Oczywiście z zadowoleniem opuścilibyśmy tą planetę, żeby nie pętać się wam pod nogami, ale z pewnych powodów jest to utrudnione. Dlatego postanowiliśmy zająć się rozszerzeniem tak zwanej zielonej plamy. Wy jednak możecie mieć własne plany dotyczące tych okolic, dlatego uważam, że powinniśmy skoordynować wysiłki..

 – Szefie – przerwał Tyson – Nie jesteś na zjeździe dyrektorów. Mów po ludzku.

 – No… – Guz spojrzał pytająco na smoki, a te skinęły zachęcająco. – Przylecieliśmy uzgodnić plany i umówić techniczne szczegóły współdziałania. Mamy problemy z materiałami, przede wszystkim z plastikiem i cienkościennymi butlami na gaz, wykonanymi z metalu monokrystalicznego. Nie mogę już bardziej okradać szpitala. Mamy problemy ze źródłami energii. Na tej planecie nie ma nafty. Rozpatrujemy następujące warianty: silniki na spirytus drzewny, silniki tlenowo-wodorowe i akumulatory na nadprzewodnikach. Jest jeszcze kilka wariantów, na przykład zero-generatory, ale smoki, nie wiadomo dlaczego, uważają je za niebezpieczne ekologicznie. No i to całe wasze uprzedzenie do rozwoju techniki na Strefie….

 – Krócej– powiedział Platan.

 – Krócej: albo wy dajecie nam akumulatory, albo my w tym roku budujemy fabrykę silników wewnętrznego spalania, w przyszłym roku zaczynamy produkować do nich paliwo, a za dwa lata i tak wyprodukujemy te cholerne akumulatory – wyjaśnił Mrok. – A jeśli odejdziecie ze Strefy, odejdziemy za wami.

 Smoki wymieniły spojrzenia.

 – To wygląda na ultimatum – powiedział Dorian.

 – Niech wam będzie. Mnie tam wszystko jedno. Straciliśmy dwa sterowce, kiedy w czasie ostatniej burzy spłonął hangar. Wszystko można odtworzyć, ale akumulatorów już nie mamy.Jesteśmy na rozdrożu. Albo zjednoczymy wysiłki, albo pójdziemy swoją drogą. – Mrok odwrócił się i poszedł w kierunku sterowca.

 – Dziwna metoda prowadzenia rozmów – mruknął zdumiony Platan.

 – Proszę mi wybaczyć, ale u nas po drodze powstały spore różnice w zasadniczych sprawach – powiedział zmieszany Guz i też pośpieszył do sterowca.

 – Skandal w szlachetnej rodzinie. A ty co powiesz, królowo? – zapytał Dorian.

 – Mnie jest strasznie. – Catherine nerwowo ścisnęła ręce. – On chce, żebyście odeszli ze Strefy. Ostatnim razem mówiliście, że możecie odejść, i jemu o to właśnie chodzi. W obliczu śmierci wszyscy ludzie się zjednoczą i wszystko będzie w jego władzy. Nie wiem już, co robić – jej głos zadrżał zdradziecko.

 – Rozumiem. A co wy o tym myślicie? Mrok jest do tego zdolny? – zapytał Platan.

 – Mrok jest zdolny do wszystkiego – burknął Tyson. – Wybaczcie, ale musimy coś jeszcze załatwić. Porozmawiamy później. Przepraszamy. – Złapał Conana za rękaw i pociągnął w kierunku sterowca. Conan oglądał się zaniepokojony.

 – Idź, królowo, czekają na ciebie – powiedział ponuro Dorian. – Albo, jeśli chcesz, możesz zostać z nami. Znajdziemy ci zajęcie, nie będziesz się nudziła.

 – Nie mogę go teraz zostawić. Nie wyobrażacie sobie, jakie to poważne – odrzekła Catherine i prawie biegiem podążyła w kierunku otwartego luku gondoli.

 Powłoka sterowca ledwie zauważalnie się wzdęła, poszły w ruch śruby, niezgrabna maszyna oderwała się od ziemi i, nabierając wysokości, znikła za lasem.

 – Zdaje się, że część pytań się wyjaśniła – powiedział Platan.

 – Zdaje się…???

 – Tak, ale w rzeczywistości zrobiło się ich jeszcze więcej. Przekręcam zapis na analizatorze. Burmistrz gra rolę. Nauczył się tekstu i mówi jak z trybuny. Bardziej troszczy się o piękny styl propozycji niż o jej sens. W takich przypadkach analizator nie pracuje. Mrok naprawdę potrzebuje akumulatorów, ale silniki i ekologię ma w nosie. Nie blefuje. Wierzy, że zdołają otworzyć fabryki, ale mało go to obchodzi. I szczerze wierzy, że będzie mu łatwiej, jeśli odejdziemy. Inni sami nie wiedzą, co się dzieje. Mówiłeś, że to jakaś chytra gra. Teraz jestem tego pewny. I to nie jedna, a od razu kilka. Możliwe, że mamy przed sobą rezultat jakiegoś złożonego kompromisu. Przekręć warianty na modelu. Królowa ma rację: to bardzo poważne.

 – To nie jest poważne. To jest pestka. Przeszukuję teraz ogólnodostępne pliki w komputerze merostwa. Naprawdę mają projekt fabryki technicznego spirytusu, i to nie wyobrażasz sobie, jak wielkiej! Każ głupiemu modlić się do Boga, a on rozwali sobie czoło.[[3]](#footnote-4) Oni zniszczą Zieloną Strefę! Wyrąbią lasy, rozwiozą czarnoziem małymi kupkami po pustyni. Wszystko zginie! Platan, musimy ich powstrzymać! Mrok zwariował! Naprawdę chce ze wszystkich zrobić niewolników! Potrzebuje setek sterowców, tysięcy ludzi. Postraszyliśmy go, że odejdziemy ze Strefy, a on odpowiedział, że przyśpieszy prace. No i postanowił przyśpieszyć je do tego stopnia, że zniszczy wszystko. Nie rozumiem. Skąd na naszą głowę zwalił się ten człowiek? O co mu chodzi? Trzeba szybko zwołać radę. Jeszcze dziś, jutro może być za późno!

 Sterowiec nabrał wysokości.

 – Cat, opowiedz, o czym rozmawiały z tobą smoki?

 – Nie ruszałam twoich tajemnic. – Obrażona Catherine odwróciła się w stronę iluminatora.

 – Głuptasko, gdybym bał się o tajemnice, zostawiłbym cię w domu. Skoncentruj się i powtórz wszystko słowo w słowo. – Mrok czule przycisnął ją do siebie.

 Catherine zrozumiała, że to nie są podejrzenia, wytężyła pamięć i powtórzyła. Słowo w słowo, imitując osoby, zachowując intonację.

 – Nieźle, całkiem nieźle. Ostatnie pociągnięcie pędzla na obrazie podłego oszustwa.

 Guz chrząknął z zadowoleniem. Conan tymczasem włączył komputer i krzątał się przy antenie, kierując ją w kierunku Townu, aż na ekranie pojawił się znajomy plik nawigacyjny.

 – Wzięło! – wykrzyknął zachwycony.

 – Niemożliwe! Nie minęło nawet dziesięć minut! Ależ to przeciwnik! Co za intelekt! Jakaż siła, jakaż spostrzegawczość! – wykrzyknął zachwycony Mrok.

 – Może ktoś wyjaśni tępakowi, o co tu chodzi? – zapytał gniewnie Tyson zza steru.

 Ano on, ani Catherine, ani Conan nic nie rozumieli z gwałtownej kłótni tuż przed lądowaniem. Mrok i Guz, cicho szepczący za jego plecami, zaczęli nagle, ni z tego, ni z owego, krzyczeć jeden na drugiego, obiecywali „nie pozwolić”, „wykorzenić”, „zamknąć na miejscu”, „wystrzelać niezadowolonych”, „żadnego przymusu” i „wszystkich, co do jednego, choćby w kajdankach”. W rezultacie zawalili rozmowy jeszcze przed ich zaczęciem, a teraz, radośni i zadowoleni jak dzieci, wracali do domu.

 – Steruj, nie odrywaj się. Mistrzowsko zagrałeś swoją rolę w tym spektaklu. Jak wrócimy, dam ci cukierka – pochwalił go Mrok. – Aha, Cat, ty też jesteś zuchem, tobie też dziękuję.

 – Zaraz otworzę kingstony – zagroził Tyson.

 – No dobrze, szantażysto, słuchaj. Przygotowaliśmy o odegraliśmy spektakl w celu postraszenia smoków. Conan grać nie umie, dlatego kazałem mu milczeć. Ja i Guz mamy wypracowane sposoby na oszukanie detektorów kłamstwa. Ale potrzebni nam byli ludzie, którzy nie z wielkiego rozumu, a z czystego serca mówiliby za nas prawdę. Oprócz tego, dla dodania większej pewności, przygotowaliśmy plik-przynętę w komputerze merostwa. Smoki na nią się złapały. Przy tym tak szybko, że aż konsternacja ogarnia.

 Tyson poruszył kołem sterowym w prawo i w lewo, od czego zawyły silniki i gondola zaczęła kołysać się pod powłoką sterowca.

 – Odsłoń swoją metodę oszukiwania detektora.

 – Jak to, mam wydać wielką tajemnicę ot tak, po prostu! Figa! Nie wyjdzie!

 – Podaj swoją cenę.

 – Będziesz przez tydzień czyścił moje buty.

 – Aye, szefie. Wykorzystuj chwilę, pij krew ludzi pracy.

 – Niech pozostali wyjdą za drzwi – powiedział Mrok.

 Catherine spojrzała w iluminator i chciała wymierzyć mu lekki policzek, ale Mrok zręcznie się uchylił.

 – Damy mogą zostać.

 – Jeszcze chwila zwłoki i umowa rozwiązana – zagroził Tyson.

 – No dobrze. Słuchajcie wszyscy. Nie mam nic do ukrycia. Mówię smokom prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Ale przedtem rozdzielam ją na kawałeczki i układam je na talerzyku tak, żeby nikt się nie domyślił, z której strony „pieczonego” faktu został wyjęty, gdzie marzenie, a gdzie realizm. Wystarczy zamienić miejscami dwa zdania – i danie przybiera zupełnie nowy, ekstrawagancki smak. I to jaki! Sam czasem nie mogę zrozumieć, co powiedziałem.

 – Witajcie! Szukam człowieka imieniem Jegor Dubow albo człowieka imieniem Mrok.

 – Mrok to ja. Cat, zawołaj Guza. A kim pani jest?

 – Proszę mi wybaczyć, nie przedstawiłam się. Jestem Tonara, instruktor kształtowania biosfery. – Zielonasmoczyca uprzejmie szurnęła nogą. Mrok kiwnął głową, a Tyson podszedł i zrobił kniksen. – Pan jest Tyson, prawda? Mówili mi o panu. Panie Tyson, pan jest biologiem. Jak pan mógł przepuścić tak partacki projekt?

 – Polityka, madame. Wysoka polityka.

 – Dajecie akumulatory? – zapytał Mrok.

 – Oczywiście. I akumulatory, i analizatory kwasowości gruntu, i nasiona, i nawozy. Mam całą listę. Ale musicie całkowicie przerobić projekt.

 – Kiedy dajecie?

 – Choćby zaraz. Ale Platan mówił, żebym wydawała w miarę potrzeby. Inaczej mogą ukraść. Czy to prawda?

 – Prawda, prawda – burknął Mrok. – Może pani zapomnieć o starym projekcie. Spełnił już swoje zadanie.

 – Odrzucacie go? Tak się bałam! Platan mówił, że z panem prawie nie można się dogadać, a pan nawet moich wyliczeń nie przejrzał.

 – Tego projektu nikt nie zamierzał realizować. Był potrzebny tylko, jako przynęta dla smoków. Smoki się złapały, więc już jest niepotrzebny.

 – Ale… Tak nie można! Tak się nie robi! Co o was mogą pomyśleć? To nieładnie!

 – Ile ty masz lat, dziewczynko?

 – Czternaście… Mam na myśli – standardowych.

 – Skąd ty, taka młódka, spadłaś na Strefę?

 – Ze Smaltusa. Przyleciałam tu na praktykę z terraformowania. My tam dopiero zaczynamy, a wy tu już żyjecie od dawna.

 – Moja miła, a byłaś gdzieś jeszcze oprócz Smaltusa? – zapytał, podchodząc, Guz.

 – Oczywiście. Byłam na wycieczkach na Ziemi, na Tantorze i na Pandorze. Był okres, że co miesiąc jeździłam na Sekond trenować skrzydła. U nas na orbitalnej zamiast grawitacji jest siła odśrodkowa, a w niej biograwy nie działają, więc nie bardzo da się latać.

 Wszyscy mieszkańcy domu wyszli na drogę i teraz słuchali smoczycy z otwartymi ustami. Catherine już ją głaskała po przedniej łapie. Guz powiedział:

 – Posłuchaj starego człowieka, mała. Leć do Ciepłej Doliny i poproś, niech ktoś cię zmieni.

 Smoczyca zrobiła krok do tyłu. Jej ogon zniknął pod brzuchem.

 – Coś nie tak zrobiłam? – Spojrzała zmieszana na Guza.

 – Nie o to chodzi. Jesteś miłą, naiwną dziewczynką. A tu – Strefa, przestępcy, zabójcy.

 – Wiem. Bardzo szczegółowo mnie instruowali. Nie wyganiajcie mnie, nie możecie mnie wygonić. – Jej ogon mocno przylgnął do brzucha. – Tak prosiłam, żeby wyznaczyli właśnie mnie. To ostatnia szansa… – I nagle umilkła, spoglądając z przestrachem na twarze ludzi.

 – Co mi tam? Ale żebyś potem nie pożałowała! Mrok, Tyson, Conan, wy z nią porozmawiajcie dalej. To wasze sprawy. – Guz, człapiąc kapciami po kałużach, poszedł do domu.

 Po kilku godzinach cała trójka wróciła do domu, bardzo zmęczona.

 – No i jak? – zapytał Guz.

 – Naiwniutka – odezwał się Tyson.

 – Podstawowe sprawy uzgodnione. Dziewczynka młodziutka, ale pracować umie. Zna się na rzeczy. Wszystkie soki z nas wycisnęła. Teraz rozmawia z Catherine – powiedział Mrok.

 – Ależ ona nie zna się na niczym oprócz kształtowania biosfery. Jej rodzice są biosfernikami, to i ona też – zaczął wyjaśniać Tyson. – Zna skafander, biopressing, biocenozę, programowanie genetyczne. Cała reszta – zero. Całe życie przesiedziała na swoim Smaltusie, a tam dotąd padają meteoryty jak jabłka w jesieni.

 – Co to za Smaltus? – Zainteresował się Guz.

 – Planeta, podobna do Strefy. Smoki robią z niej świat nadający się do zamieszkania – odrzekł Mrok i w tym momencie weszła wyraźnie przestraszona Catherine.

 – Mrok, mogęcię prosić na minutkę?

Wrócił rzeczywiście po minucie. Pokręcił się po pokoju, aż zatrzymał się przed lustrem, w zamyśleniu kołysząc się z palców na pięty.

 – Nieprzyjemności? – zapytał Guz.

 – To ta sama smoczyca, która prawie rok temu straciła dziecko. Pamiętacie, wszyscy go szukali. Wtedy, kiedy zabito Bobasa. Wprosiła się do nas, żeby nie wracać na Smaltusa. Chce szukać go po wszystkich lasach. Myśli, że mogło odlecieć daleko i dlatego go nie znaleziono.

 – To nas nie dotyczy.

 – To będzie przeszkadzało w pracy.

 – Mrok, ty kiedyś oszukasz siebie samego. Przecież praca nie jest ci potrzebna. Potrzebne ci są akumulatory, żeby sterowce latały po niebie, nieprawdaż?

 Mrok zmarszczył czoło, po czym uśmiechnął się i klepnął Guza po plecach.

 – Zgadza się. Za bardzo wczułem się w rolę.

 – Toni, skąd zaczniemy?

 – Proponuję od północno-zachodniego kwadratu – odrzekła Tonara. – Od tego górskiego zbocza, wzdłuż całej rzeczki. Nie wiem, jak ona się nazywa, ale Dorian mówi, żeście nad nią byli. To bardzo perspektywiczny kierunek. Wektor ekspansji zielonej fali pójdzie od rzeczki wzdłuż grzbietu w obie strony. Tu, bardziej na południe, szybko powstanie nowa rzeczka. Na razie lodowiec dopiero zbliża się do granicy topnienia i ta rzeczka nie jest rzeczką, tylko sezonowym potoczkiem, w dodatku szybko zanikającym w pustyni. Uderzamy tam, gdzie strumyk wpływa na równinę, i zielona fala rozprzestrzenia się w dół z prądem. Strumień sam niesie w dół substancje organiczne i nasiona. W porze suchej to wszystko rośnie i umacnia się na brzegach. Patrzcie, jak celnie to wychodzi. Zieleń zatrzymuje dla strumienia wodę i ten z każdym rokiem przebija się coraz dalej. Razem z nim postępuje zielona fala. Lodowiec nabiera siłę i podkarmia strumień coraz obficiej. Bardzo szybko zazieleni się cała dolina aż do Rzeki. Okrążamy zieloną strefą cały trójkąt pustyni. Teraz rozpatrzmy południowy kwadrat…

 Mrok już nie słuchał żarliwej gadaniny młodej smoczycy. Proponowała zacząć od północno-zachodniego kwadratu, od tego samego grzbietu górskiego, w którym znajdowała się opuszczona baza. Idealny kamuflaż do lotu zwiadowczego.

 – Toni, stój. Nie mamy tylu sterowców, by rozdrabniać się od razu na kilka kierunków. Myślę, że zrobimy tak. Zaczniemy od północnego zachodu. Ty wyznaczysz miejsca, skąd można brać ziemię, a my polecimy na zwiad w kierunku, który wskazałaś. Wyznaczymy trasę. Gdy tylko ją oznakujemy, zdejmę sterowce ze wschodu i przerzucę na południowy zachód.

 – Bądźcie ostrożni. Może lepiej poczekać, aż skończy się pora deszczowa?

 – Toni, pora deszczowa to jedyny czas, kiedy człowiek na pustyni nie umrze z pragnienia w ciągu trzech dni. Jeśli rozbijemy się w porze deszczowej, to wytrzymamy miesiąc. Będzie czas na wysłanie ratowników. A propos, jeśli ja się rozbiję, czy Platan poleci mnie ratować?

 – Dlaczego pan o nim źle myśli? On jest bardzo dobry, sprawiedliwy. Nocami nie śpi, myśli o was, a wy go cały czas oszukujecie. Ma o panu bardzo wysokie mniemanie i bardzo żałuje, że nie może pana nazwać swoim przyjacielem.

 – Ach, Toni, jesteś naiwną dziewczynką. Ciebie też nigdy nie zdołam nazwać przyjacielem.

 – Dlaczego? Bardzo pana szanuję. Razem pracujemy. Czy to dlatego, że od niedawna?

 – Toni, ja nie byłem na Ziemi już od czterdziestu pięciu lat. Zawieź mnie tam, chociaż na jeden dzień. Obiecują ci, że wrócę.

 – Ale panu przecież nie wolno…

 – No widzisz, a jeszcze mi się wpraszasz na przyjaciela.

 Przez jakiś czas smoczyca patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, po czym, nie wybierając drogi, popędziła przed siebie w las.

 – Ty skończony durniu! – krzyknęła Catherine i pobiegła w ślad za smoczycą. Przez jakiś czas Mrok słyszał trzask łamanych gałązek.

 Mrok siedział przy otwartych drzwiach bunkra i patrzył na deszcz. Głowaczek usadowiła się na jego kolanach. Myślał o tym, że coś trzeba z tym zrobić. Dookoła bunkra było pełno ścieżek. Nawet kiepski tropiciel, a na pewno każdy myśliwy domyśli się, że ktoś tu mieszka. Dobrze jeszcze, że Głowaczek jest zielona, więc na zdjęciach z kosmosu niedostrzegalna. Na razie. A za rok? Niedługo zajmą się na serio opuszczoną bazą. Co wtedy zrobić ze smoczką? Włożyć ją do inkubatora? Nawet, jeśli tam będzie albo da się go złożyć, Catherine nie pozwoli. Usunąć Catherine? Maggie się zbuntuje. Usunąć Maggie? Wtedy nie będzie można wierzyć Conanowi. Wszystkich do anabiozy? A kto będzie pracował? No i smoki się zakrzątną. A do tego jeszcze ta Toni…

 – Wiesz, Głowaczku, znalazła się twoja mama. Wielka zielona smoczyca imieniem Tonara.

 – Mama Catherine! – pisnęła smoczka wysokim głosem, prawie na graniczy ultradźwięku.

 – Uch ty! Głowaczku, przemówiłaś! Ale się mamusia zdziwi! Ale najpierw da ci po pupie. Po co zjadłaś papużkę?

 – Nie.

 – Nie zjadłaś?

 – Nie.

 – Dlaczego?

 – Niesmaczna.

 – Biedna, biedna niesmaczna papużka. Nie będziesz już łapała papużek?

 – Będę.

 – Dlaczego?

 – Wesoło.

 – Moja ty głuptasko!

 – Mądra dziewczynka.

 – Kto ci to powiedział?

 – Mama.

 – Twoja mama też jest głuptaska. Obie mamy.

 – Niepotrzebnie tak o nich mówiłeś, wujku Platanie. Z nimi bardzo łatwo się pracuje. Mrok wszystko rozumie w pół słowa, a Catherine nawet bez słów. To prawdziwa czarodziejka.

 – Prawdziwych czarodziejek nie ma.

 – Ona jest prawdziwa! Czyta myśli i widzi wieszcze sny. Oj, wygadałam się! Zapomnij o tym jak najszybciej.

 – Już zapomniałem. Tajemnicę wezmę do grobu. Ale najpierw opowiedz mi do końca, bo jak nie, to umrę z ciekawości. Nagłą śmiercią. – Platan odsunął mapę napięć tektonicznych.

 – Wiesz, co ona powiedziała, kiedy dowiedziała się, kim jestem? „No i oto spotkałam ciebie”. Rozumiesz, ona wiedziała, że mnie spotka. Widziała wieszczy sen. Wujku Platanie, a ty naprawdę chciałeś oszukać Mroka?

 – Skąd żeś to wzięła?

 – Catherine powiedziała: „Strefa to przeklęta planeta. Nawet smoki zaczynają tu kłamać”. To o tym, że powiedzieliście Mrokowi, iż macie zamiar odejść ze Strefy.

 – My chcieliśmy tylko postraszyć Mroka. Catherine wiedziała, że nigdzie nie odejdziemy. Wybacz, Tonaro, ale muszę pilnie zakomunikować o tym Dorianowi.

 – Catherine nikomu o tym nie mówiła. Dlatego Mrok odpowiedział na wasz bluff swoim.

 – Wybacz, kuzyneczko, ale z początku nie wierzyłem ci, że Catherine umie czytać myśli.

 – Aw wieszcze sny też teraz już wierzysz?

 – Jeszcze nie wiem. Co ona ci opowiadała o snach?

 – Nie śmiej się. To dla mnie bardzo ważne.Powiedziała, że urodziłam córkę, że żyje i zobaczę ją najpóźniej za dziesięć lat. Ale nie powinnam jej szukać, bo wszystkim będzie gorzej.

 – To zbyt okrutne jak na żarty.

 – Jakie żarty? Przecież ja nie wiedziałam, co urodziłam. Powiedziałam komputerowi medycznemu, żeby nikomu, nawet mnie, nie mówił, co będzie. A jak tylko Catherine powiedziała, że córeczka, zasięgnęłam informacji. I rzeczywiście córeczka!

 – Czekaj, bądź chwilę cicho, nie zbijaj mnie z tropu! To poważniejsze, niż myślisz. Powiedz mi szybko, gdzie jest twój komputer medyczny?

 – Na orbitalnej Smaltusa.

 – Kto tam jest administratorem sieci komputerowej?

 – Ratana. A co się stało?

 Platan podniósł łapę, nakazując milczenie. Nawiązał łączność i podał tak wysoki kod pilności, aż Tonarze zrobiło się zimno, a jej ogon przechodząc między tylnymi łapami, przylgnął do brzucha. Ratana odezwała się natychmiast. Platan zażądał pliku statystyki interpelacji do komputera medycznego w ciągu ostatnich piętnastu miesięcy.

– Co się stało? Epidemia? – Zainteresowała się Ratana, przekazując plik.

– Gorzej. Nie, przepraszam, lepiej, ale dziwniej. Sprawa jest złożona i, można powiedzieć, gnozeologiczna. Chodzi o to, czy możliwy jest przepływ informacji w czasie wstecz? Zbyt wiele zagadkowego dzieje się na Strefie. Najpierw pojawił się człowiek, wokół którego dzieją się cuda, a teraz jeszcze człowieczyca, która jest na „ty” z przyszłością. Czyta myśli, widzi przyszłość na dziesięć lat w przód.

 – To teoretycznie niemożliwe.

 – Teoria jest martwa. Wszystko wskazuje na to, że w praktyce to jest możliwe. Dowiedzione z prawdopodobieństwem pięćdziesiąt procent. Dokładniej powiem za dziesięć lat – jeśli nie zwariuję na tym tle. O Boże, ale długi plik! Ograniczcie go do pytań o płeć dziecka Tonary.

 – Gotowe. Sześć zapytań w ciągu ostatnich czterech dni. Wszystkie od Tonary. Innych nie było.

 Platan ze zdumieniem spojrzał na Tonarę. Młoda smoczyca spuściła głowę, w zmieszaniu okręciła ogonem nogi.

 – Wszystkie pytania twoje? Wszystkie sześć?

 – Ta-ak. Nie mogłam uwierzyć, ciągle prosiłam o potwierdzenie…

 – Chodzi o to, że ci ludzie podłączyli się do naszej sieci komputerowej. Pracują w niej anonimowo albo pod obcymi imionami.

 – Już zrozumiałam. Ale wujku Platanie…

 – Co?

 – Zdradziłam ci cudzą tajemnicę, a ty obiecałeś zapomnieć…

 Platan w zamyśleniu podrapał się po kikucie rogu.

 – Do diabła! Jeszcze problemów moralnych nam tu brakuje! Spróbujmy tak zrobić: ja podaję ci pełną informację o grupie Mroka, a ty sama zadecydujesz.

 – Ty i on jesteście bardzo podobni do siebie. Nawet przeklinacie jednakowo.

 – Ależ nie! Ja nie jestem zabójcą.

 – On jest mądry. I ma takie smutne oczy.

 – Masz, zobacz sama. – Platan wyjął z pudełka i rzucił na stół zdjęcie. – Dwudziestu czterech zabitych i dwóch ciężko rannych. To urządził Twój mądry Mrok. Poprzedniego burmistrza własnoręcznie zarżnął w pościeli. Zabił podręcznego Guza o przezwisku Przylepka. Zastrzelił oberżystę przezwiskiem Bobas. To wszystko w ciągu ostatniego roku. To te zabójstwa, o których wiemy na pewno, że to on je popełnił albo zorganizował. Ty… Co z tobą?

 – Wy go nie rozumiecie. – Płakała smoczka, zlizując łzy długim językiem. – On jest szczery. On mówi mi tylko prawdę, jaka by ona nie była ciężka. Taki człowiek nie może być zły.

 – Podłącz swój komputer okularowy do mojego – poprosił Platan. Gdy Tonara to zrobiła, zobaczyła duże kolorowe zdjęcie. Śmiejąca się kobieta wychodzi z wody, potrząsając mokrymi włosami. Na wszystkie strony lecą bryzgi.

 – Tą kobietę Mrok udusił pętlą z cienkiego drutu. Prawie odciął jej głowę. Najpierw przespał się z nią, a potem ją zabił.

 – To niemożliwe! Nie wierzę!

 – Zapytaj go sama. Kobieta nazywała się Simona.

 Smoczka wybiegła z pokoju. Drzwi uderzyły o ścianę z łoskotem armatniego wystrzału, odbiły się i zamknęły się z trzaskiem. Sekundę później klamka spadła na podłogę. Platan wybrał kod wezwania.

 – Daria, przypilnuj Tonarę. Dziewczynce jest nieswojo. Zetknęła się ze złem w pięknym opakowaniu.

 – Durniu, jak mogłeś do tego dopuścić! Coś ty jej nagadał?! Nie zwiędły ci uszy?

 – Ucho, moja miła. Tylko jedno. Drugiego nie ma. Jeszcze nie odrosło.

 – Dobrze ci tak. No dobrze, zajmę się nią. Wyłączam się.

 Platan wybrał inny kod.

 – Dorian, rzucaj wszystko i w te pędy do mnie.

 – Mrok?

 – Mrok. I Catherine.

 – Już idę. Gdzie jesteś?

 – W bazie w Ciepłej Dolinie.

Dorian wpadł dosłownie po kilkunastu sekundach: z hałasem, mokry, szybko oddychający.

 – Witaj! Daria mi krzyknęła, że obraziłeś dziewczynkę. Ty, a nie Mrok?

 – Tym razem ja. Siadaj. Mam, jak w tej anegdocie, dwie nowiny. Tylko nie wiem, która z nich jest dobra. Nowina pierwsza: nasza królowa to, jak się okazuje, telepatka i jasnowidz. Nowina druga, ona powiedziała, że dziecko Tonary żyje.

 – Ale to… to byłby już Mowgli...

 – Tonara chyba nie słyszała o dzieciach wychowanych przez zwierzęta.

 – Sądzę, że nie. Jej dziecko ma rok. Jeszcze nie jest za późno. Póki ma mniej niż trzy lata, można jeszcze zrobić z niego rozumną istotę. Potem rozum w nim uśnie. Musimy go znaleźć!

 – Ją. To dziewczynka. Tylko najpierw musimy się upewnić, że to prawda, a nie kolejna gierka Mroka. Rozumiesz, przedsiębiorczość Mroka pluszdolność Catherine do przewidzenia wyniku działań to potężna siła. Bardzo niebezpieczna siła. Może to właśnie jest ten czynnik, którego tak długo szukałem. Jak by to sprawdzić?

 – Zacznijmy od najprostszego sposobu. Zapytamy Catherine.

 – Zaraz dowiem się, gdzie ona jest. – Platan połączył się ze stacjonarnym komputerem bazy. – Przekleństwo! Może to jednak nie jest najprostszy sposób? Oni wylecieli na zwiad na pustynię. Wrócą nie wcześniej, niż za tydzień.

 – Znamy trasę?

 – Tak. Na północ, grzbietu górskiego, i z powrotem.

 – Mamy tam gdzieś w pobliżu zero-t?

 Platan wyświetlił na ekranie mapę okolicy.

 – Była baza, obecnie zakonserwowana. – Smoki wymieniły pytające spojrzenia. – Ależ nie, oni nie mogą wiedzieć… Trasę zaproponowała Tonara, a ona o tej bazie nie ma pojęcia.

 – Myślisz? – Dorian zmrużył oczy. Platan gorączkowo zabębnił po klawiaturze komputera, wysyłając pytania do różnych baz danych sieci komputerowej.

 – Mogą – powiedział po dwudziestu minutach – Nawet nie mogą, a na pewno wiedzą. I lecą prosto do tej bazy. Będą tam za pięć godzin. Aha, zero-t tam nie pracuje.

 – To już lepiej. Bierzemy furgon towarowy i lecimy w stratosferze. Tak wysoko on rozwija szybkość do 600 kilometrów na godzinę. A do bazy niecałe 2500. Będziemy tam przed nimi.

 – Biegniemy! Tylko najpierw na orbitalną po skafandry. Bez nich udusimy się albo zamarzniemy.

 Mrok kroczył nerwowo po gondoli. Żeby się uspokoić, usiadł przy stoliku, rozebrał i złożył z powrotem pistolet. Wyciągnął rękę, rozpostarł palce. Drżały. Zacisnął je w pięść i schował do kieszeni.

 – Widzę! – zawołał Tyson z kabiny pilota. – Placyk lądowniczy!

 Wszyscy, oprócz cyberów, rzucili się ku przodowi, aż dziób sterowca się nieco przechylił i Tyson musiał drążkiem sterowym wyrównać lot.Daleko w przodzie widać było równy plac o średnicy co najmniej kilometra, wylewany ni to betonem, ni to topionym bazaltem. Nagle Mrok uderzył siebie pięścią w drugą dłoń, złapał Conana za łokieć i pociągnął do komputera.

 – Aktywuj szybciej swojego wirusa! Potrzebuję, by system Strefy został bez łączności. Na dwie godziny, rozumiesz. W przeciwnym razie mogą nas wykryć, gdy tylko wejdziemy do bazy.

 – Nie mogę – odrzekł Conan. – Wirus jeszcze nie zakorzenił się w systemie.

 – Co u diabła?

 – Przecież nie mogę go umieścić bezpośrednio w pamięci. Tam jest ochrona antywirusowa. Zaraziłem nim awaryjne kopie plików. To jest dziurka w ochronie. W awaryjne kopie każdy może wpisać. Czytać cudzego nie może, a wpisanie tam czegoś jest łatwe.

 – Kiedy on zadziała:?

 – Gdy chociaż w jednym z komputerów zepsują się podstawowe pliki i naładuje się z awaryjnych kopii. Wtedy wirus momentalnie rozejdzie się po całej sieci komputerowej – jako rzekome odnowienie wersji systemu. Ale na żadnym komputerze nie było jeszcze usterki.

 – No cóż – westchnął Mrok. - Miejmy nadzieję na lepsze. Gdy tylko wejdziemy do bazy, zablokuj łączność z zewnętrznym światem.

 Sterowiec już podchodził do lądowania przy skraju placyku. Od strony gór wiał silny zimny wiatr. Tyson obrócił maszynę przeciw wiatrowi, wyrzucił kotwicę dziobową i teraz luzował linę tak, żeby kotwica pozostała między kamieniami, a sam sterowiec wylądował już na placyku. Zakwakał kompresor. Nie czekając na zakończenie lądowania, Mrok zeskoczył z wysokości półtora metra. Odciążony sterowiec wzbił się o dwa-trzy metry wyżej i Conan, który nie zdążył wyskoczyć, zaczął skarżyć się na los. Nie oglądając się, Mrok poszedł po czarnej drodze, prowadzącej do wrót bazy, wciętych w zbocze góry. Śruby sterowca za plecami zawyły głośniej. Wkrótce pozostali dogonili Mroka i poszli nieco z tyłu.

 – Kto kończy lądowanie, Tysonie? – zapytał Mrok, nie oglądając się.

 – Cyber.

 Mrok szedł ku bazie, tupiąc obcasami po betonie. Za nim, ramię przy ramieniu, wybijali krok Conan, Catherine i Tyson. Droga wiodła do wrót, ogromnych nawet w smoczej skali. Nie umawiając się, ludzie kroczyli równo, a dźwięk ich kroków pierwszy raz od ponad stu lat naruszał ciszę gór. Mrok zacisnął w pięści spocone dłonie. Nie myślał o niczym, tylko: ‘Szedłem. Idę. Żegnaj, przeklęta przez Boga planeto. Niedługo cię opuszczę. Tak, już niedługo. Idę”.

 Nagle, dziesięć metrów przed wrotami, zatrzymał się. Pozostali zamarli za jego plecami. Z tyłu dochodził drobiący stukot doganiających ludzi cyberów.

 „Po co tu jestem?” – rozmyślał Mrok. – „Co będę robił tam, w górze? Zapomniałem, jak tam żyją, co robią. Wszystko zapomniałem. Tam teraz wszystko jest zupełnie inne. Ależ ja się po prostu boję, w tym sęk. Tak dawno tam nie byłem. Boję się…”.

 Chciał rozkazać cyberom tworzyć wrota, ale nie zdążył. Olbrzymie skrzydła drgnęły i z głuchym metalicznym szczękiem rozeszły się na boki. Dwa smoki, zielony i czarny, obserwowały, jak cybery wkładają skrzynie do dużego ciemnoszarego kontenera, stojącego pośrodku jasno oświetlonej sali. Zielony odwrócił głowę na szum otwierających się drzwi.

 – Witaj, Mrok, witajcie, ludzie. Wybaczcie, ale nie zdążyliśmy usunąć naszego barachła. Oczekiwaliśmy was dopiero wieczorem. Ale niedługo skończymy i baza będzie wasza. Możecie już zacząć zagospodarowywanie pomieszczeń. Tą salę proponuję wykorzystać jako hangar dla sterowców, a strefa mieszkalna jest dalej. Ludzkich mebli tam wprawdzie nie ma, ale nie martwcie się, niedługo coś wam podrzucimy.

 – Nie zapomnij zamówić ludzkichsanitariatów i japońskich rozsuwanych parawanów. Nasze pokoje dla ludzi mogą być nieco za duże. – podpowiedział Platan – I żywność, najważniejsza jest żywność.

 Drzwi kontenera zamknęły się, a gdy znów się otworzyły, wewnątrz nie było skrzyń i pudeł.

 „Przenośna komora zero-t” – domyślił się Mrok. Odwrócił się na pięcie i poszedł z powrotem w kierunku sterowca. Pozostali powlekli się za nim. Do dwu cyberów Conana podbiegły cztery znacznie większe, podniosły je i też wrzuciły do kontenera.

 – Catherine, proszę cię, zatrzymaj się na kilka minut – wezwał ją Dorian.

 Mrok siedział na krawędzi luku gondoli i czekał na Catherine.

 – Oni zabrali moje cybery – jęczał Conan za jego plecami.

 – Zejdź no tu – rzucił mu Tyson. - Ciekawe, jakie sprawy smoki mogą mieć do Catherine?

 – Nie rozumiesz? Cybery wszystko o nas wiedzą, znają wszystkie nasze plany! Jutro będą o nich wiedziały smoki!

 – Conan, włącz komputer i nastrój go na przechwyt z ich okularów – zażądał Mrok.

 – Zgadza się! – Conan nieco się rozchmurzył. – Koło nich jest człowiek, więc informacja idzie do sieci komputerowej.

 Gdy na ekranie pojawił się obraz z okularów Doriana, Mrok przegonił od ekranu Conana i Tysona, kilka minut słuchał, po czym wyłączył komputer i wrócił na krawędź luku. Figurka w czarnej kurtce już biegła w kierunku sterowca.

 – O czym oni rozmawiali? – zapytał Tyson.

 – Idź do steru – rozkazał mu Mrok. – Szykuj się do startu!

 Catherine dysząc podbiegła do sterowca.

 – Zaraz ci wszystko opowiem. Ty chyba mnie zabijesz. Nie wiem, co teraz robić. – Chciała przejść koło niego do gondoli, ale zagrodził jej ręką przejście.

 – Czytaj myśli, patrz w przyszłość. Umiesz to – powiedział z sarkazmem. – Tyson, start!

 Śruby zawyły i sterowiec zaczął powoli się podnosić.

 – Wpuść mnie! – Catherine spróbowała przecisnąć się koło niego w podnoszącą się maszynę, ale Mrok silnym kopniakiem w pierś przewrócił ją na plecy. – Nie porzucaj mnie! - Podniosła się z betonu, odskoczyła, złapała krawędź luku. – Mrok! – Catherine rozejrzała się i pobiegła w kierunku kotwicy.

 – Tyson, przetnij linę kotwiczną! – rozkazał Mrok. Lina spadła na ziemię.

 – Mrok!!! Nie porzucaj mnie! Lepiej już zabij!

 – A to jest myśl! – wymamrotał i wyjął z kieszeni pistolet.

 – Nie trzeba! – wykrzyknął Conan i spróbował wybić broń z ręki Mroka, ale ten obalił go ciosem drugiej ręki. Przerzucił zamek i zaczął strzelać do malejącej figurki, biegnącej za sterowcem. Kule wybijały fontanny pod nogami Catherine. Wystrzeliwszy cały magazynek, zatrzasnął luk i padł twarzą w dół na wiszącą koję. Conan kulił się na podłodze pochlipując.

 – Nie jęcz – rozkazał Mrok. – Ona żyje. Dałem jej szansę na odejście w górę.

 – Strzelałeś do niej.

 – Strzelałem obok. Smoki pomyślą, że chybiałem i nie odważą się zwrócić jej do Townu.

 Wrócili do domu Guza jasnym, słonecznym wieczorem. Był to pierwszy znak, że pora deszczowa zbliża się ku końcowi. Koło domu czekał na nich czarny smok, a na ganku, skuliwszy się, siedziała Catherine.

 – Mrok – powiedział Platan. – Jeśli zabijesz choć jedną kobietę, gwizdnę na wszystkie zakazy i rozerwę cię na strzępy.

 –Ale umiejętnie unikasz słowa Catherine. – Mrok uśmiechnął się z sarkazmem.

 – Dobrze. Jej życie to twoje życie.

 – Gdy będziesz chciał mnie zabić, nie podchodź blisko. Gryzę. – Mrok wyjął pistolet i kula, otarłszy się o czoło smoka, wbiła się w ścianę domu. Z mordy smoka spadły na ziemię okulary, gdyż wystrzał Mroka przerwał oprawkę. – Teraz po kuli w każde oko i zwyciężyła przyjaźń. Tak chyba kiedyś się mówiło. A o Catherine nie bój się. Ona dla mnie umarła.

 Nie zwracając już uwagi na smoka Mrok poszedł do swojego pokoju i wyrzucił na korytarz wszystkie rzeczy Catherine. Ona stała w drzwiach, a on rzucał jej rzeczy pod nogi.

 – Co się stało? – zapytał Guz, podchodząc.

 – Smoki szukały mnie i znalazły starą bazę – wyjaśniła Catherine – To wszystko moja wina.

 – Już nie zajmuję się ekologią – powiedział Mrok. – Jak chcesz, to sobie kontynuuj, a jak nie chcesz, poślij wszystko do diabła.

Wrzucił parę rzeczy do plecaka i poszedł odwiedzić Głowaczka. Catherine pobiegła za nim.

 – Nie podchodź do bunkra bliżej niż na kilometr. On jest mój – ostrzegł ją Mrok.

 – Dokąd mogę dojść?

 Określił jej punkty orientacyjne. Dochodząc do granicy, Catherine się zatrzymała.

 Maggie bawiła się z Głowaczkiem. Mrok wysłał ją do domu. Usiadł i wziął smoczkę na kolana.

 – Wiesz, Głowaczku, kiedy tu trafiłem, myślałem, że, gdzie jak gdzie, a na Strefie zabijać jest jakoś sprawiedliwie. Przecież tu trafiają tylko przestępcy. Wcześniej za to dawali wieżę, ale teraz prawa zrobiły się mięciutkie jak kocia łapa. Ci tam na górze nie chcą brudzić sobie rąk krwią, więc ja to za nich zrobię. A jak mnie ktoś zabije, to też będzie sprawiedliwie. Po to właśnie jest Strefa, wszystko spisuje na straty. Ale nikt nie zdołał mnie zabić przez całe czterdzieści lat. A wiesz, dlaczego? Bo miałem tam, na górze, dobrych nauczycieli, którzy nauczyli mnie zabijać. To tak, jakby kogoś wrzucić do wody, żeby nauczył się pływać. Jak utonie, to utonie, a jak popłynie to na całe życie. Tak samo uczą także starożytnych języków. Zamkną człowieka w pokoju i rozmawiają z nim tylko w starożytnym języku. Po trzech tygodniach zapomina ojczysty język. Tak samo i ja: w ciągu trzech tygodni przyswoiłem sobie wszystkie sztuczki, weszły mi w krew, stały się moją drugą naturą. Nawet, kiedy patrzę na kobietę, pierwsza myśl jest zawsze: gdzie ona może chować nóż. Przeklęta Strefa.

 Przybiegła Maggie.

 – Gospodarzu, tam pod drzewem czeka Catherine. Mogę zaprowadzić do niej Głowaczka?

 – Chcę do mamy – powiedziała Głowaczek i pobiegła do drzwi. Gdy ich głosy ucichły, Mrok położył się na łóżku na brzuchu.

 – Mowgli – wyszeptał – Głowaczek to Mowgli. A ja wilk. Ale nie mam zębów. Wybito mi je. Co może zrobić wilk bez zębów? Czterdzieści lat nic, tylko Strefa. Niech będzie przeklęty ten, kto ciebie wymyślił. Przeklęty przeze mnie i przez smoki. W tym właśnie jesteśmy podobni. Ryczymy jeden na drugiego, chcemy sobie rozrywać, psujemy jeden drugiemu życie – a ten sukinsyn, który wymyślił Strefę, dawno już zdechł sobie w ciepłej pościeli. A smoki to dobrzy, uczciwi chłopcy. Ileż one ciebie, Głowaczku, szukały… Nie oddam im ciebie! Będę gadem, a nie oddam! Ale nie będziesz Mowgli! Przysięgam na wszystko, co dla mnie święte! Czy coś takiego pozostało? Nie wiem. Nie, musiało zostać! Strefa nie mogła wszystkiego wymazać! Musiało we mnie zostać coś dobrego, chociaż odrobinka. I na nią przysięgam! Nauczę ciebie wszystkiego, co sam wiem, wszystkiego, co na Strefie można się dowiedzieć. Mamy jeszcze trzy komputery.

 Skrzypnęły drzwi.

– Mama płacze – pisnęła Głowaczek. Mrok wsłuchał się. Zza drzwi dochodziło pociąganie nosem. Mrok wyszedł, smoczka wybiegła przed niego. Nosem pociągała Maggie.

 – Ciociu Maggie, dlaczego mama płacze? – zapytała Głowaczek.

 – Mag, idź do domu, zabierz ze sobą Catherine. Ja przyjdę jutro. Przekaż Conanowi, żeby zwolnił dla mnie jeden z komputerów. – Mrok wziął Głowaczka na ręce, zaniósł do bunkra i posadził na stole. – Jesteś już duża, za parę dni będą twoje pierwsze urodziny, więc czas już zacząć naukę. Będziesz uczyła się czytać i pisać.

 – Czytać i pi-pi?

 – Nie siusiać, tylko pisać[[4]](#footnote-5)To zupełnie różne rzeczy. Zaczniemy od liter. Zaczniemy od podstaw, od liter. To jest litera „A”. Weź ołówek i narysuj ją.

 – Wezwać ją? – zapytała Maggie, trąciwszy go w ramię.

 – Kogo? – zapytał Mrok, budząc się.

 – Catherine. Wołałeś ją. Ja ją wezwę…

 – Ani mi się waż. Ona dla mnie nie istnieje.

 – Ona ciebie kocha. I ty co noc ją wołasz.

 – Zatkaj się albo obetnę ci język.

 – Oj, te twoje urazy. Tylko spać przeszkadzają. Mamroczesz całą noc. A może ja na ramieniu wytatuuję sobie jej twarzyczkę? Nikt się nie dowie, że całujesz ją, a nie mnie. Chcesz?

 – Liczę do trzech. Raz.

 – Zawsze mnie bili za prawdę.

 – Dwa.

 – Dobrano, mój władco.

 – Dobranoc.

 – Szefie, wróć! Bez ciebie wszystko się rozsypuje. Fabryki realizują zamówienia z opóźnieniem, puszczają półprodukty na lewo. Lata siedemnaście sterowców, a planowo miało być już dwadzieścia pięć. Tyson próbował grać złego wujka, no i omal mu nie rozkwasili gęby. Trzech rozłożył, na czwartym się potknął. Dobrze, że zdążyliśmy się wmieszać.

 – Trzeba było wystrzelać całą czwórkę.

 – Tak nie można, szefie. Przecież budujemy sprawiedliwe społeczeństwo. Aha, Tonara także prosi cię, żebyś wrócił.

 – Gdzie ona teraz jest?

 – U podnóża górskiego grzbietu. Koło źródeł rzeczki. Teraz tam wozimy ziemię. I wiesz, że ona się ciebie boi? Wygadała się, i to przez nią smoki chciały spotkać się z Catherine. Oboje jesteście dla niej najwyższymi autorytetami. Oczywiście po smokach.

 – Piękna okolica. Może przeniosę się tam za rok czy dwa. No, ale czas już na mnie.

 – Szefie, a może jednak wrócisz? Naród ci wierzy, za tobą pójdą ludzie.

 – Dość już o tym.

 – Gdzie cię szukać w razie czego?

 – Maggie wie.

 Catherine, jak prawie codziennie od pół roku, chciała odwiedzić Głowaczka. W pierwszych dniach nie wiedziała, jak zakomunikować smoczce o swoim przybyciu, i godzinami wystawała pod brzozą, licząc na przyjście Maggie albo szczęśliwy przypadek, aż kupiła w Townie gwizdek ultradźwiękowy. Mrok go nie słyszał, ale Głowaczek słyszała znakomicie. Mrok dziwił się, jak smoczka nauczyła się na kilometr rozpoznawać przybycie mamy Catherine, ale nie przeszkadzał im w spotkaniach. Głowaczek, zachłystując się z zachwytu, opowiadała, jak papa uczy ją czytać, grać na komputerze, jakie historie opowiada. Catherine częstowała ją smakołykami i sama opowiadała jej różne historie. Teraz też włożyła do koszyka kilka jabłek i kawałek ciasta, sprawdziła, czy ma przy sobie gwizdek i poszła na spotkanie z Głowaczkiem.

 Przechodząc strumień, zobaczyła na miękkiej ziemi kilka śladów. Nie była tropicielem, ale takich śladów trudno byłoby nie dostrzec. Zupełnie świeże, niektóre jeszcze nie zdążyły wypełnić się wodą. Prowadziły w kierunku bunkra. Rozglądając się uważnie po lesie, Catherine pośpieszyła naprzód. W swoim czasie Mrok trochę uczył ją czytać ślady, bezdźwięcznie chodzić po lesie i ukrywać się. Mimo to omal nie wpadła na krąg mężczyzn, słuchających kogoś i sprawdzających broń. Ostrożnie wyglądając zza krzaków, przeliczyła siedzących. Dwudziestu trzech, w tym Chińczyk, właściciel banku. To on mówił:

 – Ostatni raz powtarzam: potrzebna mi jest głowa Stana Freda. On strzela bez pudła, więc zaczynajcie od niego. Smoczek – później. Teraz w nim będzie chyba z dziesięć kilo, a smoki za każdy gram dziecka obiecały kilo złota, więc staniecie się najbogatszymi ludźmi w Townie. Ale tylko za żywego smoczka. Za martwego głowy wam oderwą. Jeśli nie smoki, to ja na pewno. – Wszyscy się roześmieli, a Chińczyk kontynuował: – Możliwe, że spotkacie tam kochankę poprzedniego burmistrza, tą, która naprowadziła nas na norę Stana. Jest wasza. Róbcie z nią, co chcecie.

 – A jeśli on kogoś zabije albo zrani?

 – Ranny dostanie ode mnie premię, a jeśli ktoś zginie, dola pozostałych wzrośnie.

Skończył i zaczęli się zbierać. Catherine wyjęła rewolwer. Sześć kul w bębenku. Przeciw dwudziestu trzem. Pozostanie siedemnastu. A jeśli Mrok nie usłyszy wystrzałów?

Odczołgała się bezdźwięcznie, wstała i pochyliwszy się pobiegła naokoło obozu. Była już tuż obok ścieżki, gdy ptaki z szumem i krzykiem zerwały się z krzaka. Obejrzała się.

 – To on! – krzyknął ktoś.

 Catherine przyśpieszyła. Z tyłu zatupotały buty. Od razu zorientowali się, że to jednak nie Mrok i bali się strzelać, żeby go w bunkrze nie spłoszyć. Rzuciła na ścieżkę koszyk i jeszcze przyśpieszyła. Wątpliwe, żeby któryś z prześladowców biegał rankami i prawie codziennie uprawiał czterdziestokilometrowe spacery. Z tyłu dobiegł odgłos upadku i przekleństwa. Któryś z goniących potknął się o jej koszyk i przewrócił.

 Przebiegłszy około kilometra, Catherine obejrzała się. Jeden z nich też widocznie uprawiał poranne przebieżki. Pozostali byli daleko. Zatrzymała się, podniosła rewolwer oburącz i z metra wsadziła kulę w brzuch nadbiegającego. Odskoczyła na bok, przepuszczając padające ciało, strzeliła mu w plecy, przeskoczyła go i pobiegła dalej. Z daleka rozległy się krzyki i wystrzały. Z drzew dookoła Catherine poleciały gałązki i odpryski kory. Pobiegła jeszcze szybciej. Przeskakując przez pień powalonego drzewa zaczepiła ręką o sęk i upuściła pistolet. W biegu rozpięła i wyrzuciła skórzaną kurtkę. Prześladowcy zostawali coraz bardziej z tyłu. Już blisko bunkra pośliznęła się, uderzyła czołem o drzewo i potoczyła się po ziemi.

 – Głowaczku, wyłącz komputer. Wszystkich gier i tak nie rozegrasz.

 – Już, pa. Tylko ostatni raz zginę.

 Mrok spojrzał na ekran. Mały człowieczek zręcznie skakał z kępy na kępę, zmierzając w kierunku wysepki, na której rosły trzy palmy. Po drodze celnie strzelał do zębatych pteranodonów, atakujących z góry i krokodylich głów, wystających z wody. Mrok spojrzał na poziom złożoności. Na tak wysokim nawet nie próbował grać, ale Głowaczek czuła się na nim pewnie. Grając, popiskiwała i podrygiwała w miejscu. Ogon to unosił się ku górze jak świeca, to okręcał się dookoła nogi krzesła. Skrzydełka napinały się i podrygiwały. Człowieczek na ekranie przeskoczył trzy razy z kępy na kępę, zatrzymał się na sekundę, żeby zbić celnym wystrzałem pteranodona, który z pluskiem spadł do wody, i przeskoczył na kolejną kępę. Ale kępa otworzyła potworną zębatą paszczę. Człowieczek w skoku zdążył wystrzelić w paszczę, ta zamknęła się, znowu zamieniła się w kępkę i razem z człowieczkiem poszła pod wodę. Podnoszące się z dna pęcherzyki ułożyły się w litery R. I.P.

 – Utopłam – powiedziała zmartwiona Głowaczek. – Trzeba było iść z lewej strony.

 – Utonęłam. Albo utopiłam się – poprawił Mrok. Wyłączył komputer, wziął smoczkę na ręce i wyszedł z bunkra. – Dzisiaj będziemy uczyli się latać. Jesteś już duża, wszystko doskonale rozumiesz. Masz skrzydła nie dla ozdoby. Spójrz, tam na niebie ptaszek leci. Możesz latać dużo lepiej od niego.

 Głowaczek popatrzyła w niebo na ptaszka i jej ogon, przechodząc między tylnymi łapami, przylgnął do brzucha.

 „Znowu to samo” – pomyślał Mrok. – „«Boję się» – i koniec. Żadnych wyjaśnień. W gry lotnicze na komputerze też nie chce grać. Jeśli i ten pomysł zawiedzie – co wtedy?”.

 – A ty wiesz, że można latać nie tylko wysoko, ale i nad samą ziemią? To dużo ciekawsze: pędzisz przez las i wydaje ci się, że to las pędzi na ciebie. Zręcznie przemykasz między drzewami, robisz zgrabne wiraże.Żaden ptak nie może latać tak, jak prawdziwy smok.Pamiętasz, jak huśtaliśmy się na linie?

 – Pamiętam – zachwycona Głowaczek nadstawiła uszy.

 – Tylko weź pod uwagę, że latać wysoko jest znacznie łatwiej niż nisko, więc wszyscy uczą się najpierw latać wysoko. Ale jeśli ty nie chcesz, będziemy najpierw uczyli się latać nisko. Najważniejsze jest czuć skrzydłami powietrze i utrzymywać równowagę. Równowagę utrzymuje się za pomocą ogona. No, jak już polecisz, sama zrozumiesz. A skrzydła trzeba podnosić lekko, a kiedy je opuszczasz, zagarniać nimi jak najwięcej powietrza. Spróbuj, tylko jeszcze nie z pełną siłą, a tak, żeby się nie oderwać od ziemi.

 Głowaczek spróbowała. Suche liście i inne śmiecie zakręciły się w powietrzu. Mrok spojrzał w niebo. Z północy nadciągały chmury. Za pół godziny, najwyżej godzinę zakryją całe niebo. A smoczka powinna umierać z niecierpliwości.

 – Zaraz zjemy obiad, a potem pójdziemy nad rzeczkę. Latać będziemy się uczyli nad wodą. Jak spadniesz, będzie miękko.

 – Chcę już.

 – Zaledwie dojdziemy nad rzeczkę, będziemy wracali na obiad. A jeśli najpierw zjemy, będziemy mogli pływać i latać do samego wieczora.

 Głowaczek zawróciła w miejscu i pomknęła do bunkra. Z wnętrza dobiegł stuk przewróconego krzesła. Była istotą naprawdę bardzo mądrą i wiedziała, że jeśli papa wbije sobie coś do głowy, to nie ma sensu się kłócić. Jej porcja konserwy mięsnej z bobem została zjedzona jeszcze zanim tatuś usiadł przy stole, więc problem wykorzystania łyżki odpadł. Głowaczek miała w zapasie sporo tricków, pozwalających przyśpieszać rutynowe operacje. Nie wiedziała jednak, jak przyśpieszyć samego tatusia. Nie rozumiała, po co podgrzewać konserwy – przecież gorącego jedzenia nie da się zjeść tak szybko jak zimne.

 – Opowiadaj – poprosiła, i Mrok, podgrzewając konserwę, zaczął opowiadać o życiu w Townie, o tym, jak płukał złoto, o tym, jak wepchnąłGuza na burmistrza, opuszczając tylko 0niektóre krwawe szczegóły. Nie chciał, żeby Głowaczek wyrosła na takiego naiwnego głuptaska, jak jej matka Tonara. Cowieczorneopowiadania o Townie i w ogóle o Strefie stały się już tradycją i zawsze były wysłuchiwane z wielką uwagą. Mrok nie ukrywał przed dziewczynką niczego, ani dobrego, ani złego, dokładnie objaśniając motywy, kierujące postępowaniem jego i innych, oceniając je surowo i sprawiedliwie.

 Z zewnątrz dobiegły dość dalekie strzały. Pistolet sam wskoczył mu w rękę.

 – Głowaczek, do norki! – rozkazał Mrok i smoczka zniknęła w tunelu, prowadzącym do podwodnego strumienia.

 Strzały nieco się przybliżyły i zza drzwi rozległ się tupot i ochrypły, świszczący oddech. Po chwili otworzyły się i wpadła Catherine. Mrok nie od razu ją poznał: cała w błocie, twarz zalana krwią z długiego skaleczenia na czole. Ale Głowaczek poznała i skoczyła przez cały pokój. Catherine uderzyła się w plecy o ścianę i przycisnęła do siebie radośnie wijący się kłąb łap, skrzydeł i ogona.

 – Do boju! – wysapała – Chińczyk i ludzie. Wielu. Biegną tutaj.

 Mrok już otwierał szafę z bronią. Szafa była zamknięta na kłódkę przed Głowaczkiem, klucz nie chciał wejść, więc Mrok rozbił kłódkę wystrzałem z pistoletu.

 – Ilu ich?

 – Dwudziestu. Nie, więcej. Dwudziestu trzech. Nie, dwudziestu dwóch. Jednego zabiłam.

 Mrok zaklął i rzucił Catherine pistolet. Ta wypuściła Głowaczka na podłogę, złapała pistolet i odbezpieczyła go. Mrok, stękając, zdarł wieko ze skrzynki, z granatami jego własnej roboty. Były to okrągłe ładunki dynamitowe, do których szeroką taśmą klejącą przylepił dwie warstwy stalowych lulek o średnicy jednego centymetra.

 – Oni są daleko?

 – Biegną za mną pięćkilometrów. Zostali z tyłu.

 – Po co ich tu przyprowadziłaś, idiotko? Nie mogłaś im uciec?

 – Oni i tak szli ciebie zabić i porwać Głowaczka. Chińczyk im kazał.

 – Przepraszam – mówiąc to, Mrok nabił i włożył do kieszeni już czwarty pistolet.

 Dwa noże do rzucania włożył za cholewy, trzeci do specjalnej kieszonki z tyłu, za kołnierzem. Zapalił cygaro, zakaszlał się, podtaszczył pod drzwi skrzynkę ze swoimi granatami i spojrzał przez wizjer. O trzysta metrów zobaczył figurkę człowieka, nieco dalej drugą. Podał Catherine ręczny karabin maszynowy własnej roboty ze słowami:

 – Otworzę drzwi i wybiegnę. A ty strzelaj. Gdziekolwiek, byle nie we mnie. Potem wybierz sobie broń i uciekaj w głąb bunkra i nie wychodź, póki cię nie zawołam.

 Catherine skinęła głową. Mrok otworzył drzwi i wybiegł, uginając się pod ciężarem skrzynki. `Za plecami zajazgotał erkaem. Kątem oka Mrok zobaczył, jak jeden z atakujących upadł. Obok uderzyła kula, odłupując kawałeczek skały. Mrok pobiegł w górę po zboczu. Jeszcze jedna kula uderzyła w granit, odpryski kamienia pokaleczyły mu policzek. Erkaem zajazgotał tuż obok. Mrok skręcił w lewo i roześmiał się z ulgą. Był już w swojej zasadzce, otoczony ze wszystkich stron kamieniami. Obok, ciężko dysząc, upadła na ziemię Catherine.

 – Patrz – Pokazał jej konstrukcję z kawałków metalu, drucików i dwu lusterek – To jest peryskop. Teraz wkładam tu pistolet. – Umocował broń w górnej części urządzenia obok lustra – I co my tu mamy?

 – Broń do strzelania zza rogu? – zapytała Catherine.

 – Zgadza się. – Mrok podniósł górną część nad kamieniami, patrząc w dolne lusterko obejrzał las i nacisnął druciany haczyk. Pistolet ryknął. – Mówiłaś, że ilu ich było? Odliczdwóch.

 – Pozostało dwudziestu – odpowiedziała Catherine.

 Po kamieniach zastukały kule. Mrok obejrzał okolicę peryskopem i znów nacisnął spust.

 – Dziewiętnastu i pół. Zuch z ciebie. Zupełnie ich zagoniłaś. Drżą im ręce, nie mogą celnie strzelać. Niech podejdą bliżej. – Przesunął cygaro w kącik ust. Pistolet w górne części peryskopu znowu wystrzelił. – Osiemnastu i dwie połówki.

 – Zacząłeś chybiać, gospodarzu?

 – A jak go trafić, jeśli zza kamienia tylko dupa wystaje? Jak oni na mnie wyszli?

 – Szpieg przyszedł za Maggie. Ale nie gniewaj się na nią. Obserwowali dom Guza.

 – O co się gniewać? Taką drogę wydeptaliśmy, że ślepy by zobaczył. Dziwne, że nikt dotąd tego nie zauważył – odrzekł Mrok i znowu wystrzelił. Z dołu rozległ się krzyk.

 Atakujący przemieszczali się teraz czołgając się albo krótkimi przebieżkami, wykorzystując naturalne kryjówki. Gruchotały wystrzały, kule stukały po kamieniach.

 – Zuchy, zuchy. Tak trzymać! – mamrotał Mrok, oglądając przez peryskop pole walki.

 Naboje w peryskopowym pistolecie skończyły się, więc Mrok spuścił konstrukcję i wyjął drugi pistolet. Nieoczekiwanie zza skały wyskoczył człowiek i poderwał karabin ogromnego kalibru. Z takiej broni można było powalić smoka, nie tylko człowieka z trzech metrów. Catherine zapiszczała, ale Mrok wystrzelił z biodra wprost w czarny wylot lufy, w tą źrenicę śmierci, wycelowaną w jego pierś. Broń wybuchła i człowiek z krwawą kaszą zamiast twarzy potoczył się w dół.

 – Fuj, ale postraszył! – Mrok potrząsnął głową i wrócił do peryskopu. – Aha, stłoczyli się!

 Wziął ładunek dynamitowy, podpalił lont cygarem i rzucił w dół. Po niej drugi, trzeci, czwarty… Podpalał i rzucał, w różnych kierunkach, niektóre jak najdalej, inne dość blisko. Gdy zostały mu jeszcze trzy sztuki, wyprostował się, obejrzał pole walki, pokryte dymiącymi kraterami i wystrzelił kilka razy z pistoletu. Znowu usiadł na kamieniu i podniósł peryskop.

 – Odpoczniemy trzydzieści minut. Pośpiech dobry jest przy łapaniu owadów. Ochraniaj tyły, a ja będę patrzył naprzód.

 Catherine sprawdziła pistolet i usiadła tyłem do kamieni, żeby lepiej widzieć wszystkie podejścia do ich przytulnego gniazdka.

 – Dobrze umiesz zabijać – powiedziała. Mrok nie wiedział czy to wyrzut, czy pochwała.

 – Tak, umiem dobrze zabijać. Ach, do diabła! Głowaczku, chodź tutaj! Szybko!

 Głowaczek szybkością strzały wbiegła po zboczu i zatrzymała się na kamieniach, widoczna prawie ze wszystkich stron. Mrok zdarł ją stamtąd tak gwałtownie, aż uderzyła się w bok i zapiszczała. Catherine przysunęła ją lewą ręką do siebie ze słowami:

 – Gdzie leziesz, głuptasko? Tam pełno złych wujków, którzy chcieli zabić twojego papcia.

 – Papa zabił złych wujków. Teraz pójdziemy nad rzeczkę.

 – Obawiam się, Głowaczku, że z rzeczki dzisiaj nic nie będzie. Jeśli nie wyniesiemy złych wujków daleko w las, to jutro zaczną tak śmierdzieć, że nie będziemy mogli tu mieszkać.

 – W takim razie na co czekamy? – zapytała Catherine.

 – Umierający muszą umrzeć, krwawiący muszą się wykrwawić, a pozostali muszą wydać siebie jękami i ruchami, żebym mógł im pomóc.

 – Ja popatrzę – zaproponowała Głowaczek i skoczyła przed siebie. Catherine ledwie zdążyła ją utrzymać.

 – Tylko spróbuj, a papa da ci po pupie – obiecała. Minuty ciągnęły się w nieskończoność.

 – Czekajcie tutaj – powiedział w końcu Mrok i zszedł na dół.

 Zaczął liczyć trupy. Naliczył osiemnastu. Sprawdził krzaki i znalazł jeszcze dwóch, ściętych serią z erkaemu. Niektórych trudno było rozpoznać, ale Chińczyka wśród nich nie było. Catherine i Głowaczek zaczęły schodzić po zboczu, Mrok poszedł im na spotkanie.

 – Dwóch brakuje – powiedział.

 Zza kamienia wyleciał okrągły, żeberkowany granat i potoczył się po zboczu wprost pod nogi Catherine. Głowaczek pobiegła mu na spotkanie, chcąc obwąchać nieznany przedmiot.

 – Nie-e-e!!! – wykrzyknęła Catherine, rzucając się brzuchem na granat.

 Mrok chwycił Głowaczka za ogon, odrzucił ją daleko, drugą ręką objął Catherine,ściągnął ją z granatu, ale odrzucić jej i odtoczyć się już nie zdążył…

 Otworzył oczy. Po szarym niebie bezdźwięcznie płynął ciemniejszy prostopadłościan. Zasłoniła go mordka Głowaczka, cała we krwi. Krew z niej kapała mu na pierś.

 „Jesteś ranna, maleńka?” – chciał ją zapytać, ale wargi nie posłuchały. Nad mordką Głowaczka zjawiła się druga, taka sama, tylko bez porównania większa. Oczy się zamknęły.

 – Co z nim?

 – Śpi. Niedługo się obudzi. Zupełnie zdrowy, tylko balans hormonalny jeszcze się nie ustalił. Poganialiście nas, dlatego wyjęliśmy go z biowanny na dwie doby przed planowanym terminem.

 Mrok otworzył oczy. Tak jest. Mężczyzna w zielonym fartuchu medycznym, a do okien pokoju zaglądają dwie znajome smocze głowy: zielona i czarna.

 – Co z Catherine? – zapytał. Obie głowy spuściły oczy.

 – Kobieta, która była z panem, zmarła w drodze do szpitala – odrzekł zielony fartuch.

 – A co z Głowaczkiem?

 – Z nią wszystko w porządku – zapewnił Dorian.

 – Jak nas odkryliście?

 – Sputniki zarejestrowały wybuch i dym. Automaty wywnioskowały, że to nowy wulkan.

 – Jak długo tu jestem?

 – Tydzień.

 Mrok złożył ręce nad głową i wpatrzył się w sufit. Z konstrukcji jego marzeń wyrywają ostatnie cegły. Catherine nie żyje, Głowaczka mu zabiorą. Przed nim tylko Strefa…

 – Ile mam teraz lat?

 – Biologicznych dwadzieścia siedem – odpowiedział lekarz. – Gdy tylko zakończy pan sprawy ze smokami, będziemy kontynuowali odmładzanie.

 – Do chrzanu!

 – Nie zrozumiałem?

 – Na Strefie młodość mi do chrzanu!

 – To już pańska sprawa. Jeśli pan się rozmyśli, może pan przyjść, kiedy zechce. Ma pan bezpłatny abonament na nieograniczoną ilość seansów odmładzających.

 – Zrównaliście mnie z babami.

 – Można i tak to określić. Pańskie ubranie jest w szafce. Jeśli będę potrzebny, znajdzie mnie pan w pokoju numer jeden na parterze. – Lekarz wyszedł, a Mrok znów wpatrzył się w sufit.

 – Mrok, nie smuć się – powiedział Dorian – ale twój plan odejścia przez starą bazę był od początku skazany na porażkę. Smoki czują bez przyrządów zero-generatory, zero-latarnie i pracę komór zero-t. Komora w bazie była dawno nieużywana, zepsuta i wystarczyło, żebyście spróbowali ją uruchomić, a już byśmy wiedzieli, że ktoś w bazie jest. A wirusa komputerowego odkryliśmy jeszcze, zanim dolecieliście do bazy. Nie powiem, byliśmy pod wrażeniem.

 – Mrok, wybacz, że cię odciągamy – przerwał mu Platan – ale jest sprawa, która nie cierpi zwłoki. Musisz przekonać Głowaczka do opuszczenia Strefy.

 – Naprawdę muszę to zrobić? – zapytał Mrok. Smoki wymieniły zmieszane spojrzenia.

 – Uważasz może Strefę za właściwe miejsce dla małej dziewczynki? – zapytał Platan. – Nie, nie myśl, że na ciebie naciskamy. Cała Strefa – i ludzie, i smoki – ma wobec ciebie wielki dług wdzięczności. Udało ci się to, o czym marzyliśmy od ponad dwustu lat: przyłączenie ludzi do smoków w dziele kształtowania biosfery. Ale z powodu Głowaczka leje się krew. To niebezpieczne i dla małej, i dla ludzi. Lepiej będzie, jeśli dziewczynka opuści planetę.

 – Masz rację, przerośnięty waranie. – Mrokowi nagle zrobiło się strasznie smutno. – Nie mogę zapewnić jej tutaj właściwych warunków. Casus Mowgliego. Wśród zwierząt może wyrosnąć tylko zwierzę.

 Smoki znowu wymieniły spojrzenia, tym razem ze zdumieniem.

 – Jakie zwierzę, jaki Mowgli? – zaczął Dorian. – Mrok, Maggie zapoznała nas z twoją księgą obserwacji i z dziennikiem, jaki prowadziły obie z Catherine. Jesteśmy ci nieskończenie wdzięczni za to, co zrobiłeś. Nasi specjaliści dotąd nie pojmują, jak ci się udało tak wychować Głowaczka w tak prymitywnych warunkach. Ma dopiero półtora roku, a rozwojem umysłowym przewyższa naszych czterolatków. Umie czytać, pisać, pracować na komputerze, rozwiązywać logiczne łamigłówki. Ma znakomicie rozwiniętą pamięć. Po prostu fenomen! Wielka szkoda, że nie opisałeś w dzienniku procesu nauczania, ale i tak to materiał o olbrzymiej wartości naukowej.

 – Ale ta całaolbrzymia wartość i tak nie dorównuje cenie biletu na górę. – Uśmiechnął się krzywo Mrok.

 – Tam, na górze, boją się ciebie. W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy w twoich sprawach pojawiło się pół setki trupów. Sam Tunguz wart jest tego strachu.

 – I tak ucieknę ze Strefy. Nie wyszło z zero-t, pozostaje wariant Maggie.

 – Mrok, a co ty tam będziesz robił? – zapytał Platan. Mrok zgrzytnął zębami. Wyskoczył z łóżka, wyjął odzież z szafki. Ubierając się zauważył, że z jego ciała znikły wszystkie szramy.

 – Prowadźcie do Głowaczka.

 Smoki wyjęły głowy z okien i wycofały się. Mrok spojrzał w dół. Maggie pomachała mu ręką. Koło niej stały dwa smoki. Duży to z pewnością Tonara, a malutki…

 – Głowaczku!

 Smoczka drgnęła i stromą spiralą wzbiła się do góry. Zamachała skrzydłami i wylądowała na parapecie.

 – Papo, oni chcą, żebym wyjechała. Powiedz im…

 – … Chińczyka już nie ma. Smoki dały nam materiały, my z Conanem opowiedzieliśmy wszystkim, jak jego ludzie chcieli zabić bojownika o wolność Strefy. Zebrał się olbrzymi tłum i spalił go w jego własnym domu. Przybili do ściany i spalili.

 – Surowo.

 – Jego ochroniarze zaczęli strzelać, więc wszyscy byli źli jak diabli.

 – Został jeszcze jeden. Ten, który rzucił granat.

 – Nie wiesz? Głowaczek go wykończyła. Rozcięła mu gardło aż do kręgów szyjnych. Potem nie chciała dopuścić smoków do ciebie i Catherine. Wiła się wokół nich, o mało im nie poodgryzała skrzydeł.

 – Przecież ona nie umiała latać.

 – Żartujesz? Nie wierzysz, to zobacz zapis. Chciałbym tak „nie umieć”.

 – Czyli wszystkie sprawy załatwione. Można lecieć.

 – Mrok, a może jednak zostaniesz? Ekologia to naprawdę dobra sprawa. A my ją przecież zaczęliśmy. Plac w Townie chcą nazwać twoim imieniem. A co ty w tej głuszy będziesz robił? Przecież to śmieszne: wozić drwa do palenia sterowcem. Dwa dni tam, dwa z powrotem.

 – Mogę sobie na to pozwolić. A za kilka lat miejscowe drzewa wyrosną.

 – Oczywiście, że możesz, jeśli ci za wszystko płacą smoki. A pamiętasz, jak szliśmy do wrót bazy? Ty pierwszy, a my za tobą. Jak pomyślę, to aż ciarki przechodzą mi po plecach. Takiego zespolenia, takiej jedności nie czułem ani wcześniej, ani później.

 – A za wrotami czekały na nas smoki.

 – A jak osadziłeś na miejscu Platana, no wiesz, kiedy mu zdjąłeś okulary. Aha, wiesz, co one mówią o tobie?

 – No?

 – Że dowiodłeś czegoś, wydawałoby się, niemożliwego. Że przez zło można czynić dobro. Moim zdaniem one nic nie zrozumiały.

 – Wszystko zrozumiały i mają rację. No, czas już na mnie.

 – Ale przecież tam nie ma nawet na co polować! I woda w rzeczce prosto z lodowca. Ani się wykąpać, ani łowić ryby. W takiej wodzie ryba wymarznie.

 – Tonara obiecała, że za dwa lata będzie można zarybiać rzeczkę pstrągami.

 – A jeśli coś się stanie?

 – Smoki dały mi awaryjną zero-latarkę SOS.

 – A dlaczego Maggie nie chcesz wziąć? Dziewczyna uschnie z żalu.

 – Conan ją pocieszy.

 – A moją kobyłę chcesz? Tą, którą uratowałeś w wąwozie. Ona teraz dużo potrafi.

 – Po co koń w pustyni? Tylko połamie nogi. A całą oazę można przejść wzdłuż i w poprzek za pół godziny. Zresztą on ją całą zje i znowu będzie pustynia!

 – Nie zapominaj o nas. Będziemy przylatywali do ciebie.

**Epilog: Minęło wiele lat.**

 Mrok wyszedł z domu, usiadł na ganku. Wyjął z sągu grube brzozowe polano, wziął nóż, ostrzył go, nie śpiesząc się, dwadzieścia minut. Zdjął korę i zaczął rzeźbić, jak zwykle, figurkę kobietyi, jak zwykle, mimowolnie spod noża wychodziła mu Catherine. Uczesana w koński ogon, z chytrze przymrużonymi oczami i nieco rozchylonymi wargami. Przy tym zajęciu zastał go zachód słońca. Mrok chwilę patrzył z zadowoleniem na rezultat swojej pracy i już chciał wyrzucić figurkę za sąg, gdzie leżały poprzednie, ale zamyślił się. Wczoraj Guz zakomunikował mu przez radio, że smoki, po raz nie wiadomo który, poprosiły o jego dossier. Ciekawe, po co? Nie, nie ciekawe. Czy zostało na świecie coś ciekawego? Pięknego – tak. Zachód jest piękny…

 Na sekundę zrobiło się nieco ciemniej. Mrok podniósł głowę. Lekko poruszając szeroko rozłożonymi skrzydłami wprost na jego podwórze spuszczał się smok. Tylne łapy dotknęły ziemi, zaraz po nich przednie, uniosły się do góry i złożyły się płachty skrzydeł, ogon przylgnął do brzucha.

 – Masz do mnie sprawę czy tak po prostu? – zapytał Mrok.

 – Witaj, pa…

 Coś gorącego skoczyło mu w piersi i zamarło.

 – Pa, ty mnie nie poznajesz?

 – Wyrosłaś, Głowaczku U ciebie wszystko w porządku?

 – Tak, papo. Gniewasz się na mnie?

 – Za co?

 – Ani razy cię nie odwiedziłam. Ale, papo, ja nie mogłam. Musiałam najpierw przejść całą drogę do końca, żeby się nie zdradzić.

 – Głuptasie. To ja muszę cię przeprosić. Jak twój praw… Ojej, puść, bo mnie zmiażdżysz! Przecież ja nie jestem smokiem. Obśliniłaś mnie całego. Postaw mnie na ziemię.

 – Wybacz,pa, tak za tobą tęskniłam! Wiem o tobie wszystko, co jest w komputerze. Jeszcze w pierwszym roku przełamałam zabezpieczenia i co wieczór patrzyłam, co u ciebie nowego. Ale to nie to samo, prawda? Rodzice najpierw gniewali się na mnie, potem przywykli.

 – Żyjesz z nimi w zgodzie?

 – Teraz tak.To znaczy: teraz znowu nie, ale to czasowe, nieważne. W zasadzie w zgodzie. Od czasu, kiedy zrozumieli, że zwyczajnie nie jestem taka jak oni. Ale pierwsze trzy miesiące były bardzo trudne. Aż wymyśliłam zabawę, która pomogła nam zrozumieć siebie nawzajem: wymyślam sytuację i pytam, co oni by w niej zrobili. Potem opowiadam, jak ja bym postąpiła, i dlaczego nie można postąpić tak, jak oni chcieli. Potem oni wymyślają sytuację. Kłóciliśmy się godzinami. Ojciec był kompletnie naiwny, ale szybko się oswoił. Nie to, żeby uwierzył, ale przyjął zasady zabawy. Matka na Strefie była, trochę życia widziała, ale co chwilę: „Kto tak robi? Co o tobie inni pomyślą?”. Aha, zgadnij, jak się teraz nazywam?

 – Matka chciała nadać ci imię Talina.

 – Nazywam się Lobasti! To takie wyjątkowe,, dźwięczne imię!

 – Gdzie takie imiona dają? – Uśmiechnął się Mrok.

 – W Bunkierzonii. To taka kraina.

 – A poważnie? Skąd takie niezwykłe imię?

 – „Głowaczek” nie podobało nam się, więc przez Łebek doszliśmy do Lobika. Matka do dziś tak mnie zdrobniale nazywa, a „dorosłą” końcówkę dobrałam sobie trochę później.- Lobasti podniosła upuszczoną przez Mroka figurkę. – A to mama Catherine? Pa, sam ją wyrzeźbiłeś? Mogę wziąć?

 – Możesz. Zajrzyj za sąg, może znajdziesz lepsze.

 Sąg runął z łoskotem na ziemię.

 – Lobasti, muszę ci powiedzieć… Żebyś nie miała co do mnie żadnych złudzeń. Z początku nie wychowywałem ciebie, tylko hodowałem ciało smoka dla siebie. Chciałem uciec ze Strefy w twoim ciele.

 – Wiem, tato. Pamiętam wszystko. Uch ty! Tu ich są setki! Pa, wszystkie sam wyciąłeś? Jak można cenne rzeczy tak przechowywać? Zobacz, tej cała twarz odpadła. A tej ucho.

 – Chwileczkę, czyś ty słyszała, co ja powiedziałem?

 – Tak, pa. Ale ważny jest nie twój zamiar, a to, co zrobiłeś. Z powodu regeneracji moja pamięć działa inaczej niż u wszystkich. Pamiętam wszystko od dnia urodzin. I jak bolało, i jak mnie operowałeś, i jak uczyłeś latać,i jak najadłam się miodu na całe życie. Teraz nie mogę na niego patrzeć. Pamiętasz pierwsze zdanie, jakie powiedziałeś do mnie? „Ależ ty musisz być głodny, maluchu, jeśli jesz to świństwo”. Nie rozumiałam wtedy słów, ale zapamiętałam.

 Mrok uśmiechnął się.

 – To nie było pierwsze. Pierwsze było „Jak zdechniesz, to cię zabiję”. Ale wtedy byłaś nieprzytomna.

 – Pa, długo się wahałam, czy dobrze robię, a teraz się upewniłam, że postępuję prawidłowo. Wierzysz w cuda? Zaraz będzie cud. – Smoczyca wsunęła do pyska dwa palce i gwizdnęła ogłuszająco.

 – A po co wsuwasz palce do gęby? Smoki gwiżdżą przecież gardłem, a nie ustami.

 – No to co? Ty wkładałeś, to i ja wkładam. Tak jest barwniej.

 Zza domu wyleciała druga smoczyca i, łopocząc skrzydłami, niezgrabnie wylądowała obok Lobasti, która od razu podała jej dwie statuetki w lepszym od innych stanie ze słowami:

 – Patrz. Poznajesz? Popatrz, ile ich tutaj. Pa pali nimi w piecu.

 Mrok spojrzał na nieznajomą z wrogością. Z trudem powstrzymał chęć wyrwania jej statuetek. I nagle zobaczył bransolety na jej lewej łapie. Dużo. Siedem. Ta smoczyca niedawno była człowiekiem. Kobietą. I płakała…

 Po co Lobasti ją tutaj przyprowadziła? Czyżby jakaś przyjaciółka Catherine? Mrok przyjrzał się jej uważnie. Coś znajomego w przechylaniu głowy… Bzdura. Nie można rozpoznać obcego człowieka w smoku. A jednak…

 – Pa, mama Catherine umarła przed samym szpitalem. Ale w drodze zdążyli zdjąć matrycę jej pamięci. Kiedy udało mi się przełamać zaporę serwera informacyjnego Strefy, pierwszym, co zrobiłam, było przepisanie do mojego komputera tej matrycy. A jedenaście lat temu, kiedy urodziłam dziewczynkę, umieściłam ją w inkubatorze. Miesiąc temu oszukałam jednego ze smoków, dyżurujących w inkubatorium, drugiemu wsypałam do napoju środek usypiający i umieściłam pamięć mamy w swojej córce.

 – Catherine…

 – Tak, Mrok, to ja. Ale ze mnie straszydło, nieprawdaż?

 – Nie przeszkadzaj, ma. Mam koleżankę, która urodziła chłopca i także umieściła go w inkubatorze. Jest tylko o dwa miesiące młodszy od mojej córki. Za trzy dni zapis. Jesteś gotów?

 – Nic nie wyjdzie, moja miła. Jestem tu dożywotnio. Twój trick raz zadziałał, drugi raz nie zadziała.

 – Żadnych tricków nie trzeba, pa. Wyjaśnili mi to. Jak myślisz, dlaczego ludziom wolno zapisywać pamięćtylko w jedną, najwyżej w dwie sekcje mózgu smoka z ośmiu?

 – Z powodu schizofrenii. Żeby nie zwariował.

 – Nie. Smoki – wiem to choćby po sobie – to bardzo chytry naród. Osobowośćokreślają wszystkie osiem sekcji mózgu. I z czasem te sześć albo siedem sekcji, w których nie ma ludzkiej pamięci biorą górę. Rozumiesz, nabywana osobowość smocza w końcu zwycięża wprowadzoną ludzką.

 – Czy to znaczy, że, jeśli udzielę zgody, to zapomnę, kim byłem?

 – Nic nie zapomnisz. Ale za dziesięć lat będziesz na pół Stanem Fredem, na pół smokiem. A po dalszych dwudziestu latach będziesz smokiem w siedmiu ósmych, a człowiekiem tylko w jednej ósmej. To jak przeprowadzka do nowego domu, kiedy wszystkich starach mebli wystarczy tylko na jeden pokój. A z czasem nowe meble przeważają. Zgódź się, pa! Zbieraj się i polecimy! Przecież to spełnienie twoich marzeń!

 – Chwileczkę, Lobasti, daj mi się opamiętać. To zbyt nieoczekiwane. Przywykłem do tego. – Objął wzrokiem podwórze. – Niedługo trzeba kopać kartofle. Przepadną beze mnie…

 – Ma, proszę cię, odejdź. Na jedną minutkę.

 – Tak, tak, oczywiście. – Catherine oderwała wzrok od ziemi, odwróciła się, podskoczyła, zamachała skrzydłami, ale nie zdążyła nabrać wysokości i zwaliła płot piersią. Złożyła skrzydła i odeszła piechotą.

 – Pa, nie chcesz?

 – Dużo myślałem, Głowa… , tfu. Lobasti. Ale moje miejsce jest chyba jednak tutaj.

 – Odmawiasz? Przecież to nieśmiertelność! Wierciłeś mi dziurę w brzuchu: „Wolność i nieśmiertelność! Nieśmiertelność i wolność!”. A teraz odmawiasz?

 – Wybacz mi, Lobasti. Dziękuję ci. Ale nieśmiertelność – to zbyt długo. Za długo…

 – Wybacz? – Oczy smoczycy błysnęły gniewem. – Nie, najpierw opowiem ci wszystko, w jakie gówno wpadłam rzez twoje kaprysy. Ma miała rację: tobie nie była potrzebna nieśmiertelność, tylko nabranie poczucia własnej wartości,chęć udowodnienia smokom, że nie jesteś ostatnią żabą w tym błocku. Jedenaście lat temu miałam przyjaciółkę. Uratowałam jej życie na Elvisie. Mieliśmy tam praktykę i wulkaniczna bomba rozbiła jej hełm. A potem, kiedy urodziła syna, kazałam jej oddać go do inkubatorium. Nie mogła mi odmówić: życie za życie. Teraz nie mam przyjaciółki. I męża nie mam. Nie dałby córki położyć do inkubatora. Dlatego przegoniłam go, kiedy tylko poczułam, że jestem w ciąży. A wiesz, co mi powiedziała ma Catherine? Że jeśli się nie zgodzisz, wzbije się jak najwyżej i złoży skrzydła. W jej życiu nie pozostało nic oprócz ciebie. W jednej chwili stracę i matkę, i córkę. Na razie jeszcze nikt nie wie, że ona nie udzieliła zgody na zapisanie matrycy, nie mówiąc już o tym, że jest ze Strefy. A jak się dowiedzą – koniec ze mną. I tak siedzę po uszy w gównie, a jeszcze ogłoszą bojkot. I dobrze mi tak, idiotce bez mózgu! Skończyłam. Teraz wiesz już wszystko. Tylko mamie Catherine o naszej rozmowie ani mru-mru! Ona nic nie wie, myśli, że wszystko jest dobrze, i tylko ona ma problemy. Na rozmyślania daję ci jedną dobę. Inaczej ma kompletnie się zamęczy. Masz tu radiostację. Do jutra. Uporządkuję swoje sprawy.

 Mrok długo patrzył na dwa smoki, odlatujące prosto w stronę zachodzącego słońca.

 Zgodzić się czy nie? Nieśmiertelność… A gdzie wolność?

 Koncepcja długu. Sumienie. Wolność. Dopiero co ustaliłem równowagę. Nikomu nic nie jestem winien, nikomu nie jestem potrzebny. Pełna wolność. Wolność zdychania pod krzakiem. Znowu zaprzęgnąć się i iść w kieracie? Czy warto?

 Kierat, Catherine, nieśmiertelność. Nieśmiertelność, Catherine, kierat.

 Tak czy nie?

 Co Lobasti powiedziała na końcu? „Uporządkuję swoje sprawy”. Też złoży skrzydła?... A przecież ostra dziewczynka. Wdała się we mnie. Dlaczego nie mogę plunąć na wszystko, jak wcześniej? Sumienie? Cha, cha, cha! Stan Fred i sumienie. Nawet nie śmieszne. Sumienie… Koncepcja długu… Brzemię białego człowieka…

 Przekleństwo!!!

 Radiostacja. Nauszniki. Przycisk wezwania.

 – Halo? Tato, to ty? Już się zdecydowałeś?

**Koniec tomu piątego**

1. Po rosyjsku Łobastik, od „łobastyj” – „o szerokim czole”. Po polsku nie da się od tego urobić dobrego imienia, więc nazwałem smoczka od wielkiej głowy.. [↑](#footnote-ref-2)
2. Teraz i na zawsze (staro-cerkiewno-słow.). [↑](#footnote-ref-3)
3. Przysłowie rosyjskie. [↑](#footnote-ref-4)
4. Słowa „pisać” i „siusiać” w rosyjskim różnią się tylko miejscem akcentu. [↑](#footnote-ref-5)